

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 05 (186) Maj 2020



Morowe powietrze w Krakowie – historia

Czego się lękamy?

Adam Wodnicki o nieobecności śmierci

Z kulturą na zarazę



9 771733 045002 05

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Wstęp do Klubu nie wychodząc z domu.



ZAPRASZAMY!

Wpłać 140 zł (osoby) lub 500 zł (firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy lub Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu **otrzymują** miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA”):

BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków

nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:

www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka:

Klub Przyjaciół „Krakowa”

email: redakcja@Biblioteka.Krakow.pl

„Kraków”
– otwarty dla każdego. **Zawsze**

zaczynamy się
w Krakowie
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK



Zdzisław Beksiński, *Bez tytułu*, olej, 122 x 98, 1986; Galeria Nowohuckie Centrum Kultury / za wiedzą i zgodą wystawcy

Literatura od zawsze przestrzegająca świat przed groźbą pandemii – przypomina Witold Bereś w eseju *Wszystkie nasze lęki*. Tematem tych rozważań nie jest historia, ani współczesność zarazy. Ani metody administracyjnej czy, tym bardziej, medycznej z nią walki. Ale warto przyjrzeć się powtarzalnym elementom, które złowrogo przypominają typologię zachowań na poszczególnych etapach najcięższych chorób terminalnych.

Beksiński
KOLEKCJA ANNY I PIOTRA DMOCHOWSKICH
GALERIA ZDZISŁAWA BEKSIŃSKIEGO W KRAKOWIE

Wszystkie nasze lęki

Tekst: Witold Beres

„*A peste, fame et bello, libera nos, Domine*”. „*Od moru, głodu i wojny zachowaj nas, Panie*” – modlą się chrześcijanie w *Litanii do wszystkich świętych* mniej więcej od IV wieku.

Warto przyjrzeć się elementom, które ukazują sztukę narracyjną. Najłatwiej zauważyć thrillery medyczne, które od lat 90. ubiegłego wieku straszą nas zagrożeniem wynikającym z nieodpowiedzialności w medycynie. Lepiej jednak pamiętać o literaturze ponadczasowej, która niepokojąco wiernie oddaje delikatność człowieka, lęki i prawdziwe pytania. A te są dwa. Pierwsze – gdzie szukać nadziei. Drugie, ważniejsze – co z nami będzie po zarazie.

Lęk

Antoni Kępiński zauważał, że lęk jest elementem stałym: „Zasadniczą cechą nieokreślonego niepokoju jest nieświadomość. Coś zagraża, ale nie wiadomo co. Jest w tym niepokoju oczekiwanie przyszłości; nie wiadomo, co ona przyniesie”. A co, gdy działają bodźce zewnętrzne, propaganda czy pandemia? Wtedy – jak logika podpowiada – to, co Kępiński opisywał jako cechę jednostkową, uzewnętrznia się i buduje panikę.

Jesienią 1938 roku w stanie New Jersey wybuchł pożar, gdy radio zaczęło relacjonować rzekomy atak Marsjan na Ziemię. Wtedy radio było medium dopiero raczkującym. Co się dziwić, że dziś, gdy płyniemy w sieci, lęk tkwiący jednostkowo w człowieku łatwo zamienia się w lęk masowy?

Tym bardziej że są złe cechy nieodmiennie tkwiące w jednostce. Egoizm, pragnienie luksusu. To dlatego tytułowa dżuma u Alberta Camusa wyciąga z bohaterów ich prawdziwe „ja” i daje ponadczasową przestrozę: „Każdy nosi w sobie dżumę, nikt bowiem nie jest od niej wolny. I trzeba czuwać nad sobą nieustannie, żeby w chwili roztargnienia nie tchnąć dżumy w twarz drugiego człowieka”.

Karnawał

Kiedy trwa karnawał, nic nie zapowiada udręki.

Bruno Jasieński w roku 1928 publikuje powieść *Palę Paryż*, pandemiczno-rewolucyjne dzieło, gdzie bezrobotny bohater wrzuca do paryskich wodociągów zarazki dżumy i niszczy Zachód. „Wpośrodku czwartego charlestona jedna z tańczących par upadła na wyszlizgany asfalt i nie chciała już się podnieść. Otoczono ją ze śmiechem. Para wzięła się w konwulsyjnych skurczach. (...) Ktoś gdzieś po raz pierwszy upuścił brzęczące, jak pieniądź, słowo »epidemja«, które potoczyło się w tłum. Nikt mu zresztą nie uwierzył. (...) Tańce zresztą nie ustawały”.

Jerzy Ambroziewicz w ascetycznym reportażu *Zaraza* (1965) opisuje epidemię we Wrocławiu, ostatnią w Europie prawdziwą ospę. „Szpalty dzienników wypełniały doniesienia o zbliżającej się rocznicy 22 Lipca i święcie kwiatów, regionalnej wrocławskiej uroczystości. Kina wypełniały się dopiero na ostatnich seansach, a w operze podczas przerw publiczność okupowała balkon z kolumnami i balustradą. (...) Nawet karetki pogotowia nie miały tej szybkości co zwy-

kle. W jednej z nich przewieziono pielęgniarkę niemal wprost od egzaminacyjnego stołu na łóżko szpitala, w którym pracowała”.

I znowu klasyka. „Rankiem 16 kwietnia doktor Bernard Rieux wyszedł ze swego gabinetu i pośrodku podestu zawadził nogą o martwego szczura. Na razie odsunął zwierzę, nie zwracając na nie uwagi, i szedł ze schodów. (...) Krótko mówiąc, to jakiś kawał” (Camus).

Walka

Władze zawsze najpierw deklarują wojnę. A buńczuczny pohukiwaniem towarzyszy odrzucenie. Nawet doświadczony dyrektor szpitala, kiedy w czasie epidemii wrocławskiej widzi ciężki przypadek zarazy, deklaruje: „Ale podkreślam raz jeszcze, ja w ospę u nas nie wierzę. Po prostu nie wierzę. Przypadki są niejasne, trudne, ciężkie, dlaczego jednak od razu z tysiąca możliwości wybierać tę jedną, najgorszą?”.

A tymczasem fala idzie cicho jak w dobrym produkcie *made in Hollywood* (na przykład w filmie Stevena Soderbergha *Contagion* z 2011 roku). Zaraza roznosi się drogą powietrzną i zabija w kilka dni. Trzeba uważać, komu podajemy rękę i czego używamy. Szybko okazuje się, że jedyna możliwa droga walki to ograniczenia. Najpierw przestrzeni. Potem – praw obywatelskich.

W roku 1772 Daniel Defoe, ten od *Przypadków Robinsona Crusoe*, pisze *Dziennik roku zarazy*, kronikę dżumy londyńskiej z roku 1665. To poruszająca, chłodna opowieść opisująca czas, gdy na skutek epidemii zmarło około jednej piątej populacji miasta. Jest tu precyzyjny opis walki, która nic nie daje. „Zarządza się, by wszelkie publiczne biesiady, zwłaszcza te urządzone przez cechy i konfraternie, wszelkie wspólne obiady w oberżach, piwiarniach oraz innych miejscach publicznych rozrywki zostały zakazane aż do dalszych rozporządzeń lub zezwoleń”.

Relacje pełne są też tak zwanych twardych postaw. Dzisiejsi liderzy populizmu (Trump, Łukaszenka, Kaczyński), wykpiwający współczesną zarazę, znajdują swój prawzór w postawie hrabiego de Castrillo, wicekróla Neapolu z nominacji króla Hiszpanii. Oto hrabia miał złamać miejscowy opór wobec Madrytu i w początkach zarazy roku 1656, póki ta nie była mu jeszcze potrzebna, karał za samo używanie słowa „dżuma”. (Dopuszczał tylko *ricorrente infermità*, „choroba nawracająca”). Historię tę opisuje Herling-Grudziński w *Dżumie w Neapolu*. Tekst daje asumpt do jeszcze jednej refleksji: jak bardzo zaraza jest użyteczna w rękach zamordystów. Bo kiedy de Castrillo zdał sobie sprawę, że szalejąca na ulicach miasta dżuma złamie solidarność neapolitańczyków, nie zawahał się jej wykorzystać jako broni.

Chaos

Może w Bogu nadzieja, gdy pomór za ścianą? Ale przecież ni wysokie mury nie oddzielą nas od morowego powietrza, ni msze błagalne. Gdy więc metafizyka nie

pomaga, a tysięczne pseudonaukowe pomysły idą na śmietnik, na ulicach zaczyna się *danse macabre*.

Andrzej Szczypiorski w poruszającej metaforze antysemityzmu, jaką jest *Msza za miasto Arras* (1971), konstatuje, że gdy śmierć na ulicach, to Boga nie ma. „A więc w mieście szalała zaraza. (...) Obywatele Arras ujrzeni się na samym dnie egzystencji. Poczęły się szereg buntów i bluźnierstwa, bo ludzie doszli do wniosku, że sam Bóg ich wyszydził”.

Boccaccio w *Dekameronie*, choć podkreśla istotność boskiej woli, zauważa, jak daleko od niej stają ludzie. „Niektórzy mniemali, że wstrzemięźliwość przeciwko zarazie zabezpieczy może, dlatego też wszelkiego nieumiarkowania się wystrzegali. Zgromadzali się w domach swoich, gdzie żyli odcięci od świata całego. (...) Inni zaś całkiem przeciwnie postępowali, twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tego i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajać i śmiać się z tego, co się wokół dzieje. (...) Inni wreszcie, bardziej nieużyty i bezlitośni, twierdzili, że najlepszym środkiem na zarazę jest ucieczka od niej”.

Winni

Zaraza pojmowana jako narzędzie polityki to posunięcia proste. Zawsze dobrze wskazać przyczynę. A to sprowadza się do szukania Spisku.

Podczas dżumy, która zaczęła się w roku 1347 i spowodowała śmierć jednej trzeciej światowej populacji, najpierw winni byli Tatarzy, którzy obrzucili trupami obleganą włoską kolonię nad Morzem Czarnym. Potem winni Genuczy, którzy z kolonii owej przybyli na Sycylię, skąd pandemia rozlała się po całej Europie. Wtedy oskarżono czarownice, a gdy ich brakło – ratunek miały dać pogromy Żydów, największe w historii przed „epoką pieców”. Gdzie brakowało Żydów – na przykład na wyspie Gotland w 1350 roku – palono na stosach „żydowskich sługusów”.

Ten mechanizm opisuje Szczypiorski: „Pan de Saxe powiedział mi tego wieczoru: »Oto jak żydowska krew jednoczy dobrych chrześcijan... Jest ona najlepszym spoiwem dla naszego miasta«”.

Apatia

Wreszcie – czas na etap przedostatni. Rezygnacja. Co najwyżej – dostosowanie się.

W roku 1912 Jack London wydaje niezłe dziełko, bliższe dzisiejszej kulturze masowej, *Szkarłatną dżumę*. Owa postapokaliptyczna opowieść dzieje się w USA lata po pandemii, która w roku 2013 zmiotła ludzkość. Autor, opisując podrygi ginącej cywilizacji, zwraca uwagę, że przede wszystkim giną ludzkie uczucia. „W moich oczach jeden z następników włamał się do sąsiedniego sklepu (...) i umyślnie sklep ten podpalił. Nie poszedłem jednak pomagać kupcowi. Minął czas poświęcania się dla bliźnich. Cywilizacja runęła – i każdy pozostał sam”.

Dziennik roku zarazy też zauważa rozpad więzi społecznych: „Gdy nasilenie choroby było maksymalne, zanikła międzyludzka komunikacja, ludzie przestali porozumiewać się między sobą: albo uciekali po prostu z miasta, albo ryglowali drzwi i okna w swoich domach”.

Najciekawszy tryb oswojenia prezentuje *Dekameron*. Jak wiadomo, jest to zbiór stu opowiadań, które snuje grupa szlachetnie urodzonych kobiet i młodzieńców chroniących się przed dżumą pod Florencją.

Ale warto zauważyć, że choć Zło szaleje za murami posiadłości, choć początek i koniec tomu pełen jest przestróg, to dominuje w nim apoteoza życia, erotyki, a nawet – grzechu w ówczesnym rozumieniu. No i tematem głównym jest miłość, największa z potęg, zarówno małżeńska, jak i czysto zmysłowa. To wszystko dzieje się nie tylko ku pokrzepieniu serc, ale i ku zrozumieniu świata. „Bawiliśmy się wprawdzie opowieściami wesołymi i budzącymi może pożądlivość, jedliśmy i pili do syta, grali i śpiewali, co wszystko do rzeczy nie zawsze przystojnych pobudzać zwykło słabe umysły”.

Zaraza pojmowana jako narzędzie polityki to posunięcia proste. Zawsze dobrze wskazać przyczynę. A to sprowadza się do szukania Spisku.

Na marginesie: miłość będąca ratunkiem w trudnych czasach pojawi się kilkaset lat później u Gabriela Garcíi Marqueza w *Miłości w czasach zarazy*. I tak naprawdę nikt z czytelników pochłaniających historię Florentina Arizy i Ferminy Dazy w dniach cholery na Karaibach nie ma wątpliwości, że jeśli świat się kończy, to tym bardziej trzeba dbać o uczucia wyższe: miłość, solidarność, serdeczność.

Rezurekcja

Czas morowy przychodzi niespodzianie, a odchodzi stopniowo. Lecz to nastąpi. Wtedy przychodzi czas wystawiania ocen. Szczypiorski zauważa, że to, jak będziemy żyli po zarazie, zależy od tego, jak się zachowamy w kryzysie: „Dla niektórych wstyd był czymś trudniejszym od zniesienia niżeli zaraza. Choć powszechnie wybaczenie ogarnęło miasto i ludzie udawali, że nie stało się nic uwłaczającego ich czci, to jednak noce w Arras były niespokojne, pełne złych snów, rozpaczliwych wspomnień i upokarzających łez”.

Tak, pandemia się skończy. Ale jeśli dziś nie pomyślimy o tym, co i jak naprawić, to któreś cywilizacyjne załamanie będzie ostatnie. Może warto przedtem przeczytać Poetę?

„W dzień końca świata
Pszczola krąży nad kwiatem nasturcji, (...)
Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,
Powiada przewijając pomidory:
Innego końca świata nie będzie,
Innego końca świata nie będzie”.
(Czesław Miłosz, *Piosenka o końcu świata*).

Dlatego pożegnajmy się nadzieją płynącą z Camusa: „Nie należy słuchać tych moralistów, którzy powiadają, że trzeba paść na kolana i poniechać wszystkiego. Trzeba tylko iść naprzód w ciemnościach, trochę na oślep i próbować czynić dobrze”.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

**TEMAT MIESIĄCA:
KONIEC NASZEGO ŚWIATA**

Adam Wodnicki Magda Huzarska-Szumiec: **s. 29**
Świat, do którego wrócimy, już nie będzie taki sam jak przedtem. Jeszcze nie potrafię sobie uświadomić, co się zmieni, ale czuję, że będzie inaczej. Jestem święcie przekonany, że nie ma już powrotu do świata pełnego arogancji, rozpasania, pewności jutra i pewności siebie.

Trąd, dżuma, ospa i inne zarazy
Krzysztof Jakubowski **s. 12**

KRAKÓW MÓWI

Czesław Miłosz. Zawsze
z Jerzym Illgiem/Witold Bereś **s. 51**

ESEJ

Wszystkie nasze lęki Witold Bereś **s. 1**
Wolność, a nie pomnik Marcin Król **s. 26**

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Podróż lalki Paweł Głowacki **s. 34**
Groteska. Teatr nie tylko młodego widza
Anna Stafiej **s. 41**
Z fototeki Danuty Węgiel/Lata płyną i...
(Bronisław Maj) Jakub Wydrzyński **s. 56**
Krzysztof Penderecki – człowiek, który tworzył (1933–2020)
Magda Huzarska-Szumiec **s. 88**
Kronika kulturalna **s. 89**
Krakowski łącznik **s. 90**
Kraków (Główny) **s. 91**
Linia A-B **s. 92**

24 GODZINY Z ŻYCIA LEKARZA

Dzieci nie kłamią
(dr hab. Piotr Wojciechowski)
Magdalena Oberc **s. 20**

REKOMENDACJE:

O Zagładzie – inaczej Witold Bereś **s. 19**
Adama Szostkiewicza lęki o Polskę
Krzysztof Burnetko **s. 39**
Spotkaj jazz! Krzysztof Burnetko **s. 46**
Wiersze na czas zarazy... Janusz M. Paluch **s. 58**
Co zrobił ich Duda? Witold Bereś **s. 86**
Co napisał nasz Duda? Witold Bereś **s. 87**

ZAPRASZAMY NA SPACER

... do NCK-u „na Beksińskiego” **s. 55**

OBYWATELE KRAKOWA

Wirusy są częścią naszego świata
(prof. Krzysztof Pyrc) Magdalena Oberc **s. 8**

**PORTRETY**

Portrety 2020 (maj) **s. 25**

HISTORIA

Kalendarium krakowskie: maj 1920
Krzysztof Jakubowski **s. 59**
Balneolog. O Antonim Matecznym
Ewa Danowska **s. 62**

TEATR

Łódka na brzegu Paweł Głowacki **s. 66**

FILM

Krótką historią strachu Maria Malatyńska **s. 74**
Nic nie ginie Łukasz Maciejewski **s. 78**

LITERATURA

Pępkocentryzm tylko nudzi
z Wojciechem Ligęzą/Elżbieta Wojnarowska **s. 70**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**

GALERIA „KRAKOWA”

Magdalena Nałęcz Magda Huzarska-Szumiec **s. 48**

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska **s. 5**
OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6**
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81**
POZA KRAKOWEM
Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
NIE TYLKO O CRACOVII Jerzy Pilch **s. 96**

OKŁADKA

Rys. Piotr Błachut

Z duchem czasu

Tekst: Ewa Lipska

Pełen poświęcenia ksiądz G., wykładowca na KUL-u, uważa, że księża nie roznoszą wirusów, bo mają poświęcone dłonie, „umyte ręce w sensie nadprzyrodzonym”. A więc, gdyby chciał cię wirusować Szatan, leć natychmiast do duchownych, aby nie wyzionąć świętego ducha.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Błachut

Bądźmy sobą

Tekst: Witold Beres

Że w Polsce setki zgonów, że tysiące zachorowań? Że na świecie już miliony? Że gospodarka się sypie jak domek z kart, a glob cały stanął jak na naszej okładkowej stopklatce? (świetny rysunek Piotra Błachuta!). Nie – chrzanić to. Dziś chciałbym ciut bardziej osobiście. W maju kończę 60 lat.

Plany były, że ho, ho. Z kim to się nie napijemy! Jaki jubel będzie! Co za imprezę odpalimy w redakcji! Gdzie to sobie nie wyjadę z żonką! Jak wyściśkam wnuki! Przecież wszystko przed nami: 60 lat to kiedyś był wiek starczy, dziś co najwyżej dojrzałość. Tym bardziej że świat mnie jednak nadal kręci, wyzwani jest mnóstwo, a pomysłów jeszcze więcej. I choć pewnie nigdy kasy nie będzie, ale serca do miłości starczy i wtroby do pasji). A zdrowie? A, to się jutro zobaczy.

Czy mi żal tego, że jedyne co, to na początku maja mogę wypić z kolegami szklaneczkę ardbega przez Skype'a? Nie. Pandemia kiedyś padnie. Może na Chiński Mur zbyt szybko nie pojedę – myślę jednak, że innych atrakcji nie zabraknie. Zresztą świat, choć nigdy nie będzie taki jak ten z początku stycznia 2020 roku, kiedyś się podniesie. Dziś ani czas na imprezy, ani nawet na radość – nie dlatego, że się poddajemy. Ciężko się radować, patrząc na cudze nieszczęścia. Dziś to są niespodziewane pogrzeby na zamkniętych, izolowanych cmentarzach, jutro zamknięte zakłady pracy, pojutrze po prostu głód.

Lecz ja namawiałbym do zastanowienia się nad prawdziwą skalą nieszczęścia. Bo jasne, czyjaś nieoczekiwana, przypadkowa śmierć zawsze boli. Regres gospodarzy – również. Ale prawdziwym nieszczęściem jest to, że jako ludzie cywilizacji Zachodu zagubiliśmy własną miarę.

Mój przypadek radosnego planowania pokazuje – wstyd powiedzieć: moją, naszą, ludzką – głupotę. Pychę. Wszystko należy do nas. Plany, plany. Wielkie i małe, niezmiernie. Człek może wszystko. Śmierci prawie nie ma. Młodość trwa wiecznie. I nagle, gdy przychodzi załamanie z zewnątrz – psyche siada.

Doskonały – a jakże mało znany, za mało! – pisarz mieszkający tuż obok mnie, w Krakowie, Adam Wodnicki (w tym roku skończy 90 lat – panie Adamie, do szybkiego zobaczenia i tańców radosnych!) praprzyczynę dzisiejszego mentalnego upadku widzi w wyrzuceniu śmierci poza nawias naszej świadomości. „Jesteśmy dziedzicami oświecenia. To właśnie ta epoka w sposób arogancki postawiła na czołowym miejscu świata wartości nie wielkie idee, które były charakterystyczne dla renesansu, a rzeczy doczesne, materialne”.

Niedawno mówił o tym – choć inaczej – w TVN 24 prof. Marcin Król. Zwrócił uwagę, że pandemia na całym świecie pozbawi pracy miliony ludzi, że powstanie kategoria „ludzi zbędnych”: „Ci ludzie stracą pracę na skutek sytuacji gospodarczej. Ta praca nie wróci. Bardzo dużo małych, średnich, ale i wielkich przedsiębiorstw padnie. Nie będzie kapitału, aby je odratować. Ci ludzie ulegną odspołecznieniu. To bę-

dzie dramatyczny podział. Część ludzi wiedzy i związanych z nowymi technologiami fantastycznie pójdzie do przodu. A ci ludzie zostaną zostawieni samym sobie. Tak być na dłużej nie może w żadnym świecie”.

Więc co robić? Proste przepisy nie ma. Na pewno trzeba nad tym myśleć.

Mądry Młynarski śpiewał *Róbmy swoje*, co stało się hymnem wszystkich tych, co to są przeciwko autorytarnej władzy. Piękne? Jasne! Warto jednak dostrzec, że dzisiaj, literalnie sprawę ujmując, pandemia, świat, natura pokazują nam dobitnie, że jest to równie nietrafione, naiwne, aktywistyczne hasło jak, powiedzmy, „...Ruszymy z posad bryłę świata”. Dziś jesteśmy w jakimś sensie skazani na nierobienie. Wszak nasza aktywność, poza tą intelektualną, jest mocno ograniczona.

Wiemy jednak, że sens tej piosenki leży w „bądź wierny sobie”.

Może więc na koniec ten ukochany Camus? „Nic w świecie nie jest warte, żeby człowiek odwrócił się od tego co kocha”.

PS W chwili, gdy piszę te słowa, cały czas roztrząsana jest kwestia jakichś wyborów w czasach pandemii. Ponoć prezydenckich. Jeśli ktoś wierzy w ich sens, zdecyduje się na nie lub – nie daj Boże! – weźmie w nich udział – polecam pilną wizytę u lekarzy, i to kilku specjalizacji.

PS II Służba zdrowia jest dziś najważniejsza. Przeczytajcie o jednym dniu w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie w czasach pandemii. A przy okazji nieśmiało proszę tych, którzy sympatyzują z „Krakowem” lub ze mną [urodziny©], o wpłatę dowolnego datku na konto Fundacji „O zdrowie dziecka” związanej z tym szpitalem. Numer konta: 05 1240 4533 1111 0000 5425 8556 z dopiskiem „Miesięcznik »Kraków« pomaga dzieciom (darowizna na cele pożytku publicznego)”. Darowiznę tę można odpisać od podatku. Szczegóły także na naszym Facebooku.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Kapuściński na świat po zarazie

Tekst: Krzysztof Burnetko

Człowiekowi zawsze, po wszelkich kataklizmach, jakie go dotykały, udawało się odbudować swój dom – powtarzał Ryszard Kapuściński po ataku na nowojorskie World Trade Center, uznanym przez wielu za koniec dotychczasowego świata.

Pisarz, a przede wszystkim ceniony analityk rzeczywistości, tłumaczył mi to w rocznicę bezprecedensowego uderzenia na Stany Zjednoczone. Przypomnijmy, bo minęło już niemal 20 lat: rankiem 11 września 2001 roku terroryści Al-Kaidy opanowali cztery samoloty pasażerskie i skierowali je na wieże WTC, będące, obok Statuy Wolności, symbolem Nowego Jorku, i obiektu Pentagonu w Waszyngtonie (czwarta maszyna rozbiła się w Pensylwanii po tym, jak pasażerowie próbowali obezwładnić terrorystów). Łącznie zginęło prawie 3000 osób. Tragedię zgodnie uznano za „koniec dotychczasowego świata”, a równocześnie „nowy początek w dziejach ludzkości” – bo wydawało się, że państwa i ludzie muszą z niej wyciągnąć wnioski.

Kapuściński już wtedy zwracał uwagę, że nie istnieje na świecie miejsca bezpieczne – nawet jeśli wydawało się, że od zagrożeń może chronić ocean, bogactwo, silna armia i służby specjalne.

W dobie masowej, taniej komunikacji nawet przestrzeń nie jest już bowiem żadną przeszkodą – także dla zagrożeń. Mogą się one rozprzestrzenić w kilka godzin z jednego punktu globu – chociażby wsi na krańcach Azji czy Afryki – do wielkich metropolii: Nowego Jorku, Paryża, Londynu czy Moskwy. Żyjemy w czasach globalizacji – tyle że obejmuje ona nie tylko ogólnoswiatową sieć internetową, handel tymi samymi towarami w rodzaju coca-coli czy możliwość łatwego podróżowania, ale także wszechobecność niebezpieczeństwa, czyli również – jak to określał Kapuściński – globalizację zła.

Przeszkodą dla zagrożeń nie jest też państwo. Okazało się, że nawet największe mocarstwo świata, jakim były wtedy Stany Zjednoczone ze swoją armią, policją, ochroną cywilną, szpiegami, nie jest w stanie ochronić swoich obywateli. Problem polega na tym, że równocześnie tylko państwo może to robić, a społeczeństwo w mniejszym bądź większym stopniu musi jednak funkcjonować w ramach państwa.

Żudne okazały się wreszcie piękne nadzieje: że ludzkość doszła w końcu do raj na Ziemi, że nie będzie już konfliktów, nie trzeba będzie rozwiązywać większych problemów i będzie można tylko pławić się w konsumpcji, w miarę dostatnim życiu i samych przyjemnościach.

Dlatego po 11 września 2001 roku zarówno politycy, jak obywatele wydawali się zgadzać w jednym: świat musi się zmienić. Tymczasem – prócz wojskowej eliminacji niektórych terrorystów – wszystko w gruncie rzeczy pozostało po staremu.

Aż nadszedł koronawirus. Ogarnął całą Ziemię: kraje biedne i bogate, silne i słabe. Więcej: uderza jednak w ludzi ubogich i najzamożniejszych, zwy-

kłych i sławnych – polityków, naukowców, artystów, sportowców, duchownych. Starszych i dzieci. Przyniósł śmierć tysiącom ludzi oraz destabilizację polityczną i gospodarczą, które dotkną każdego.

Okazało się, że diagnoza Kapuścińskiego – wobec utrzymania *status quo* – się potwierdza. I znowu padają apele o zmianę politycznych priorytetów państw i osobistych każdego z nas. Pojawia się wezwanie o większą solidarność i integrację międzynarodową, o przerzucenie środków ze zbrojeń na system służby zdrowia, pomoc socjalną i wsparcie zagrożonej gospodarki, o przemyślenie przyzwyczajeni: odwrót od nienasyconej konsumpcji, powrót do przestrzegania zasady, że najpierw trzeba zarobić, a potem dopiero wydawać. Bo nie da się spełniać każdej zachcianki.

Wraca wyzwanie (wedle Kapuścińskiego największe w XXI wieku): wybór proporcji między bezpieczeństwem a wolnością. Ludzie w nadziei, że silna władza, a w każdym razie ta, która na taką pozuje, zapewni im spokój i bezpieczeństwo, gotowi są oddać to, co w istocie najcenniejsze – możliwość decydowania samemu o swoim losie. Pojawiają się wyzwania nowe: przetasowania na politycznej mapie świata – dalszy wzrost znaczenia Chin (znamięnie okazuje się, że około 80 proc. leków przeciwbólowych używanych w Europie produkowanych jest w Chinach). Rośnie niechęć wobec obcych: Chińczycy – czytaj skończoności, bo w Europie rzadko kto odróżnia narody Azji – zaczęli być postrzegani jako roznosiciele koronawirusa. Podobnie Żydów oskarżano w średniowieczu o roznoszenie dżumy i w XX wieku – tyfusu, a ostatnio w Polsce uchodźców o roznoszenie zarazków. Owszem, państwo chińskie kłamało w sprawie liczby ofiar zarazy. Lecz robiła to dyktatura, a nie zwykli Chińczycy. A już na pewno nie są winni Azjaci, którzy prowadzą w polskich miastach, w tym Krakowie, restauracje czy handlują na bazarach. Wyrosły znowu granice – Olga Tokarczuk napisała, że to największa porażka Europy tego marnego czasu.

Kapuściński powtarzał, że pierwszym odruchem człowieka po wszelkich kataklizmach było zawsze grzebanie trupów i sprzątanie gruzu, łatanie wybitych okien, rozpalenie ognia, umoszczenie rodzinie miejsca do spania, obsianie pola. Powolne odbudowanie swojej lepianki, domu czy kraju.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Wirusy są częścią naszego świata

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: z archiwum prof. Krzysztofa Pyrcia

– Pewnie każdy z nas przeszedł w dzieciństwie infekcję spowodowaną koronawirusem. Są one z nami od setek lat, a znamy je od lat 60. XX wieku – mówi prof. Krzysztof Pyrc, kierownik Pracowni Wirusologii Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. O wirusach wie wszystko, o tym najnowszym, zagrażającym naszemu światu, coraz więcej, bo bada go już od stycznia.



Nowy koronawirus to jeden z gatunków z grupy SARS. – Jest to wirus odzwierzęcy, który uzyskał zdolność zakażenia ludzi. Jest on bardzo agresywny, intensywnie się namnaża w organizmie człowieka i doskonale się czuje w temperaturze panującej w płucach, uszkadzając je. Oprócz tego wirus ten posiada kilka cech, które czynią go niebezpiecznym, włączając w to zdolność do zaburzenia równowagi w płucach poprzez modyfikacje ścieżek sygnałowych – wyjaśnia prof. Pyrc. Po raz pierwszy zetknął się z wirusem SARS w Amsterdamie, gdzie uczestniczył w wymianie międzynarodowej jako student biotechnologii UJ. – Zainteresował mnie projekt szukania nowych wirusów, który początkowo nie wydawał się obiecujący. Badaliśmy próbki od pacjentów z objawami chorób układu oddechowego, w przypadku których lekarze byli bezradni i nie potrafili znaleźć przyczyny choroby. Opracowaliśmy nową metodę, która miała nam pozwolić na eksplorację nieznanego. W jednej z próbek udało mi się znaleźć nieznanego wcześniej wirusa: ludzkiego koronawirusa NL63. Nasza publikacja na ten temat zbiegła się ze światową epidemią SARS w 2003 roku. W Holandii zostałem na 5 lat i od tej pory już stało się jasne, że muszę kontynuować badania naukowe nad wirusami i koronawirusami.

Po powrocie z Amsterdamu podjął działania, by prace nad wirusami rozpocząć na Wydziale Biotechnologii UJ. W 2008 roku zaczął tworzyć profesjonalną pracownię wirusologii o wysokiej klasie zabezpieczeń, która ostatecznie została otwarta kilka lat temu w ramach Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ. – Prowadzimy badania nad biologią wirusów z wykorzystaniem modeli *in vitro* oraz modeli zwierzęcych, jednak coraz częściej tworzymy również modele tkankowe. Takie modele są znacznie lepsze do badań wirusologicznych, bo stanowią realne środowisko zakażenia i pozwalają zrozumieć, co się dzieje w naszym organizmie. Profesor przyznaje, że jest to żmudna i czasochłonna praca. – Bez pasji nic się tu nie osiągnie. W tej dziedzinie nie ma wielkich pieniędzy, spektakularnych sukcesów i sławy.

Mówi też, że choć praca pochłania go niemal całkowicie, to próbuje też znaleźć czas na inne aktywności. – Fascynuje mnie wszystko, co wiąże się z poznaniem świata, uwielbiam podróże, żeglarstwo, nurkowanie, góry wysokie. Ta pasja popycha mnie

Nowy koronawirus to jeden z gatunków z grupy SARS. – Jest to wirus odzwierzęcy, który uzyskał zdolność zakażenia ludzi. Jest on bardzo agresywny, intensywnie się namnaża w organizmie człowieka i doskonale się czuje w temperaturze panującej w płucach, uszkadzając je. Oprócz tego wirus ten posiada kilka cech, które czynią go niebezpiecznym, włączając w to zdolność do zaburzenia równowagi w płucach poprzez modyfikacje ścieżek sygnałowych – wyjaśnia prof. Pyrc.

stale do przodu, także w badaniach naukowych. To moja nieustanna próba zrozumienia świata.

W 2018 roku prof. Pyrc został szefem laboratoriów wirusologicznych w nowo otwartym Małopolskim Centrum Biotechnologii UJ. Od stycznia tego roku zespół bada SARSCoV-2, który jest odpowiedzialny za obecną pandemię. Prace toczą się na kilku płaszczyznach i są zaawansowane. – Zakładając, że latem ten wirus nieco się wyciszy, możemy być niemal pewni, że jesienią znów zaatakuje. Mamy nadzieję, że na tę drugą falę epidemii uda nam się opracować narzędzia, które pozwolą na szybkie wykrywanie wirusa w organizmie ludzkim.

Zespół prowadzi również badania nad cząsteczkami, które w przyszłości będą mogły zostać wykorzystane jako leki. – Mamy już kilku kandydatów, którzy w warunkach laboratoryjnych dobrze zwalczają infekcję w przebiegu COVID-19. Jednak do stworzenia leku i wprowadzenia go na rynek jeszcze daleka droga – zastrzega profesor.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiczka, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Dokładna waga osobowa

Tekst i zdjęcie współczesne: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie archiwalne: NAC

Od 1950 roku zaczęły pojawiać się na ulicach polskich miast osobowe wagi automatyczne. Wszystkie w czerwonym kolorze, wszystkie doklejone do ścian budynków przy ruchliwych ulicach. Po wrzuceniu monety 1-złotowej waga wybijała szary kartonik z datą i wynikiem dokładnym do 0,5 kg. Był to powiew nowoczesności z działających do dziś Lubelskich Fabryk Wag.

Wcześniej bywały tylko wagi z obsługą, ustawiane ręcznie, jak ta na znakomitej z dokumentalnego punktu widzenia fotografii. Rozpoznanie miejsca, gdzie ulokował się kędzierzawy wagowy, mogłoby sprawić kłopot nawet najbardziej wytrawnym znawcom miasta. Jedynym odniesieniem jest dziś niezbyt wyraźny fragment eleganckiej budow-

li po lewej. Ale nie potęgujemy napięcia. Tak, to bez wątpienia Hotel Polonia.

Zabudowa widoczna w kadrze po prawej, nie istnieje. Piętrowy dom z ryzalitem zwieńczonym tympanonem – niegdyś budynek gospodarczy sąsiedniego pałacu Wołodkowiczów – usunięto w 1965 roku podczas przebudowy skrzyżowania ulic Lubicz i Pawiej.

Jeszcze wcześniej zniknął mur otaczający pałac i widoczny we fragmencie kiosk. Stojąca w głębi kamienicę, mieszcząca u progu ubiegłego wieku koszarzy landwery, a po ostatniej wojnie biura UMK, wyburzono w 2001 roku.

Bezcenny dla historyka miasta jest widok kamiennego biedermeierowskiego mostku przerzuconego w 1831 roku nad fosą pozostawioną od północno-wschodniej strony Plant. W latach 70. XIX wieku fosę ostatecznie zniwelowano, ale na pamiątkę pozostawiono dwa z kilku mostków: właśnie ten i drugi naprzeciw dzisiejszej ul. Curie-Skłodowskiej. Zlikwidowali je dopiero niemieccy okupanci, wraz z ogrodzeniem Plant, latem 1940 roku.

Pewien kłopot sprawia precyzyjne datowanie fotografii. Wiadomo, że powstała po 1927 roku (wtedy stanął widoczny częściowo kiosk). Pewną wskazówką jest modny ubiór ważącej się damy. Zwłaszcza miękki, pełny kapelusik i buty modne począwszy od sezonu 1928/29. W mniejszym stopniu przepasana wełniana sukni (niestety, nieco zmięta), bo podobne noszono jeszcze w połowie lat 30.

Uliczne wagi z obsługą pamiętają już tylko najstarsi krakowianie. Te późniejsze zniknęły ostatecznie dopiero wraz z galopującą inflacją, u progu lat 80. Jakimś cudem jedna

Rozpoznanie miejsca zdjęcia archiwalnego mogłoby sprawić kłopot nawet najbardziej wytrawnym znawcom miasta. Jedynym odniesieniem jest niezbyt wyraźny fragment budowli po lewej – to wątpienia Hotel Polonia. Za to zabudowa widoczna w kadrze po prawej już nie istnieje.

z takich wag ocalała w Poznaniu i odnowiona przed dwoma laty staraniem miejskiego konserwatora zabytków jest swego rodzaju atrakcją. Inny cud ocalił z okupacyjnej pożogi wagę z 1898 roku – obsługiwaną rzecz jasna ręcznie – zamykaną w domku ustawionym (1912) w parku Ujazdowskim w Warszawie.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Trąd, dżuma, ospa i inne zarazy

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Ledwie pół wieku temu doszło w Krakowie do najpoważniejszej pod względem liczby zarażonych epidemii w dziejach miasta: na trzecią mutację grypy Hongkong zachorowało niemal 170 tysięcy mieszkańców. Przypadki śmiertelne przemilczano w oficjalnych statystykach. Oby nigdy już nie było gorzej...

W zapiskach średniowiecznych kronikarzy wzmianki o szerzącej się zarazie, zwanej długo morowym powietrzem, pojawiały się bardzo często. Przez całe stulecia skryty za murami obronnymi, ciasno zabudowany Kraków otaczały rozlewiska Wisły, młynówki i stawy. Były to warunki klimatyczne sprzyjające wszelkiego rodzaju epidemiom. Nie było wtedy przed nimi ratunku, a nawiedzały miasto z bezwzględną regularnością, zbierając śmiertelne żniwo. Kraków nie był tu odosobniony. Jak odnotowały kroniki w latach 1348-1350 „morowa zaraza” zabrała czwartą część ludności Polski i niemal połowę ludności zachodniej Europy.

Trąd, dżuma i francuska choroba

W połowie XIII wieku zmorą mieszkańców Krakowa, spustoszonego w dodatku przez tatarskie ordy, był trąd. Podejrzewano, że przywleki go osadnicy z Niemiec, dokąd dostał się za sprawą krzyżowców powracających z Bliskiego Wschodu. Chorych na trąd początkowo pozbywano się, wywoząc przy musow, z miasta. Później, wraz ze wzrostem wiedzy, po interwencjach duchownych, pojawiły się szpitale zwane leprozoriami, stawiane poza murami obronnymi. Szpital taki ulokowano przy ważnym trakcie handlowym łączącym Kraków ze Śląskiem, biegnącym przez wolne wtedy miasto Kleparz. Stał już na początku XIV wieku za nieistniejącym dziś kościołem św. Walentego, w pobliżu zbiegu późniejszych ulic Długiej i Pędzichów.

Ówczesne szpitale poza nazwą nie miały wiele wspólnego z dzisiejszymi. Były to raczej przytułki pozbawione funkcji terapeutycznych, zwykle pod opieką zakonników, gromadzące starców i chorych zakaźnie, przede wszystkim w celu ich izolacji. Pierwszy krakowski szpital powstał w 1244 roku, w klasztorze zakonu duchaków przy dzisiejszym placu św. Ducha, przeniesiony tam z przedmieść. Gotycki klasztor i kościół rozebrano mimo protestów (1892) w związku z budową Teatru Miejskiego. Szpitale w dzisiejszym rozumieniu tego słowa przyniosła dopiero epoka oświecenia.

W przeciwieństwie do trądu, który dawał wyraźne objawy zewnętrzne, aż do XVI

wieku nie rozróżniano poszczególnych chorób zakaźnych. Stąd pojęcie „morowe powietrze” obejmowało zarówno tyfus i cholera,

Aż do XVI wieku nie rozróżniano poszczególnych chorób zakaźnych. Stąd pojęcie „morowe powietrze” obejmowało zarówno tyfus i cholera, jak i ospę. Ówczesne epidemie określano też często wspólnym mianem „dżumy”, bo to ona trapiła najczęściej.

jak i ospę. Ówczesne epidemie określano też często wspólnym mianem „dżumy”, bo to ona trapiła najczęściej. Apogeum przyszło tuż przed ochłodzeniem klimatu, pod koniec XV wieku, kiedy epidemie dżumy (w Europie zwanej „czarną śmiercią”) zdarzały się w Krakowie co 2-3 lata.

Klimatyczne oziębienie nie poprawiło sytuacji, niosąc u progu XVI wieku nowe zagrożenia. Zapewne za sprawą ożywionych kontaktów z Italią w Krakowie pojawiła się kiła. Ponieważ przenoszona była drogą płciową i niosła ciężkie niekiedy powikłania, żadna z nacji nie chciała się do niej przyznać. I tak Włosi i Niemcy nazywali ją chorobą francuską, Francuzi angielską, a Rosjanie polską... Leczenie – raczej nieskuteczne – polegało na wcieraniu maści z rtęcią i ogrzewaniu ciała w piecu, celem wywołania potów. Chorych izolowano w prowizorycznym szpitalu św. Sebastiana i Rocha, urządzonym w 1528 roku na wysepce pośrodku rozlewk – pomiędzy murami obronnymi i Wisłą – w okolicy dzisiejszej ul. św. Sebastiana. Szpitalik wraz z kaplicą przetrwał tam do początku XVIII wieku.

Ciekawy obraz dają zachowane statystyki. W latach 1500-1750 odnotowano w Krakowie 92 epidemie, zdecydowanie najwięcej spośród polskich miast. W latach 1601-1650 w Krakowie było 19 epidemii, podczas gdy w Warszawie – 33. Suche liczby nie dają jednak pełni obrazu, bo na przykład w latach 1651-1652 prawdopodobnie czarna ospa zabrała tu około 25 tysięcy ofiar, a kolej-



Doktor Schnabell z Rzymu, XVII-wieczna rycina przedstawiająca lekarza w skórzanym uniformie i masce z długim dziobem, mieszczącym zioła i wonne olejki mające chronić przed zakażeniem, Iconographic Collections © Wikimedia Commons

na zaraza, trwająca (z przerwami) w latach 1676–1681, jeszcze 22 tysięcy. Później liczba zachorowań w obu miastach była porównywalna, przy czym pamiętać należy, że War-

fus, który po raz pierwszy nawiedził miasto, w latach 1707–1708 zabrał ponad 7 tysięcy istnień. Chorych wywożono poza miasto – najczęściej na Błonia – gdzie w skleconych naprędce szałasach oczekiwać mieli wyzdrowienia, ale znacznie częściej zabierała ich śmierć. Ofiary przewożono na wzgórze salwatorskie, na doraźnie urządzone cmentarzysko, obok drewnianego kościoła św. Małgorzaty. Zwłoki chowano w głębo-

Pod koniec XV wieku epidemie dżumy (w Europie zwanej „czarną śmiercią”) zdarzały się w Krakowie co 2–3 lata.



Drzeworyt przedstawiający Żydów palonych żywcem, oskarżanych o szerzenie zarazy, ilustracja z *Kroniki Norymberskiej*, 1493, Iconographic Collections © Wikimedia Commons

szawa była już zawsze o wiele większym skupiskiem ludności.

Warto przypomnieć, że Kraków miał już w XIV wieku, zbudowany nieopodal dzisiejszego klasztoru Reformatów, wodociąg, czyli tak zwany rurmus – główny zbiornik wody rozprowadzanej drewnianymi rurami w głąb miasta, oparty na zasadzie grawitacji (wodę czerpano z płynącej fosą pod murami Rudawy). Jak widać ze statystyk, tak ważne dla higieny urządzenie miało jednak ograniczony wpływ na liczbę zachorowań. Niestety, ów rurmus wraz z instalacjami zniszczony został przez Szwedów w 1655 roku i nigdy już nie odbudowano go w tej postaci. Miasto musiało czekać na wodociągi jeszcze przez niemal 250 lat.

Niespokojny wiek XVIII i reformy oświecenia
Początek XVIII wieku to jedne z najtrudniejszych lat w historii Krakowa. Po czterokrotnej okupacji wojsk szwedzkich, grabieżach i kontrybucjach, znów przyszła zaraza. Ty-

kich dołach, przesypując je wapnem – jedynym dostępnym środkiem dezynfekującym. Po kilkudziesięciu latach szczątki przeniesiono na pobliski cmentarz obok kościoła Najświętszego Salwatora.

W czasach zarazy miasto zawsze pustoszało. Pozostawała głównie biedota i niezbędne do utrzymania porządku służby, kierowane przez wyposażonego w specjalne kompetencje burmistrza zwanego „powietrznym”. Zamykano szkoły, oberże, ograniczano handel. Niekiedy zabraniano nawet wygłaszania kazań. Dbano o stan sanitarny, który zwykle urągał zasadom higieny, by wspomnieć tylko o nieczystościach wyrzucanych przed domy i otwartych rynsztokach.

Koniec wieku XVIII przyniósł kolejne epidemie rozpoznawalnych już chorób, jak febra (1783) czy ospa (1784 i 1789). Wkrótce z powodu zagrożenia zarazą zabroniono pochówków w obrębie murów miejskich. Zmarłych grzebano odtąd głównie na cmentarzu przy kościele św. Piotra na Gar-



Triumf śmierci Pietera Bruegla Starszego, przedstawiający epidemii dżumy, olej na płótnie, 1562, Iconographic Collections © Wikimedia Commons

barach (podobnie zlokalizowany jest obecny klasztor i kościół Zmartwychwstańców przy ul. Łobzowskiej 10). Ciekawe, że obok tamtej świątyni funkcjonował przez pewien czas pierwszy cmentarz powszechny, jednak obyczaj pochówku poza miastem i własną parafią nie przyjął się. Być może okazał się zbyt nowatorski.

Ów pochówek poza miastem był jedną z reform zgodnych z duchem kulturowych przemian epoki oświecenia. Skutkiem była likwidacja licznych parafialnych cmentarzy położonych obok śródmiejskich kościołów. Równocześnie na gruntach wsi Prądnik Czerwony rozpoczęto prace przy wytyczeniu terenu pod wielki cmentarz komunalny, otwarty ostatecznie w 1803 roku, nazwany później Rakowickim.

Wiek XIX – czas cholery i przemian

Kiedy powoli zapomniano o dżumie, z Azji przyszła kolejna zaraza. W 1831 roku pojawiła się w Krakowie cholera, zwana „choro-

W czasach zarazy miasto zawsze pustoszało. Pozostawała głównie biedota i niezbędne do utrzymania porządku służby, kierowane przez wyposażonego w specjalne kompetencje burmistrza zwanego „powietrznym”. Zamykano szkoły, oberże, ograniczano handel. Niekiedy zabraniano nawet wygłaszania kazań.

bą brudnych rąk”. Na ziemi polskiej przyszła wraz z rosyjskimi żołnierzami tłumiącymi powstanie listopadowe i wkrótce rozprzestrzeniła się na resztę Europy. Jak wspominał dziejopis Ambroży Grabowski:

„Rząd krakowski założył szpital na zamku w pałacu niegdyś królów; były tam urządzone łóżka, z wierzchu pokryte ceratą zieloną na obręczach. Ludzie do tego najęci stali

w pogotowiu w gmachu policji m. Krakowa i gdy kto zachorował, spieszyli do niego z tym ekwipażem prawie śmiertelnym, w którym przenoszono go do lazaretu cholerycznego. Zdarzyło się, że wyszedłszy na przedmieścia spotykałem się dwa lub trzy razy z takimi przenosinami. Prawie w każdej wsi obrane były osobne miejsce i założony cmentarz choleryczny – i mnóstwo takich cmentarzów do-

W 1801 roku w krakowskim Szpitalu św. Łazarza po raz pierwszy wykonano szczepienie przeciw ospie prawdziwej, potocznie zwanej „czarną”. Stało się to zaledwie pięć lat po wynalezieniu i zastosowaniu przez Anglika Edwarda Jennera pierwszej takiej szczepionki.

ąd widzieć się daje i pozostanie na długo pomnikami strasznej plagi, którą Wszechmocny na świat przypuścił”.

Cholera nawiedzała Kraków jeszcze w 1849, 1855, 1866 i 1873 roku, pochłaniając każdorazowo ponad tysiąc ofiar. Ostatnia poważna epidemia tej choroby przytrafiła się w latach 1892–1893. Zmarłych grzebano daleko od ludzkich siedzib, niekiedy we wspólnych grobach. Smutną pamiątką po zarazie są tak zwane kapliczki choleryczne, zachowane licznie w obecnych granicach miasta. Ten zdominowany przez cholere ponury obraz sanitarnego stanu XIX-wiecznego Krakowa dopełniły jeszcze epidemie tyfusu (1846) i odry (1852).

Mimo to nie ulega wątpliwości, że XIX wiek przyniósł wielki postęp medycyny w walce z epidemiami. Już w 1801 roku w krakowskim Szpitalu św. Łazarza po raz pierwszy wykonano szczepienie przeciw ospie prawdziwej, potocznie zwanej „czarną”. Stało się to zaledwie pięć lat po wynalezieniu i zastosowaniu przez Anglika Edwarda Jennera pierwszej takiej szczepionki.

Dopiero w ostatniej ćwierci stulecia poprawiły się warunki sanitarne miasta. W końcu lat 70. XIX wieku dzięki staraniom prezydenta Józefa Dietla rozpoczęto wreszcie sukcesywne zasypywanie koryta starej Wisły, od lat zamulonego, uznawanego za wylęgarnię bakterii. Stulecie kończyło się mocnym akcentem, bo w 1897 roku Rada Miejska podjęła zbawienną decyzję o budowie wodociągu zasilanego wodą gruntową z odwiertów w okolicy Bielan. Charakterystyczne, wzniesione z czerwonej cegły zabudowania przetrwały do dziś bez większych zmian przy ul. Księcia Józefa. 14 lutego 1901 roku dokonano uroczystego otwarcia sieci. Była to jak dotąd największa i najkosztowniejsza inwestycja komunalna w dziejach Krakowa. Po-

nadto w 1906 roku zaczęto budować nowoczesną sieć kanalizacyjną.

W uścisku Wenery

Plagą prześladowaną wojsko na wszystkich frontach były od zawsze choroby weneryczne. W czasie I wojny światowej zarówno francuskich, jak i niemieckich żołnierzy zaopatrywano w prezerwatywy, które niemiecki sztab



Kapliczka z 1871 roku, u zbiegu ulic Zielnej i Szwedzkiej, przy dawnym cmentarzu cholerycznym, fot. 1937, archiwum K. Jakubowskiego

generalny uznał za wyposażenie równie ważne jak broń i amunicja. Ich stosowania przestrzegano zwłaszcza w przenośnych burdelach polowych sytuowanych za linią frontu. Było to zapewne pierwsze na tak wielką skalę zastosowanie prezerwatywy, znanej już od XVII wieku. Długo do ich produkcji używano surowców naturalnych (między innymi jelit baranich) i dopiero w drugiej połowie XIX wieku rozpoczęto masową produkcję prezerwatyw gumowych. Zważywszy jednak, że tużin kondomów kosztował aż 6 koron – mniej więcej tyle, ile wizyta w domu publicznym – należy wątpić, by były one wtedy powszechnie stosowane.

Nie wiadomo, czy intendentura c.k. armii była tak zapobiegliwa jak niemiecka, ale faktem jest, że „wstydlive choroby” przytrafiały się żołnierzom garnizonu krakowskiego – zwiększonego w obliczu wojny do 12 tysięcy

– raczej sporadycznie. Co ciekawe, w Krakowie aż 80 proc. hospitalizowanych stanowiły panie, o czym świadczą zachowane protokoły oddziału V Szpitala św. Łazarza. „Pójść do Łazarza na piątkę” – oznaczało dłuższą przerwę w karierze.

Gwałtowny wzrost zachorowań odnotowano zwłaszcza w latach 1916–1917. Tyłko w miesiącach letnich 1917 roku leczono u św. Łazarza ponad 50 kobiet. Przypadłości nie omijały wcale pensjonariuszek pięciu działających wtedy domów publicznych, chociaż policja dość rygorystycznie przestrzegająca obowiązku prowadzenia książeczek zdrowia i okresowych badań. Prawdziwa epidemia padła na dom nierządu przy ul. Pawiej 26. Latem tegoż 1917 roku cała siedmioosobowa obsada przeniosła się na oddział V Szpitala św. Łazarza. Była to prawdopodobnie jedna z przyczyn rychłego zamknięcia tej zastróżonej, działającej niemal od ćwierćwiecza placówki.

Powojenny pejzaż z „hiszpanką”

I wojna światowa radykalnie zahamowała w miarę stabilny dotąd rozwój miasta. W ostatnim roku wojny deficyt najprostszych, niezbędnych do życia towarów osiągnął apogeum. Brakowało nie tylko żywności, ale też odzieży i obuwia. Katastrofalny był stan zaopatrzenia miasta w węgiel. Nie dziwi zatem, że zwiększyła się w Krakowie zachorowalność na gruźlicę, tyfus i ospę. Były też przypadki cholery, czerwionki, płonicy i duru brzuszego.

Ważnym wydarzeniem było otwarcie w 1917 roku przy ul. Prądnickiej 80 Miejskich

W okresie międzywojennym, dzięki poprawie warunków sanitarnych, działaniom profilaktycznym i szczepieniom, liczba zachorowań i zgonów na choroby zakaźne znacząco spadła.

Zakładów Sanitarnych, obejmujących zakład dezynfekcyjny, dom izolacyjny, szpital epidemiczny i laboratorium bakteriologiczne. Władze miasta starały się walczyć z chorobami, stosując szeroko szczepienia i kwarantanny. Najbardziej obawiano się cholery, toteż w kilku rejonach miasta – między innymi obok dworca towarowego – ustawiono baraki na przyjęcie chorych. Jak się niebawem okazało, to nie cholera była największym zagrożeniem.

Jesienią 1918 roku przyszła pandemiczna odmiana grypy nazwanej „hiszpanką”, zabierając setki ofiar. Wbrew nazwie trafiła do Europy wraz z amerykańskimi żołnierzami. 28 września 1918 roku wszystkie dzienniki alarmowały: „Hiszpańska influenza szerzy się w Krakowie gwałtownie. Szacuje się, że w tygodniu zapada na nią kilkaset osób. Zdarzają się też wypadki, że choroba ta przeradza się w zapalenie płuc i wtedy często kończy się śmiercią. W ubiegłym tygodniu w jej wyniku zmarło 21 osób”. Nie doliczono się nigdy liczby ofiar „hiszpanki” w Krakowie. Charakterystyczne, że śmierć czyhała zwłaszcza na ludzi młodych, w przedziale wieku od 20 do 40 lat. Dopiero w okresie międzywojennym, dzięki poprawie warunków sanitarnych, działaniom profilaktycznym oraz



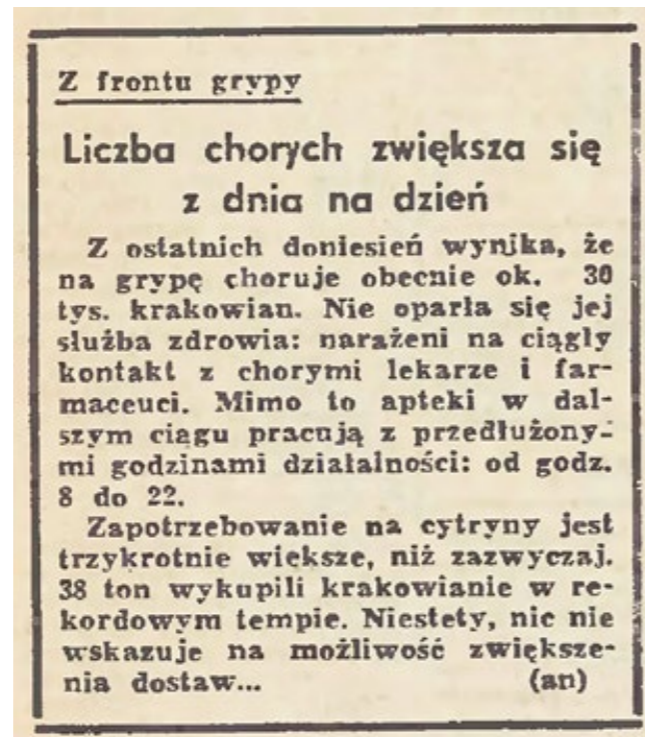
Baraki przeznaczone dla chorych na cholere postawiono w sąsiedztwie dworca towarowego, widokówka, ok. 1916, archiwum K. Jakubowskiego

szczepieniom liczba zachorowań i zgonów na choroby zakaźne znacząco spadła.

Czas PRL-u: polio, tyfus i grypa Hongkong
Również po II wojnie światowej – znowu dzięki ułatwionemu dostępowi do powszechnej opieki zdrowotnej i szczepień – nie dochodziło w Krakowie do masowych tragedii epidemiologicznych. Ale oczywiście choroby zakaźne wciąż się pojawiały.

Oto w 1947 roku Kraków stał się ogniskiem rzadko dotąd notowanej w Polsce choroby Heinego-Medina, zwanej też polio (ponad 300 przypadków). Niestety, już w 1951 roku

Fatalne skutki miała trzecia mutacja grypy Hongkong, która zaskoczyła Kraków w połowie listopada 1971 roku. Zachorowało najwięcej jak dotąd, bo niemal 170 tysięcy krakowian. Przypadki śmiertelne przemilczano w oficjalnych statystykach.



Notatka dotycząca epidemii grypy z 30 stycznia 1969 roku, „Dziennik Polski”

choroba ta, atakująca najmłodsze dzieci, przybrała postać epidemii z 3 tysiącami zachorowań i 252 zgonami na terenie kraju. W ponad 90 proc. zarejestrowanych przypadków notowano postać porażającą, powodującą u większości chorych trwałe kalectwo. Jedyną skuteczną metodą walki z wirusem polio okazała się szczepionka.

Warto wspomnieć, że twórcą pierwszej szczepionki był pracujący w USA polski wirusolog Hilary Koprowski. W drugiej połowie lat 50. zastosowano doskonalsze szczepionki amerykańskich uczonych Janasa Salka, następnie Alberta Sabina (podawaną doustnie). Zatrzymało to skutecznie postępowanie choroby na całym świecie. Szacuje się, że na porażenie polio zachorowało w Polsce od 20 do 25 tysięcy osób.

Na początku czerwca 1957 roku, kiedy temperatura w Krakowie sięgała 28 stopni, z dnia na dzień wybuchła epidemia tyfusu z ogniskami w domach akademickich ASP przy ul. Dzierżyńskiego 21 (dziś Lea) i przy ul. Raławickiej. Malarz i scenograf Kazimierz Wiśniak, ówczesny student ASP, wspominał:

„Pogotowie jeździło tam i z powrotem. Przy drzwiach ustawiono miskę z płynem dezynfekującym – dla wchodzących i wychodzących. (...) W sklepach spryskiwano podłogi i ściany czymś smrodliwym. Nie było dnia bez ofiary”.

Pomogło rozplakatowanie zarządzenia o przymusowym szczepieniu wszystkich mieszkańców miasta od 5 do 60 lat. Epidemia wygasła po trzech tygodniach. Zachorowało 110 osób, w tym 23 spoza środowiska akademickiego. Kwarantanną objęto 190 osób.

W połowie stycznia 1969 roku nadeszła epidemia grypy o ciężkim przebiegu, charakteryzującej się wysoką gorączką. Po badaniach laboratoryjnych potwierdzono, że jest to rozpoznany wcześniej w Azji wirus A2 Hongkong 68. W Krakowie zgłaszano dziennie od 2 do 10 tysięcy zachorowań. Grypa dotknęła około 100 tysięcy krakowian, zamknięto 23 szkoły, teatry i wiele sklepów. Niestety, zdarzały się przypadki śmiertelne, przemilczane przez cenzurowaną prasę, by nie szerzyć paniki. W następnym roku wirus powrócił, ale już bez takich konsekwencji.

Fatalne skutki miała za to trzecia mutacja grypy Hongkong, która zaskoczyła Kraków w połowie listopada 1971 roku. Zachorowało najwięcej jak dotąd, bo niemal 170 tysięcy krakowian, a przypadki śmiertelne znów przemilczano w oficjalnych statystykach.

*

Obserwując dziś tragiczne postępy koronawirusa, wypada wyrazić nadzieję, by tamta epidemia sprzed półwiecza pozostała już na zawsze najpoważniejszą w historii Krakowa...



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

O Zagładzie – inaczej

Tekst: Witold Beres Ilustracja: Stanislav Setinsky (z książki – za zgodą wydawcy)

Petr! – powiedziałem łamiącym się głosem. Strasznie chciałem go jakoś podnieść na duchu, pomóc mu, ale nie potrafiłem. Na Boga, to przecież niemożliwe... I nagle wiedziałem. Nic nie mówiąc, jednym szarpnięciem odprułem gwiazdę Dawida z kurtki Petra i pognołem ją w dłoni. Potem podałem koledze rękę; ścisnął ją pewnie, jak za dawnych czasów, i wstał.

– Spadamy? – spytał i oczy mu zaświeciły.
– Spadamy! – odpowiedziałem i co sił w nogach popędziliśmy do domów.

*

To książka niezwykła, bo opowiadająca o Holocauście z perspektywy młodych chłopców, dzieciaków właściwie. Dzieje się w Czechach, i choć sytuacja tamtejszych Żydów była lepsza niż Żydów w Polsce, to talent literacki Tichego budzi w czytelniku te same emocje.

Sam Tichy (rocznik 1969, absolwent Wydziału Nauk Przyrodniczych w Pradze) jest przy tym nie tylko pisarzem, ale istotną częścią jego aktywności jest pedagogika (jest nauczycielem i twórcą oryginalnego systemu edukacji zbiorowej, założycielem małej niepaństwowej Wyższej Szkoły Przyrodniczej). Od lat zajmuje się tematem działalności młodzieży w getcie w Terezynie podczas II wojny światowej.

Jego *Transport* to rzecz wybitna i nic dziwnego, że w roku 2018 otrzymała czeską nagrodę literacką Magnesia Litera – odpowiednik polskiej Nike.

I choć fabuła powieści jest fikcyjna, to opiera się na autentycznych materiałach: tekstach młodzieży publikowanych w obozie w Theresienstadt, pamiętnikach Petra Ginzy oraz listach z więzienia Josefa Kratochvíla, członka czeskiego ruchu oporu.

Ten ostatni pisze, wiedząc, że zostanie rozstrzelany, do swej rodziny, ale jakby i do nas wszystkich:

„... przy przesłuchaniu od razu pobili mnie żelaznymi prętami po nerkach, skoro »nic nie wiedziałem«, zamknęli mnie w izolatce bez jedzenia i wody (...) sikałem krwią, piłem wodę z muszli sedesowej (...) nie martwcie się, byłem i będę dzielny, wy też bądźcie dzielni i ostrożni. Słuchajcie, nic nie da się zrobić, można tylko czekać, całkiem spokojnie. Są tu i tacy, którzy są zupełnie niewinni, szesnastoletnie i dwunastoletnie dzieci, za to, że rzuciły kamieniem...”.

List ten jest wkomponowany w narrację książki i gdy, rozplakując się, czyta go młody chłopak – wzruszenie ogarnia czytelnika.



Tak, to wzruszającą opowieść o przyjaźni, lojalności i poczuciu sprawiedliwości. Piękna, mądra książka.

Chciałbym, aby przeczytały ją kiedyś moje wnuki.



František Tichý, *Transport poza wieczność*, tłum. Anna Wanik, Wydawnictwo EMG, Kraków 2019.



Dzieci nie kłamią. Dzień w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Jan Zych

Jest 5 marca, czwartek. Kiedy wchodzę po godzinie 15 do Szpitalnego Oddziału Ratunkowego w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie, spotykam tłum oczekujących na swoją kolej rodziców z dziećmi. Małe dzieci układają klocki w kąciku zabaw, rodzice i dziadkowie siedzą ciasno na krzesłach pod ścianami. Dwa tygodnie później miejsce to będzie niemal puste.

Szpital wstrzyma wizyty w poradniach, odwołane zostaną planowe operacje. Wszystko z powodu pandemii. W tym szpitalu nie ma oddziału zakaźnego. Dzieci z podejrzeniem koronawirusa odwożone są do szpitala im. Żeromskiego. W części SOR-u powstanie dziesięciołożkowy oddział obserwacyjno-zakaźny.

Wtedy jeszcze tego nie wiem. Co prawda lekarze opowiadają, że pojedyncze osoby z podejrzeniem koronawirusa czasem przyjeżdżają na SOR, utrudniając normalną pracę, ale jeszcze nie obawiają się pandemii. Słyszę, że jest gdzieś w Azji, potem pierwsze przypadki we Włoszech, ale nadal jest to problem odległy. Trudno sobie wyobrazić, jak skomplikuje im życie...

5 marca 2020

W ciągu doby na SOR trafia około 140 pacjentów. Dyżur pełni anestezjolog, dwóch chirurgów, dwóch pediatrów, a po godzinie 15 również ortopeda. W dyżurach SOR uczestniczą też studenci medycyny, rezydenci i stażyści. Każdy pacjent najpierw trafia do triażu, czyli sali wstępnego rozpoznania, gdzie pracują dwie pielęgniarki i ratownik medyczny. – Jesteśmy na pierwszej linii frontu – mówi pielęgniarka, pani Edyta. – Zajmujemy się nie tylko dzieckiem, ale też rodzicem, bo czasem on jest w stanie wielkiego stresu, a przecież musi nam opowiedzieć, co dziecku dolega i pomóc w wykonaniu wielu medycznych czynności przy dziecku, musi zatem z nami współpracować.

Mały chłopiec niepewnie rozgląda się po dużym, szpitalnym pomieszczeniu, które nie przypomina mu ani domu, ani sali przedszkolnej. Mama trzyma go na kolanach, a pani pielęgniarka spokojnym tonem pyta o ulubione zwierzątko. „Zobacz, zaraz będziesz miał na rączce motylka” – mówi pielęgniarka i zanim dziecko orientuje się, co się dzieje, sprawnie wkłwa wenflon i podkleja go plasterem, w którym można dopatrzeć się skrzydeł motyla. Jednak chłopca chyba ta metafora nie przekonuje, oniemiały patrzy na swoją dłoń

z przyklejonym „motylkiem” i wykrzywia twarz gotowy do płaczu. Ale mama już zabiera go na korytarz, gdzie czeka babcia. Chłopiec ma bóle brzucha, musi zbadać go chirurg.

Dr hab. Piotr Wojciechowski, chirurg dzie-

Dr hab. Piotr Wojciechowski jesienią podczas 25. Zjazdu Światowej Organizacji Chirurgii Dziecięcej otrzymał nagrodę „Neonatal Surgical Award” za najwyższe osiągnięcia w chirurgii dziecięcej i noworodka.

cięcy i kierownik Szpitalnego Oddziału Ratunkowego, sprawnymi ruchami bada brzuch leżącego na kozetce dziecka. Znany jest z tego, że ma świetne podejście do dzieci. Nie boją się go. – Z dziećmi pracuje się bardzo dobrze, bo niczego nie udają, ich reakcje są dla nas czytelne. Dzieci po urazach i operacjach szybko wracają do normalnego stanu zdrowia, bo mają niesamowite możliwości regeneracyjne – wyjaśnia dr Wojciechowski. – Mogłoby się wydawać, że praca chirurga dziecięcego jest stresująca i wyczerpująca, ale po jakimś czasie zaczynamy poruszać się w kręgu schorzeń, które potrafimy z łatwością rozpoznać i nie czujemy zmęczenia czy stresu. Oczywiście czasami zdarzają się sytuacje nieoczekiwane – nie tylko związane z chorobami, ale na przykład dotyczące zbyt wczesnego eksperymentowania z własną seksualnością. Gdy na zdjęciu RTG stwierdzamy w pęcherzu moczowym kilkadziesiąt kulek magnesowych albo inne przedmioty wprowadzone przez pacjenta przez cewkę moczową, to budzi moje zdziwienie.

Do gabinetu wchodzi grupa studentów zagranicznych Wydziału Lekarskiego UJ. Przyszli wcześniej zdać egzaminy, bo obawiają się, że za chwilę pandemia koronawirusa pokrzyżuje im plany zajęć na uczelni. W Azji już ograniczane są planowe loty do niektórych krajów. Wiele miast w Chinach i Korei jest już odciętych od świata. USA, Kanada i Ara-

bia Saudyjska, z których pochodzą studenci zagraniczni, zalecieli powrót do domu. Krakowskie uczelnie pracują jeszcze w normalnym trybie, więc docent Wojciechowski przeprowadza egzamin z medycyny ratunkowej i chirurgii dziecięcej.

Pielęgniarka przewozi chłopca z podpiętą kroplówką na oddział obserwacji. Obok, na Oddziale Intensywnej Terapii SOR, przebywa trzyletni Wiktor z zapaleniem płuc. Wiktor urodził się z poważną wadą serca – hipoplazją lewego serca (HLHS). Jest po dwóch operacjach, ale czeka go jeszcze jedna. Oddycha przez respirator, karmiony jest przez sondę wprowadzoną bezpośrednio do żołądka (PEG). – Pochodzimy z województwa zachodniopomorskiego, ale kiedy dowiedzieliśmy, że syn ma HLHS, przeprowadziliśmy się do Krakowa. Wiedzieliśmy, że tu będzie operowany, chcieliśmy być bliżej szpitala – opowiada pani Dorota, mama Wiktora. – Po pierwszej operacji przeszedłem dwutygodniowe szkolenie,

Z dziećmi lekarzom pracuje się dobrze, bo niczego nie udają, ich reakcje są czytelne. A po urazach i operacjach szybko wracają do normalnego stanu zdrowia, bo mają niesamowite możliwości regeneracyjne.

jak opiekować się dzieckiem: nauczyłam się karmić go, dbać o higienę i obsługiwać respirator. Teraz wszystkie zakupki miksuję i podaję mu przez PEG, a respirator podłączamy tylko na noc. Jednak zapalenie płuc musimy leczyć w szpitalu.

Na drugim łóżku leży 11-letnia Ola, która od miesiąca skarży się na ból brzucha. – Jesteśmy z Rzeszowa, a teraz byliśmy u rodziny w Krakowie. Dzisiaj bóle brzucha się bardzo nasiliły, więc zdecydowałam się przyjechać do szpitala – opowiada mama Oli. – Byłam już u kilku lekarzy, ale córki nadal nie zdiagnozowano, mam więc nadzieję, że tu zostanie skierowana na gastroenterologię i może lekarze ustalą, co jej dolega.

Do sali chorych wchodzi dr Miłosz Przybyszowski, specjalista pediatra w SOR-ze. Konsultuje pacjentów, co do których młodsi lekarze mają wątpliwości diagnostyczne, oraz nadzoruje stan pacjentów na oddziale obserwacyjnym. Właśnie zakończył konsultację u nastolatki, która ma myśli samobójcze. Testy toksykologiczne wykluczyły obecność narkotyków i alkoholu, a zatem dziewczyna zostanie przewieziona na oddział psychiatryczny do Szpitala Uniwersyteckiego. Zlecił też kolejne badania neurologiczne chłopca, który od października skarży się na okresowe bóle głowy, a dzisiaj wystąpiło znaczące nasilenie dolegliwości. Sprawdza stan dzieci przyjętych na obserwację. – Lubię praco-

wać w SOR-ze, bo chociaż praca jest trudna, to daje satysfakcję – mówi dr Przybyszowski. – U dziecka wszystko przebiega błyskawicznie. Tu nie ma czasu na zastanawianie się, trzeba szybko podjąć decyzję i nie ma miejsca na błędy.

Rozmowę przerywa nam wezwanie telefoniczne z powodu zatrucia rodziny cza-dem. Matka dziecka została zabrana przez pogotowie na SOR dorosłych i toksykologię. Chłopiec jest w lepszym stanie, więc ojciec sam przywiózł go do szpitala. Doktor Przybyszowski decyduje, że chłopiec zostanie przyjęty na obserwację, ale raczej nie będzie wymagać terapii w komorze hiperbarycznej.

Tymczasem w triażu wstępnie zbadano już kilku następnych pacjentów. We wszystkich gabinetach uwijają się lekarze i studenci. Jedni dopiero się rejestrują, inni już idą na kolejne badania. Zmartwieni rodzice informują telefonicznie dziadków i ciotki, że są w szpitalu. Liczą godziny oczekiwania. Zmęczenie i irytacja są coraz bardziej odczuwalne. Niemowlęta płaczą, starszym dzieciom rodzice kupują w automacie soki i słodkie przekąski, nastolatki robią sobie selfie na tle szpitalnych plakatów promujących szczepienia. Jest już po 20. A pacjentów przybywa.

14-letnia Kamila spadła z konia. Nie może chodzić, bardzo boli ją biodro i noga. Ortopeda już skierował ją na prześwietlenie. Mama wiezie ją wózkem do pracowni RTG, gdzie na zdjęcie czekają już dwie inne nastolatki. Jedna zbyt mocno uderzyła ręką drzwi, druga uszkodziła sobie palec na WF-ie. Na wózku mama przywozi też chłopca, który skrzył kostkę na treningu piłkarskim. Niektórzy mają nawet ze sobą książki – to nie jest ich pierwsza wizyta w SOR, wiedzą już, że trzeba tu trochę poczekać na swoją kolej. Tymczasem ortopeda Michał Starmach przegląda wyniki prześwietlenia Kamili. „To tylko stłuczenie, nie ma złamania” – ocenia i wypisuje dalsze zalecenia. Następna jest dwuletnia dziewczynka ze złamaniem przedramienia. Pielęgniarka podaje znieczulenie miejscowe, a lekarz nastawia złamanie w gabinecie zabiegowym. Rodzice wyglądają na przerażonych, ale dziecko nawet nie zapłakało. – U dorosłych takie złamanie wymaga leczenia operacyjnego, ale dzieci mają większą zdolność do przebudowy kostnej. Teraz wystarczy tylko założyć gips i wszystko powinno się dobrze zagoić – wyjaśnia doktor Starmach. – SOR przeznaczony jest dla pacjentów z ciężkimi urazami oraz stanami zagrożenia życia. Natomiast najczęściej zgłaszają się osoby z błahymi kontuzjami: stłuczeniami palców czy niegroźnymi złamaniami, które wymagają tylko unieruchomienia w temblaku. Naprawdę niebezpieczne urazy zdarzają się na trampolinie, zwłaszcza jeśli korzysta z niej kilkoro dzieci jednocześnie.

Doktor Starmach zostaje wezwany na blok operacyjny, ponieważ przywieziono karetką



chłopca z poważnym złamaniem. Chłopiec został już wstępnie zdiagnozowany w rejonowym szpitalu. Tam jednak nie przeprowadza się takich operacji u dzieci, specjalistyczny zespół jest tylko w Prokocimiu. Doktor szybko opuszcza gabinet, a na korytarzu rozlega się szmer niezadowolenia. Pacjenci będą teraz musieli poczekać dłużej.

Pod gabinetem chirurgicznym też kolejka. Chłopiec z rozbitą głową, 11-latką z podejrzeniem zapalenia wyrostka i 18-miesięczny chłopiec, który prawdopodobnie połąknął mały element zabawki. Prześwietlenie nie wykazało ciała obcego w drogach oddechowych, ale dziecko musi być hospitalizowane. Gdy nasiliły się problemy z oddychaniem, trzeba będzie wykonać bronchoskopię, czyli badanie umożliwiające dostanie się za pomocą wziernika i kamery do tchawicy i oskrzeli.

Docent Wojciechowski sprawdza w komputerze informacje o nowych pacjentach. Na korytarzu czeka mnóstwo pacjentów, wszyscy mają białe urazy, które właściwie powin-

„Chyba sam jestem wiecznym dzieckiem, więc potrafię zrozumieć ich zwariowane pomysły”.

Dr hab. Piotr Wojciechowski, chirurg dziecięcy

ny być zaopatrzone w poradni. – Sezon na poważne urazy dopiero przed nami – zauważa. – Mam na myśli oczywiście motory i quady. Złości mnie, kiedy rodzice kupują dzieciom na komunię quad. Jest to bardzo niebezpieczny prezent. Uważam, że na quady powinno obowiązywać prawo jazdy.

W tym momencie pojawia się młoda lekarka, która informuje o przyjęciu 8-letniej dziewczynki zgwałconej przez 14-letniego chłopaka, krewnego rodziny. Takie sytuacje nie zdarzają się często, więc trzeba wdrożyć odpowiednią procedurę. – Już spotykaliśmy się z podobnymi sytuacjami. Teraz seksualizacja dzieci następuje dużo wcześniej. Dostęp do pornografii jest tak łatwy, że dzieci nie wiedzą już, co jest zbrodnią, co filmem, a co rzeczywistością – wyjaśnia dr Wojciechowski. Zespół lekarski stara się stworzyć dobrą atmosferę wokół dziecka. Dziewczynka zostaje przewieziona na oddział ginekologii do Szpitala Uniwersyteckiego w celu wykonania specjalistycznych oględzin. Lekarze stwierdzają, że była już wcześniej wykorzystywana seksualnie.

Po godzinie 23 korytarze SOR pustoszeją. – Zawsze zazdrościłem ortopedom i chirurgom, bo oni głównie mają pacjentów po południu i wieczorem, kiedy dzieci mają zajęcia sportowe albo wychodzą na podwórko, ale później już te urazy zdarzają się rzadko.

A infekcje z wysoką temperaturą zaczynają się w nocy i to jest dla nas najintensywniejszy czas – wzdycha doktor Przybyszowski. I to nie zmieni się nawet później, kiedy obowiązować będzie kwarantanna z powodu pandemii.

19 marca 2020

Oczywiście, dzieci nadal chorują, ale znaleźć nie poradni, w której przyjmie ich endokrynolog, kardiolog czy dermatolog jest bardzo trudne. Wielu specjalistów korzysta z telemedycyny, prowadzą konsultacje online, analizują wyniki i zdjęcia przesłane pocztą e-mail, wysyłają e-recepty i zwolnienia lekarskie. Ale lekarze stają przed wieloma problemami organizacyjnymi: trzeba usunąć szwy, zdjąć gips, operować złamania i nagłe stany zapalne, a brakuje pielęgniarek, instrumentariuszek, rejestratorek i lekarzy, bo personel medyczny też trafia na kwarantannę albo opiekuje się własnymi dziećmi, które nie chodzą do szkoły i przedszkola. Zaczyna brakować maseczek jednorazowych i rękawiczek. Dzieci nadal trafiają na SOR z gorączką, drgawkami, wymiotami i zapaleniem wyrostka. Ale już sama praca na SOR-ze zorganizowana jest inaczej. Pierwsza rozmowa odbywa się przez domofon. Jeśli rodzina wraca z zagranicy lub miała kontakt z osobą zarażoną COVID-19, natychmiast wzywana jest specjalistyczna karetka transportowa, a pacjent przewożony jest na oddział zakaźny. Inne dzieci z objawami infekcji trafiają najpierw do izolatki. Są dwa takie pomieszczenia. Jeśli pacjentów jest więcej, czekają w samochodzie. Wszyscy są spokojni i pełni zrozumienia. Bez zbędnych dyskusji wykonują polecenia personelu medycznego. Lekarz ubrany w maseczkę, rękawiczki i fartuch ochronny pobiera wymaz od chorego dziecka. Dopiero po potwierdzeniu, że dziecko ma grypę lub inną infekcję dróg oddechowych, lekarz podejmuje następne działania diagnostyczne. – Wydaje się, że koronawirus nie jest groźny dla dzieci, dla nich dużo groźniejsza jest grypa – wyjaśnia doktor Przybyszowski. – Ale musimy bardzo uważać, by nie zakazić pacjentów przebywających na oddziałach i naszego personelu. Przecież wiemy już, że dzieci, które miały dodatni wynik na koronawirusa, nie miały żadnych objawów chorobowych, ale mogą zarażać innych. A zatem dla nas dziecko z zapaleniem wyrostka, z cukrzycą albo padaczką może być „koniem trojańskim”. I tego się najbardziej obawiamy.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiczka, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

„Portrety 2020” (maj)

Opracowanie: Witold Bereś

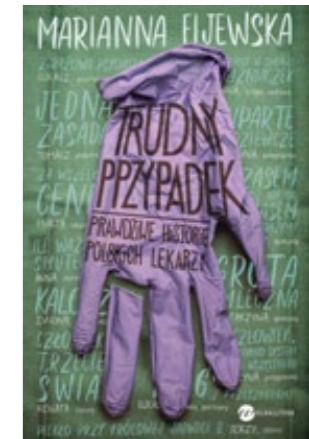
Pandemia? Siłą rzeczy czas na smakowanie kultury. Biografia człowieka, społeczności, miejsca... W kolejnych miesiącach na bieżąco przedstawiamy najciekawsze portrety obecnego roku.

„Mija może dziesięć minut. Do mieszkania wpada ekipa reanimacyjna, w tym moja starsza koleżanka, bardzo doświadczona lekarka, która później została ordynatorką OIOM-u. (...) Na progu stoi dziewczynka cztero- może pięcioletnia. Piżamka, włoski potargane. Musiałem ją obudzić. Obserwuje nas, dociera do niej, co się wydarzyło, dobiega do trupa swojej matki, przytula się, krzyczy: »Mama, mama, obudź się!«. A mama się nie budzi. Potrzęsa, płacze: »Mama, wstawaj!«. A ja się trzęsę, będę rzygał”. Książka niby oparta na prostym modelu rozmów, lecz zawsze ma dobrą formę – wywiad,

opowieść, reportaż. Lekarzy codzienna katorga, główniane wsparcie państwa, odpowiedzialność i etyka. Dwadzieścia krótkich historii o służbie zdrowia. Niby opowieści, które zdarzają się raz na milion. Często przypadki na styku nauki, wiary i nadziei. Zawsze o sumieniu.

Ta książka – może z racji kontekstu Zarazy? – naprawdę bije po gardle. Tak są tacy lekarze. Dzisiaj ich jest naprawdę wielu. To jest ich portret prawdziwy. **Marianna Fijewska, Trudny przypadek. Prawdziwe historie polskich lekarzy, Wielka Litera, 2020.**

(wb)



Począwszy od prowokującego tytułu, poprzez treść oraz wysuwane wnioski jest to książka przełamująca wszelkie stereotypy dotyczące dzieła powojennej odbudowy Warszawy. Grzegorz Piątek, krytyk i historyk architektury, oddał nam w ręce monografię ze wszech miar ważną i przełomową. Podważa jednocześnie mit „Paryża Północny” (z jego urbanistycznymi niedoskonałościami) oraz mit Moskwy narzucającej nam socrealistyczny szablon planowania. Nie o historyczną sprawiedliwość czy uprzedzenia wobec PRL tu chodzi, lecz o oddanie głosu tym, którzy na gruzach zburzonej stolicy projektowali miasto na miarę potrzeb i możliwości. A, jak się przekonamy, w War-

szawie (paradoksalnie) możliwości były największe również dzięki komunistycznej dyktaturze. Piątek buduje narrację z perspektywy rywalizujących koncepcji wewnątrz środowiska Biura Odbudowy Stolicy. Wie o czym mówi, analizując powojenny „sen o Warszawie” i rolę dalekosiężnych, ryzykownych planów. O jego nieugiętej postawie i miłości do miasta niech zaświadczy to, że w 2013 roku zrezygnował z funkcji Naczelnika Wydziału Estetyki UMW, gdy jego funkcja okazała się czysto formalna.

Grzegorz Piątek, Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944–1949, W.A.B., Warszawa 2020.

(Jakub Wydrzyński)

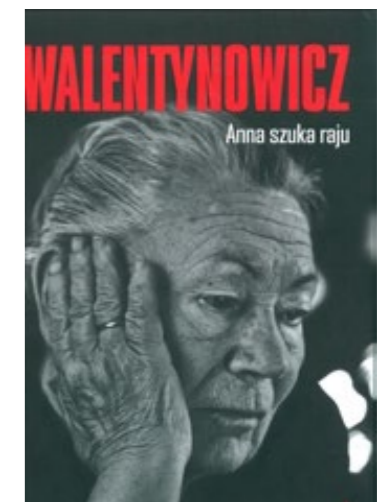


Są książki, które czekają na swój czas. Ta udowadnia, że nastał czas pełnej historii Anny Walentynowicz, czyli ukraińskiej dziewczyny z Wołynia, bohaterki „Solidarności”, która jednak nie udźwignęła swojej legendy. Kreśli cechy charakteru, które pozwoliły Annie przetrwać wojnę i jednocześnie skonfliktowały z wieloma osobami. Andrzej Wajda miał kiedyś odrzucić płynące z Zachodu propozycje nakręcenia filmu o niej. Na Annie ze stocznicy poległ Volker Schlöndorff. Hanna Krall stworzyła klasyczny portret w roku 1980, lecz dopiero po tragicznej śmierci bohaterki i demistyfikacji wielu wątków, po wojnach plemiennych dawnych opozycjonistów przyszedł czas na dzieło, które „nie ocenia, nie interpretuje”.

Napisana jak dobry scenariusz, trzyma w napięciu, wciąga i zaskakuje do ostatniego zdania. Genialna jest tu polifonia skonfrontowanych głosów: Wałęsy, rodziny Anny, agentów SB, działaczy, dziennikarzy. W galerii osobliwych przewijających się przez 500 stron dostajemy materiał ludzki na kilka sezonów w Netflixie, jak chociażby relację mieszkającej w domu pomocy agentki SB, która o donoszeniu na opozycjonistów opowiada jak o najlepszej przygodzie życia. Co więcej, to wizja lokalna przez półwiecze kraju, w której możemy przejrzeć się jak w lustrze.

Dorota Karaś, Marek Sterlingow, Walentynowicz. Anna szuka raju, Znak, Kraków 2020.

(kb)



Wolność, a nie pomnik (w stulecie urodzin Karola Wojtyły)

Tekst: Marcin Król Zdjęcie: pomnik Jana Pawła II w Fatimie © Wikimedia Commons

Kościół nigdy nie rozumiał i nie zapoznał się z lekcją liberalizmu. Liberalizm jako nurt filozoficzny i polityczny nigdy nie rozumiał i nie zapoznał się z lekcją Kościoła.

Dowodów na to, co nie miara. Pojawiają się jednak dwa pytania: czy trzeba słuchać wszystkich lekcji i czy można zrozumieć człowieka mówiącego w nieznanym języku. Otóż odpowiedź jest prosta: nie trzeba słuchać wszystkich lekcji, ale trzeba wiedzieć, dlaczego ich się nie słucha lub tylko nic o nich sensownego się nie wie. Kto odrzuca inną wiedzę, tylko dlatego że inna – nie jest rozumny. Brak rozumności w tym przypadku wystąpił po obu stronach. Jeżeli natomiast nie uczynimy wysiłku, by uchwycić chociażby podstawy obcego języka, rozmowa, rozumienie jest niemożliwe. W XIX, XX i XXI wieku niewiele takiego wysiłku uczynili filozoficzni zwolennicy religii katolickiej (bo tu mowa o filozofii, a nie o wierze) i podobnie filozofia liberalna. Dlatego mówienie o „katolicyzmie liberalnym” jest nonsensem

Jan Paweł II jako myśliciel religijny uczynił kolosalny krok w kierunku liberalnego systemu życia: jednoznacznie pozytywnie ocenił wolnorynkową naturę gospodarki. Jednak z opisu, jak przedstawia się efektywna gospodarka, nie wyciągał żadnych wniosków moralnych czy filozoficznych na temat liberalnej czy neoliberalnej propozycji.

lub – w lepszym przypadku złudzeniem – jak mówienie o nieistniejącym zwierzęciu. Filozof nie wskaże na żaden przypadek myśli, którą określiłby mianem „katolicyzmu liberalnego”. Były oczywiście rozmaite próby – bo czego to nieroztropni ludzie nie próbują – żadnej z nich jednak nie udało się przekroczyć poziomu taniej publicystyki.

Jan Paweł II – piszę o filozofie i myślicielu religijnym, a nie o papieżu – nie bez powodu nie zajmował się liberalizmem. Uczynił jednak jeden kolosalny krok w kierunku liberalnego systemu życia – a mianowicie jednoznacznie pozytywnie ocenił wolnorynkową naturę gospodarki. Nie całkiem zdajemy sobie sprawę z tego, jak poważny był to krok po trudnych do pojęcia solidaryzmach i korporacjonizmach Piusa XI czy „trzeciej drodze” Piusa XII. Jednak Jan Paweł II nie wyciągał z opisu, jak przedstawia się efektywna gospodarka, żadnych wniosków moralnych czy filozoficznych na temat liberalnej czy neoliberalnej propozycji. Nie dlatego, że nie słyszał o nich, lecz dlatego, że idea podstawowa liberalizmu, czyli wolność, była przez niego rozumiana jako wolność osoby ludzkiej w obliczu Boga.

Nie zamierzam w krótkim tekście wyklądać tego rozumienia, pewnie zresztą bym nie umiał, ale warto skierować uwagę na dwie kwestie, niesłychanie skomplikowane, o których jednak wolno mówić w uproszczeniu. Wolność dla Jana Pawła II, co dokładnie opisuje w bardzo trudnej filozoficznej encyklice *Fides et ratio*, jest kwestią rozumu przede wszystkim, a dopiero w konsekwencji wiary. Ta kolejność jest bardzo ważna, gdyż z tego wynika pojmowanie ograniczenia wolności w świecie doczesnym. Wynika także pojmowanie tego, co niesmienni duchowni określają mianem „kary Bożej”. Wolność, jaką dysponujemy na tym świecie – to oczywiście moja interpretacja wspomnianej encykliki – musi być wolnością wykorzystaną. I tylko my jesteśmy za jej wykorzystanie odpowiedzialni. Pan Bóg nie prowadzi nas za rękę. Nie karze też i nie nagradza za jej niewłaściwe bądź właściwe wykorzystanie. Pan Bóg obdarza nas łaską i czyni to sposób całkowicie arbitralny. Gdyby bowiem miał nas karać i nagradzać, nie byłby wolny, a przez nas ograniczo-



ny w swojej wolności. Wiem, że spór na ten temat toczy się co najmniej od św. Augustyna i po części znam historyczne oraz filozoficzne argumenty, ale tylko takie myślenie o roli i sposobie posługiwania się wolnością ma w katolicyzmie sens. W każdym razie ja tak stanowczo sądzę.

W wielu punktach myślenie to jest zbieżne z liberalną ideą wolności w interpretacji proponowanej od Johna Stuarta Milla po Charlesa Taylora (katolika zdeklarowanego). Idea wolności wykorzystanej jest w tym nurcie również silnie obecna. Jednak podstawowa i nieprzekraczalna różnica polega na kwestii łaski. W myśleniu liberalnym łaska brak. Niektórzy liberałowie bywają z tego powodu dumni, że niby są sami w pustym świecie i sami w swoim świeckim sumieniu podejmują się oceniania samych siebie. Inni, bliżsi mi, mają wiele kłopotu z problemem wykorzystania wolności, gdyż rozumieją zarówno ryzyko związane z przekroczeniem granic, które sami sobie stawiają, jak i to, że wielu spośród nas nie potrafi odwołać się do swojego świeckiego sumienia. Nie dlatego, że go nie mamy, lecz dlatego, że jesteśmy leniwi i nie myślimy.

Bardzo to skomplikowane i bardzo zarazem ważne w naszych czasach, bo życie bez religii może być beznadziejnie trudne, tak jak bardzo trudne jest życie z religią. Nie mamy też żadnego drogowskazu, jeżeli nie mamy daru łaski, a ten nie służy nam jak woda z prysznicy. Pamiętajmy o Pascalu. Leszek Kołakowski przez wiele dekad myślał i pisał o Pascalu od wynikających z jego poglądów problemach, bo też mało jest równie pasjonujących kwestii filozoficznych na świecie. Spróbujmy jednak otworzyć nowy wątek w tym tekście i powiedzieć słów kilka o sprawie łaski, zawsze wynikającej z miłości Bożej.

Jan Paweł II jako myśliciel i nauczyciel ostatnią dekadę, może dłużej, swoich rozważań poświęcił miłosierdziu Bożemu. Podobną drogą idzie Franciszek, chociaż mniej o tym pisze. Już encyklika *Dives in misericordia* zapowiada tę drogę. Pozwolę sobie teraz na nadinterpretację myśli Jana Pawła II i zaznaczam, że nie mam żadnych dowodów na to, że On tak właśnie myślał. Dowodów nie, ale przesłanki – tak. To pozwala na interpretację bez obawy o głupotę, chociaż zawsze z obawą, że racji się nie ma.

Otóż wyobraźmy sobie – w trudnych czasach trzeba dawać upust wyobraźni – że zamiast takich wspaniałych, ale mało skutecznych instytucji jak społeczeństwo obywatelskie i samorządy, wprowadzamy zupełnie inne zasady współżycia społecznego, a w konsekwencji zapewne i politycznego. Nie chcę, nie chcemy rezygnować z cnót liberalnych, ale może będzie łatwiej o porozumienie na zasadach miłosierdzia. Proszę się nie dziwić i nie oburzać. Nikt nie zamierza

naruszać naszej wewnętrznej i społecznej wolności. Jeżeli jednak poważnie myślimy o solidarności, to musimy ją oprzeć na silnych fundamentach. Solidarność sama w sobie to tylko i aż relacja między ludźmi, która – z natury rzeczy – nie mówi nic o naszej wewnętrznej, duchowej postawie. Solidarność prawdziwa to więcej niż wspomnienie innego czy innych i zasada wzajemności. To wielki akt zmiany zasad życia społecznego, czego dotknęliśmy w Polsce w latach 1980–1981. A przecież fascynacja całego świata wynikała wtedy z tego, że był to ruch serc i umysłów, ale zarazem ruch polityczny.

Warto zatem poszukiwać duchowych podstaw dla solidarności, innych niż nieuwzględniający ducha liberalizm. W propozycji tej nie ma żadnych zagrożeń ani żadnych form przymusu. Możemy dalej czytać, co chcemy, kochać, kogo chcemy, i robić wszystko, co chcemy, byle nie szkodzić i nie ograniczać wolności innych. Nic na siłę. Nie jest to także zastosowanie banalnej reguły „jak trwoga to do Boga”. To realna propozycja. A dramat łaski zostaje zawieszony, chociaż nie znika. Nie będę się więcej mądrzył i oddam głos św. Faustynie (15 sierpnia 1936):

„O Jezu, rozumiem, że miłosierdzie Twoje jest niepojęte, przeto Cię błagam, uczyn serce moje tak wielkie, aby pomieściło potrzeby wszystkich dusz żyjących na całej kuli ziemskiej. O Jezu, miłość moja sięga poza świat, do dusz w czyśćcu cierpiących, i dla nich chcę czynić miłosierdzie przez modlitwy odpustowe. Miłosierdzie Boże jest nigdy niezgłębione i niewyczerpane, jako jest niezgłębiony sam Bóg. Chociażbym użyła najsilniejszych słów na wypowiedzenie tego miłosierdzia Boga, niczym to wszystko jest z rzeczywistością, jakim ono jest. O Jezu, uczyn me serce czułe na każde cierpienie duszy czy ciała bliźnich moich. O Jezu mój, wiem, że Ty tak postępujesz z nami, jak i my postępujemy z bliźnimi”.



Marcin Król jest historykiem idei i filozofem polityki. W PRL działał w opozycji demokratycznej. Był wieloletnim członkiem zespołu „Tygodnika Powszechnego” oraz współtwórcą i redaktorem naczelnym „Res Publici”. Ostatnio wydał:

Lepiej już było. O luksusie wolności, niepamięci i trzech wartościach europejskich (2016), *Nasza demokracja* (2017) oraz *Do nielicznego grona szczęśliwych* (2018).

Koniec naszego świata

Rozmawiała Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Prof. Adam Wodnicki: Jestem święcie przekonany, że nie ma już powrotu do świata pełnego arogancji, rozpasania, pewności jutra i pewności siebie. Ocali nas jedynie pamięć i wyobraźnia.

Od dawna marzyłam o tym, by porozmawiać z prof. Adamem Wodnickim. A dokładnie od czasu, kiedy Wojciech Ornat, właściciel wydawnictwa Austeria, z tajemniczą miną wręczył mi jedną z jego książek *Arelate. Obrazki z niemiejca*. Wiedział, co robi. Wsiąkałam bez reszty, pochłaniając kolejne tomy. Mijał jednak czas, życie pędziło na złamanie karku i trudno było się zatrzymać w bezsensownym biegu. Aż pewnego dnia świat stanął w miejscu. Trudno było mi się z tym pogodzić. Zamknięta w domu, ponownie wróciłam do tekstów pana profesora, które w czasie szalejącej epidemii nabrały jeszcze głębszych znaczeń, pozwoliły szukać odpowiedzi na dręczące pytania, a przede wszystkim dawały ukojenie wiarą w sens i w piękno tego świata.

To nie był dobry moment na spotkanie z pisarzem. Jednak z wrodzoną beczelnością, ale tak naprawdę podszytą wielkim onieśmieleniem, pozwoliłam sobie zadzwonić i zapytać, czy zechciałby ze mną porozmawiać przynajmniej przez telefon. Nie oponował, choć obydwójce byliśmy zgodni, że poruszając tak ważne tematy, powinniśmy patrzeć sobie w oczy, popijając calvados albo armianiak (to wersja pana Adama, ja stawałam na burgunda). A tak w ogóle najlepiej byłoby usiąść na jednym z placyków Arles, które pan profesor tak kocha i gdzie mieszkał przez lata. A może jeszcze lepiej w małej restauracji przy ulicy Jean-Lucka Rabanela, której gładka kostka brukowa została ułożona na tysiącach grobów klasztornej kościoła zakonu Karmelitów, o czym spacerujący tędy turyści nie mają pojęcia, a pan profesor tak pięknie o tym pisze.

Mimo że mija kolejny dzień przymusowej kwarantanny, wciąż mam nadzieję, że tak się stanie. Świat wróci na właściwe tory, a Adam Wodnicki odpowie na jeszcze wiele pytań, które chciałabym mu postawić. Panie profesorze, trzymam Pana za słowo.

*

Magda Huzarska-Szumiec: Jeszcze tak niedawno świat mówił o śmierci szeptem, chował ją wstydliwie w sterylnych ścianach szpitali. Współczesna kultura odsunęła ją na bok, zmarginalizowała. Jak Pan myśli, z czego to wynikało?

Adam Wodnicki: Wielu filozofów szuka na to pytanie odpowiedzi. Wydaje mi się, że źródła wyrzucenia śmierci poza nawias naszej świadomości, nie tylko indywidualnej, ale i społecznej, są bardzo odległe. Jesteśmy dziedzicami oświe-

cenia. To właśnie ta epoka w sposób arogancki postawiła na czołowym miejscu świata wartości nie wielkie idee, które były charakterystyczne dla renesansu, a rzeczy doczesne, materialne. Śmierć nie mieściła się w tych kategoriach, co wpajano nam przez wieki. Dlatego w świecie, który nie tak dawno usiłowano kreować, była ona czymś wstydliwym, nie do zaakceptowania. Ten tak ważny element w życiu człowieka został zepchnięty na margines. A przecież jeszcze na początku XX wieku rodzone się i umierano w domach, wśród rodzin, które niosły ze sobą pewne wartości, pewną tradycję.

Czy nie jest tak, że epidemia pozbawiła nas złudzeń? Czy przez to, co się stało, nie legło przypadkiem w gruzach nasze przeświadczenie o tym, że jesteśmy społeczeństwem dobrobytu, tak nowoczesnym, że ze wszystkim sobie poradzimy?

Zdecydowanie tak. Zaraza zakłóciła nasz obraz szczęśliwości; szczęśliwości czysto materialnej, do której dążyliśmy.

W jednej ze swoich książek pisze Pan, że współżyjemy ze śmiercią jak z cudzoziemką, lękamy się jej sposobów bycia, czasami odgadujemy jej myśli, czasami udaje się nam przewidzieć jej reakcje. Ale tak naprawdę nic o niej nie wiemy. Czy właśnie z tej niewiedzy wypływa nasz lęk? Dla człowieka tak wiążące się ze śmiercią pojęcie jak nieskończoność jest niewyobrażalne. My żyjemy w świecie rzeczy skończonych. W tej sytuacji to zupełnie zrozumiałe, że wizja unicestwienia na wieczność, jaką przyniosła epidemia, budzi w ludziach grozę.

Chyba zawsze tak było. Przykłady możemy znaleźć w literaturze.

Zaraza to bardzo znany motyw. Opisy śmierci z powodu epidemii mamy w literaturze europejskiej, poczynając od *Dekameronu* Boccaccia czy *Dziennika roku zarazy* Daniela Defoe. To ostatnie dzieło jest wstrząsającym opisem dżumy w Londynie w latach 1665–1666. U Defoe po raz pierwszy została sformułowana myśl, że strach przed śmiercią jest okrutniejszy od samej śmierci. Książka ta stała się inspiracją dla Alberta Camusa, który pod jej wpływem napisał *Dżumę*. Ten motyw występował także u innych współczesnych autorów, jak choćby u Jeana Giono w *Huzarze na dachu*. Jest to opis zarazy, jaka ogarnęła Francję w XIX wieku. Na podstawie tej niezwykłej książki powstał przepiękny film z Juliette Binoche. W kinie ten temat podjął również Ingmar Bergman w *Siódmej pieczęci*. Niesia-



Taniec śmierci: śmierć i żebrak, drzeworyt D.-N. Chodowieckiego, 1791, Iconographic Collections © Wikimedia Commons

mowita jest tam scena gry ze śmiercią w szachy. Zresztą w tym filmie występują wszystkie elementy ikonograficzne związane z zarazą – pochody biczowników, upiorne tańce śmierci.

Dzisiaj w telewizji także pokazywane są makabryczne obrazy. Na zdjęciach ze szpitali we Włoszech albo z Hiszpanii widzimy umierających ludzi, których są tysiące. Czy oglądając je, nie reagujemy tak jak ludzie w dawnych wiekach, którzy swoje lęki wizualizowali, na przykład malując kostuchę z kosą?

To ciekawe, że zetknęliśmy się dzisiaj z tym, z czym stykali się ludzie średniowiecza, których często nawiedzały epidemie. I nasze reakcje są bardzo zbliżone do reakcji przodków. Jak widać, pomimo upływu wieków nie zmieniliśmy się tak bardzo jako ludzie. Tak samo boimy się śmierci i ten strach staramy się zwizualizować. Niegdyś w przedsionkach kościołów wisiały obrazy korowodów śmierci, które miały być przestrożą dla wiernych, by spodziewali się kary za grzechy. Co ciekawie, w Prowansji, w której wiele lat mieszkałem, nie ma tego typu przedstawień. One są charakterystyczne dla naszego kręgu kulturowego, dla krajów północy. Wynika to z innej postawy ludzi wobec życia. Na południu śmierć jest bardziej oswojona, nie budzi aż tak wielkiego przerażenia. Tam wiele form społecznej egzystencji w dużym stopniu zachowało wartości przeniesione jeszcze ze starożytności, z kultury antycznej. Jest tam dużo więcej spokoju i pogody. To, co w nas budzi tak wielki lęk, tam tak bardzo nie przeraża. Może na takie pogodnejsze postrzeganie świata i spraw ostatecznych ma wpływ tamtejsze światło, wino podawane do posiłków... W Prowansji nie ma mgieł, ponurych nocy i nietoperzy.

Zastanawiam się, jak współczesna sztuka zareaguje na to, co się teraz dzieje na świecie.

Pewnie jakoś zareaguje, ale nie mam pojęcia jak. Jestem natomiast najgłębiej przekonany, że świat, do którego wrócimy, już nie będzie taki sam jak przedtem. Jeszcze nie potrafię sobie uświadomić, co się zmieni, ale czuję, że będzie inaczej. Jestem świeżo przekonany, że nie ma już powrotu do świata pełnego arogancji, rozpasania, pewności jutra i pewności siebie.

Zastanawiam się, co w takiej sytuacji po nas zostanie?

Jak mówił Tadeusz Borowski: „Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”. Na pewno zostawimy po sobie wiele złych rzeczy: pamięć po Holokauście, obraz dezintegracji społecznej, strachu przed uchodźcami, odrzucanie ludzi o odmiennych orientacjach seksualnych. Ale też znajdują się dobre rzeczy. Już teraz dzieje się coś, co napawa mnie optymizmem. Powraca solidarność międzyludzka, która, jak jeszcze niedawno mogło się wydawać, kompletnie zniknęła. Będąc już leciwym człowiekiem, odczuwam ją teraz bardzo intensywnie. W tych trudnych czasach mam wokół siebie dziesiątki ludzi, którzy ofiarowują mi pomoc. I to nie jest, myślę, tylko moje jednostkowe doświadczenie, ale powszechne. Słyszę, że ludzie w domach

szują maseczki, które zanoszą do szpitali czy ośrodków pomocy społecznej. I to jest piękne. Jesteśmy świadkami budzenia się czegoś wspólnego, wspólnoty, którą pamiętamy z czasów stanu wojennego.

W swoich książkach często wraca Pan do prowansalskiego miasteczka Arles, w którym odnajduje pan ślady starożytnej przeszłości tego miejsca. W Lekcji łaciny jego mieszkańcy są pod wrażeniem wydobycia z Rodanu popiersia Cezara, które spoczywało tam przez wieki. Skąd taka ekscytacja?

Zetknęliśmy się dzisiaj z tym, z czym stykali się ludzie średniowiecza, których często nawiedzały epidemie. I nasze reakcje są bardzo zbliżone do reakcji przodków. Jak widać, pomimo upływu wieków nie zmieniliśmy się tak bardzo jako ludzie. Tak samo boimy się śmierci i ten strach staramy się zwizualizować.

Bierze się ona stąd, że ludzie zawsze szukają swojej tożsamości. Paul Gauguin jeden ze swoich obrazów zatytułował *Skąd przychodzimy, gdzie jesteśmy i dokąd idziemy?* Ta część *Skąd przychodzimy* jest niesłychanie ważna. Ona bardzo dużo mówi o nas samych. Projekcja przeszłości pozwala ludziom wrażliwym i mądrym zastanawiać się, jak rzutuje ona w przyszłość.

Bo tylko pamięć może nas ocalić?

Tak, bo my jako ludzie mamy wspaniałą historię. Są w niej oczywiście elementy, których będziemy się zawsze wstydzić. Ale jest też wiele rzeczy, z których możemy być dumni. Mamy do czego się odnosić, choćby do mądrości, którą nagromadzili starożytni i która jest cały czas niesłychanie żywa. W moim ostatnim tomiku *Contrapunctus* pokazuję, jak głęboko tkwimy w mitach, jak głęboko przez cały czas przeżywamy to, co kiedyś było ważne. Wciąż noszę w sobie obraz z dzieciństwa, kiedy 2 lutego, w Matki Boskiej Gromnicznej na wsi widziałem świecę niesioną przez ludzi z kościoła. Teraz uświadamiam sobie, że to były świecące Demeter, która szuka zaginionej córki. To jest ta sama europejska tradycja, z której się wywodzimy. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele z tego świata, który wydaje się nam tak odległy, żyje w nas i jak jest on ważny dla naszego człowieczeństwa.

Czy skłania nas do tego pamięć genetyczna, o której Pan tak pięknie pisze, przytaczając przykład zaprzyjaźnionego winiarza, który po udarze obudził się i mówił po łacinie, choć wcześniej nie znał tego języka?

Proszę sobie wyobrazić, że nie jest to fikcja literacka. Podobne zdarzenie miało miejsce. Świadczy o tym, jakie pokłady pamięci nosimy w so-



Adam Wodnicki (1930) jest profesorem sztuk pięknych, artystą plastykiem, tłumaczem literatury francuskiej, autorem między innymi

wydanych przez Austerię takich książek jak *Notatki z Prowansji*, *Obrazki z krainy d'Oc*, *Tryptyk oksytański*, *Anamnezy*.

bie. Mamy zapisane w podświadomości obrazy, które dotyczą wspomnień sprzed wielu pokoleń. Ale nic o tym jeszcze konkretnego nie wiemy. Trudno się dziwić, przecież o tym, że krew krąży w żyłach, dowiedzieliśmy się całkiem niedawno, bo 300 lat temu. Myślę, że wiele jeszcze rzeczy odkryjemy. Z całą pewnością odnajdziemy w budowie naszego DNA ślady pamięci, którą przekazywały nam pokolenia. Gdzieś to tkwi w nas zaszyfrowane. Problem w tym, że jeszcze nie potrafimy się do tego dostać.

Zdarza się Panu odnosić wrażenie, że jest w jakimś miejscu, w którym już kiedyś był?

To jest fenomen określany mianem *déjà vu*. Nagle odnajdujemy się w miejscu, które jest dla nas w pełni znajome, znamy szczegóły, potrafimy odgadnąć, gdzie się coś mieści. Ja to przeżyłem w Arles, kiedy pewnego majowego popołudnia siedziałem na tamtejszym placu. Uświadomiłem sobie, że jestem w miejscu, które znam od zawsze i do którego zawsze tęskniłem. To się zresztą potwierdziło, gdy poznałem historię jednego z moich przodków. Na tym samym polega fenomen miłości od pierwszego wejścia. Spotykamy osobę, która jeszcze przed chwilą była dla nas obca i nagle się okazuje, że jest to człowiek, na którego czekaliśmy całe życie. Jest taka piękna, hinduska legenda mówiąca o tym, że byliśmy kiedyś osobami dwupłciowymi, które na skutek przekleństwa zostały rozdzielone. Teraz te dwie połówki szukają się po świecie i odnajdują poprzez umysł albo poprzez ciało. I to jest cud.

A może najlepszym lekarstwem na strach są marzenia? Takie jak chociażby gajowego, którego poznał Pan nad jeziorem. Znał on wszyst-

kie wina Prowansji i Langwedocji, kolekcjonował ich etykiety, choć nigdy nie był we Francji, a smak trunku jedynie sobie wyobrażał.

To jest opowieść o marzeniu, o potrzebie cudowności, którą każdy w sobie nosi. Człowiek, który nigdy w życiu nie pił wina, nagle posiadał wiedzę godną największych enologów. To było całe jego życie, marzenie o świecie, który gdzieś istnieje i który jest w pełni realny. Wystarczy tylko przebić cieniutką błonkę powietrza, żeby się tam dostać. Marzenie stało się treścią życia tego człowieka. Każdy z nas nosi w sobie takie marzenie, większe, mniejsze, bardziej zuchwałe, a czasem całkiem skromne.

Odnoszę wrażenie, że Pan szuka wybawienia w sile wyobraźni, bo gdyby tak nie było, nie dedykowałby Pan swojego ostatniego tomiku *Contrapunctus* tym, „którzy zdolni są – poprzez płomyki żarnowca albo w prześwitach zarośli – dostrzec cień fauna albo tańczącej nimfy, którym na skrzyżowaniu dróg zdarza się spotkać sfinksa, a w leśnych odstępach bożka Pana”.

Jestem przekonany, że najwyższą prawdę o rzeczywistości daje nam właśnie wyobraźnia. To, co wyobrażone, jest niekiedy bardziej realne niż to, co rzeczywiste. Całe moje pisarstwo jest na tym zbudowane. Stworzyłem moje Arles, miasto, którego nie ma w istocie. Ono jest częścią mojej wyobraźni. Ale dla mnie jest bardziej realne niż to, co jest zbudowane z kamienia.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marci Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

KRS 0000 123 750



Fundacja
Uniwersyteckiego
Szpitala Dziecięcego
w Krakowie
O ZDROWIE DZIECKA



Do wsparcia zachęca



miesiecznik.krakow.pl

Od 1992 roku wspieramy działalność Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie.

Dzięki akcjom charytatywnym, darowiznom finansowym i 1% podatku finansujemy zakupy sprzętu medycznego, materiałów diagnostycznych i leków oraz wspieramy projekty modernizacyjne poprawiające komfort pobytu Pacjentom i ich Rodzicom. Organizujemy także różne wydarzenia i atrakcje mające na celu uprzyjemnić trudne chwile spędzane w Szpitalu.

Nasza działalność i pomoc dla Szpitala nie jest możliwa bez Państwa wsparcia. Dlatego serdecznie dziękujemy wszystkim Darczyńcom za przekazywane darowizny finansowe, rzeczowe oraz 1% podatku.

W związku z obecną pandemią koronawirusa SARS-CoV-2 przekazane przez Państwa darowizny przeznaczymy na zakup środków ochrony osobistej dla personelu szpitala, urządzeń do dezynfekcji oraz niezbędnego sprzętu medycznego.

Dziękujemy za Państwa pomoc, która Szpitalowi jest dziś jeszcze bardziej potrzebna.

MOŻNA NAM POMÓC PRZEKAZUJĄC

• **darowizny finansowe** na konto: **05 1240 4533 1111 0000 5425 8556**

z dopiskiem: *Miesięcznik „Kraków” pomaga dzieciom. Także teraz.*

• **1% podatku**. W formularzu PIT należy wpisać numer **KRS 0000 123 750**

z dopiskiem: *Miesięcznik „Kraków” pomaga dzieciom. Także teraz.* - w formularzu PIT za rok 2019 w miejscu przeznaczonym na cel szczegółowy 1%.

**DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE PAŃSTWO Z NAMI
W TYM TRUDNYM CZASIE**

Państwa darowizny i 1% podatku
bardzo nam pomagają - **KRS 0000 123 750**



Podróż lalki

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Gdy mówisz: „Teatr Groteska”, widzisz grupkę dzieci ostrożnie wchodzących na widownię. Tak, jest to teatr dla dzieci, lecz lalki, pacynki, marionetki i maski nigdy nie były w nim tylko łagodną ozdobą, atrakcyjnym opakowaniem. Zawsze były sednem opowieści – lekcją potężnej, nieuchwytej iluzji, lekcją tajemnicy.

Gdyby zamknąć odbicie w lustrze, ustawić je na krześle taflą do świata, obok posadzić człowieka, który przed chwilą przeglądał się w tafli, a teraz patrzy przed siebie, daleko, najdalej? Co wtedy? Byłoby jak w jednej scenie *Wielopola*, *Wielopola* Tadeusza Kantora. Ten sam niepokój podwojenia. Dziwność jakąś się przestrzeni.

W *Wielopolu*, *Wielopolu* taka para się zjawia i trwa. Grany przez Stanisława Rychlic-

ne? Wszystkie? A może wszystkie to kulki żywej galarety?

Zamarli w *Wielopolu*, *Wielopolu* na krzesłach Książd i lalka-Książd przypominają figury z innej opowieści. Są jak dwie kobiety, wciąż żywe, lecz poza czasem, na koniec lub na niepojęty początek czekające w Bagneri, martwej wsi w Piemoncie. Portret tych istnień pół-trupich Gustaw Herling-Grudziński namalował w teatralnym opowiadaniu *Hamlet piemoncki*, gdzie stara iluzja Williama Szekspira po czterech stuleciach przenika rzeczywistość kawałka Włoch. Jak gdyby, zataczając wielką pętlę, powtarzała się w odległej epoce i nieznanym w Elsynorze punkcie Ziemi.

„Usiedliśmy na długiej i wąskiej ławce, pod dróżką czy uliczką wzdłuż domów. W pewnej od nas odległości siedziały dwie kobiety, na oko po siedemdziesiątce, choć okazało się, że po pięćdziesiątce, w łachmanach, straszliwie wychudzone, brudne i rozczochrane. Bez słowa i bez ruchu patrzyły na tamtą stronę. Nie, nie z wyrazem pragnienia, raczej z wyrazem ledwie podtrzymywanego życia. Nigdy, być może, nie widziałem oczu tak bezbarwnych, pustych, wydrążonych. (...) Wracając ścieżką na zboczu doliny do Sordevolo, milczeliśmy z takim uporem, jakby ktoś wydał nam zakaz posługiwania się ludzką mową. (...) Mimo zmęczenia szliśmy prędkim krokiem, rzekłbyś: w odruchu i pod naciskiem ucieczki. Uciekaliśmy przed wyglądem martwej wsi i przed wzrokiem jej dwóch niedoumarłych mieszkanek”.

Inna pętla w tych słowach się zaczyna, mniejsza, lecz niemała. Portret woskowych kobiet w Bagneri, godnych iluzjonistycznej sztuki Madame Tussaud, Herling-Grudziński stworzył w roku 1995. Niewiele lat przed śmiercią. A ogrom czasu wcześniej, zanim w roku 1940 zesłany zostanie do łagru – w Grodnie pracuje w Państwowym Polskim Teatrze Lalek. Patrząc na figurki małpujące żywych, uczy się niepokoju podwojenia, lęku przed jękającą się przestrzenią. I być może widzi próby pierwszej premiery *Cyrku Tarabumba*, rewii lalkowej, którą reżyseru-

je założyciel Teatru w Grodnie Władysław Jarema. Ten sam – to kolejna pętla – który melancholii teatralnej maski uczył się przed wojną w krakowskim, przez jego brata Józefa założonym Teatrze Cricot. I jeszcze jedna pętla, raczej dwie, splecione. Oto w połowie lat 50. XX wieku Tadeusz Kantor przejmuje tradycję ansamblu plastyków Cricot i zakłada Teatr Cricot 2, zaś 10 lat wcześniej Władysław Jarema wraz z żoną Zofią otwierają przy ulicy Skarbowej w Krakowie Teatr Lalki, Maski i Aktora. Otwarcie jest przypomnieniem, powtórką z Grodna. Jest scenicznym bliźniakiem seansu sprzed pięciu lat. Zaproszenia? Były. Wytworne, niebieskie prostokąty przedwojennego bristolu, i te słowa na prostokątach. „Kierownictwo Teatru Lalki i Aktora Groteska ma zaszczyt prosić o przybycie w dniu 9 czerwca 1945 roku o godzinie 19-tej minut 30 na otwarcie teatru. Dane będzie widowisko marionetkowe pt. *Cyrk Tarabumba*. Kraków, Skarbowa 2”.

I kolejna pętla, następna podróż. Tamtego wieczoru pierwszej premiery w Grotesce – ile lat ma Stanisław Rychlicki? Zobaczył *Cyrk Tarabumba* i naprzeciwko lalek i masek Jarremy poczuł kuszący niepokój? Jedno pewne – w styczniu roku 1949 Rychlicki poddaje się. Już wie, że chce być na scenie, lecz chce być – niewidzialny. Z ukrycia pragnie władać marionetkami. Zalicza kurs zawodowy i staje przed Jaremą do egzaminu na aktor-lalkarza. Zdaje? Tyle powiedzieć, to nic nie powiedzieć! Jarema orzeka: „Będziesz drugim Jaraczem!”. I staje się Rychlicki drugim Jaraczem. Powoli, rola za rolą – lalka za lalką – staje się Jaraczem niewidzialnym, z kijkami bądź sznurkami w palcach, za parawanem, maską, kurtyną, w górze albo z boku. Zaczyna od wyreżyserowanej w 1949 przez Kazimierza Mikulskiego *Koziej opery*. W kolejnym sezonie, jak mówią pamiętający, genialnie go nie widać w *Złotej rybce* Zofii Jaremovej... Katalogować dalej?

Wiele lat później, wiele kilometrów od Groteski (Która to już pętla, która podróż?), w Kamiennym Potoku portretując stary, pełen powtórzonych twarzy, japoński teatr nō, Jan Kott przywołuje słowa Twao Kongo, wielkiego aktora nō, słowa, które Rychlicki mógł był powtarzać bez cudzysłowu: „Zanim zagram, muszę wiele godzin patrzeć na maskę. Ja nie istnieję, istnieje maska. Ja nie jestem prawdziwy, prawdziwa jest maska”. W roku 1956 Rychlicki gra *Księżyc w studni*, czyli głębi myśli Kazimierza Mikulskiego. Niknie za srebrną maską, nie mówiąc ni słowa – lecz nie w Grotesce. Jest Księżycem – w Domu Plastyka przy ul. Łobzowskiej, w seansie rozpoznającym życie Teatru Cricot 2. Od tamtej pory zniknął będzie w dwóch fikcjach – raz u Jarremy, raz u Kantora. Tu i tu staje się coraz potężniejszy.

Ja nie jestem prawdziwy, prawdziwy jest on... Być może tak myśli Rychlicki, siedząc na

krześle obok swego plastikowego sobowtóra. Gdzieś w świecie kreując w *Wielopolu*, *Wielopolu* jedną z największych swych ról cricotowych (pierwszą wielką była *Sprzątaczką – Śmierć w Umarłej klasie*) – parafrazuje starą sentencję Kongo i uśmiecha się, gdyż wie, że raczej nie mogło być inaczej. Musiał poddać się maestrii teatru Władysława i Zofii Jarema, a później jego zahipnotyzowanie niepokojem marionetki musiało spotkać się z hipnozą manekina, której uległ Kantor. Ale też nie był wyjątkiem. Opętanie podwojonymi istnieniami jest w ogóle kolosalne w epoce tamtej, a także wcześniej. Od 1818 roku *Frankenstein* Mary Shelley wisi nad światem. Później Gustav Meyrink tworzy *Golema*, Edward Gordon Craig daje teatrowi ideę Nadmarionety, Maurice Maeterlinck pisze dla marionetek pajęczynowo finezyjne sztuczki teatralne, choćby *Śmierć Tintagileza*, na stronicach *Piasku* E.T.A. Hoffmanna lalka skłania młodzieńca do samobójstwa z miłości wzgardzonej, zaś w Drohobyczu Bruno Schulz wprowadza do swojej zawrotnej prozy nieogarnioną tajemnicę człekokształtnych figur wypchanych trocinami. Powstają muzea ludzi sztucznych, z wosku choćby, przeróżne ludzkie automaty cieszą się kolosalnym powodzeniem. W Polsce

W 1945 roku Władysław i Zofia Jarema inauguruje Groteskę marionetkową rewią – a w Teatrze Akademickim Rotunda Tadeusz Kantor reżyseruje na kanwie tekstu Józefa Czechowicza seans *Niegodzien i godni*, w którym role naczelną kreują marionetki! Urokliwa interferencja.

lat 30. zeszłego stulecia rozkwita lalkarstwo. Teatry marionetkowe, stałe i objazdowe, kongresy o sztuce lalkarskiej, wystawy szopek, kursy masek – tego nie sposób zliczyć. W 1936 przyjeżdża do Starego Teatru Teatro dei Piccoli i daje pokaz cudownego życia tradycyjnych włoskich marionetek. Jan Sztudynger zaczyna na Uniwersytecie Poznańskim prowadzić wykłady o teatrze lalkowym i wydaje książkę *Marionetki*, do której okładkę projektuje Janina Broschówna, wówczas studentka jeszcze, koleżanka Kantora z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. A on sam?

W roku 1937 jeden jedyny raz pokazuje student Kantor spektakl *Śmierć Tintagileza* Maeterlincka – dzieło założonego przez siebie marionetkowego teatrzyku, opowieść o losie snutą za pomocą geometrycznych lalek pod wędrującym po ramie tylicy scenki, wyciętym ze staniolu księżycem. O „maskowatości” i „lalkowatości” legendarnych Kantora seansów w okupacyjnym Teatrze Niezależnym powiedziano już chyba wszystko. Lecz

zbyt rzadko wraca się do roku 1942, do przygotowywanego wtedy, lecz nigdy niedokończonego spektaklu *Pan Twardowski*, napisanego i reżyserowanego przez Kantora, który siebie w roli tytułowej obsadził. Maska Twardowskiego miała tańczyć w powietrzu przed nosami widzów. Chodziło o niepokój powtórzonej twarzy, o bojaźń obudzoną sklonowanym obliczem. „Ludzie muszą odczuwać jej bliską obecność – pisał Kantor – muszą się lękać tego, że za chwilę ona do nich przemówi, zwróci się do kogoś z nich i zmusi do odpowiedzi”. Zbyt rzadko też wraca się do zdarzenia z roku 1945. Urokliwa interferencja! Jarembowie inaugurują Groteskę marionetkową rewią – a w Teatrze Akademickim Rotunda Kantor reżyseruje na kanwie tekstu Józefa Czechowicza seans *Niegodzien i godni*, w którym role naczelne kreują marionetki! Są drewnianą tajemnicą decydującą o losie ludzi z żywego mięsa. Śmierć nas, miękkich, jest w gestii marionetek, jak w *Śmierci Tinta-*

W roku przyszłym, na VI Festiwal Materia Prima, zjadą do Groteski lalki świata całego. Zjadą i zatańczą, jak gdyby nic złego nigdy się nie stało. Jak gdyby czas nie istniał.

gilesa śmierć chłopca jest w rękach Służących Królowej – trzech Parek – klekoczących niby kołatka nocnego stróża. A trochę dalej w czasie, pod koniec kwietnia roku 1967, Rychlicki jest Korbowskim w *Kurce wodnej* Witkacego-Kantora. Scena, w której tańczy apaszowskie tango z manekinem kobiety, pokaże, iż Rychlicki będzie w Teatrze Cricot 2 postacią osobną, nie do podrobienia, nie do ominięcia. Tańczy tak, że do finału argentyńskich nut nie wiadomo, kto w parze tej czyje życie udaje, kto mocniej, a kto słabiej istnieje, kto kogo w pląsie miłosnym i trupim prowadzi, kto zaś jest powolny.

Więc co? Laleczki i – Witkacy? Więc jak? Laleczki i – śmierć? Laleczki, pacyneczki, rumiane maseczki, te miłusie stworki, co się kojarzą z jasnym, ciepłym cimirymci, z kaszką na mleku, z klepaniem paciorka – a tu naraz lęk, niepokój, strach lity? Nie, gdyż nie o laleczki tutaj chodzi. Żadne laleczki, pacyneczki, maseczki. Żadne tanie, tandetnie kojące zdrobnienia. Ani jednego „czki”! Owszem, gdy mówisz: „Teatr Groteska”, widzisz grupkę dzieci, ostrożnie wchodzących na widownię. Tak, jest to teatr dla dzieci, lecz lalki, pacynki, marionetki i maski nigdy nie były w nim tylko łagodną ozdobą, atrakcyjnym opakowaniem. Zawsze były sednem opowieści – lekcją potężnej, nieuchwytej iluzji, lekcją tajemnicy. Taki to teatr dla dzieci jest. Ale też – jak rzekłby Antoine de Saint-Exupéry – dla dorosłych, którzy nie zapomnieli epo-



ki dzieciństwa. Prócz dzieł bajkowych, Jaromowie serwują światu tytuły i nazwiska zaskakujące, zdumiewające nawet. Grają sztuki Sławomira Mrożka i Tadeusza Różewicza, jest *Ubu Król* Alfreda Jarry’ego oraz *Płaszcz* Mikołaja Gogola, i jeszcze *Opera za trzy grosze* Bertolda Brechta, a nawet opera jako taka – *Orfeusz w piekle* Offenbacha z librettem Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. No i są *Igraszki z diabłem* Jana Drdy, z Rychlickim niewidzialnym za marionetką główną, za drewnianym Marcinem Kabatem, o którym recenzent Antoni Łubkowski „odśpiewał” po premierze frazę kłopotliwą: „Znakomicie potrafił się przeżegnać, a i brzuszkiem manewruje bez najmniejszego trudu”. Z całym dla urokliwej dziecińności tych słówek szacunkiem – szkoda, że ocalały one, a nie rysunki Nikifora. Po premierze *Igraszek z diabłem* Andrzej Banach przyprowadził go do Groteski na kolację. „Kolacja sobie – wspominał Jerzy Skarżyński, wtedy jeden ze scenografów Groteski – a Nikifor sobie. Zaczął rysować własny obraz teatru, wszystko, co widział, całą dekorację, diabełki, ramę sceny, namalował wszystkie postacie, jak siedzą, w trakcie rozmowy, jak żyją, jak się ruszają. Na koniec siebie malutkiego z tyłu”. Szkoda, że nie ocalał portret drewnianego Marcina Kabata rysowany przez człowieka w mocnych okularkach i za dużym kapelutku, przez tego tyciego staruszka, co przyjechał z Krynicy, usiadł w ostatnim rzędzie i nie mógł się nadziwić cudowności bardzo zmęczonych sztucznych istnień, które z tyłu sceny odpoczywały po zawrotnej godzinie udawania istnień prawdziwych.

I tak trwało to dalej, dyrekcja po dyrekcji – do dziś. Za Fredy Leniewicz (1975–1990), za Jana Polewki (1990–1998), w końcu za Adolfa Weltschka (od 1998). Łagodny niepokój form – dla dzieci, bezlitosny lęk form – dla dorosłych, którzy pamiętają epokę dziecka. A od czasu do czasu zdarzały się chwile, kiedy jedno z drugim się zlepiało. Jak w *Miromagii* Polewki, w pulsowaniu fantastycznych snów dziecięcych, co spełzły z surrealistycznych płócien Joana Miró, z tych „piaskownic dla podświadomości”. Albo jak w ostatnich 10 latach – pięć razy. Co dwa lata sprasza Adolf Weltschek ze świata całego do Groteski, na Międzynarodowy Festiwal Teatru Formy Materia Prima, najświetniejsze ansamble masek, marionetek, manekinów i ruchu niecodziennego. Aż tak potężne rozpięcie estetyczne nie jest możliwe, ale istnieje. Na przykład wczesnym popołudniem – urokliwe pacynki, stworki tak archaiczne, że poza czasem, niczym figury z komedii dell’arte, i tak wiarygodne, że gdy kłaniają się w finale – dzieci na widowni wstają i odkłaniają się im niby istotom cielesnym i ciepłym. A późnym wieczorem – choćby *Piaskun* E.T.A. Hoffmanna, godzina tak bezlitosnego, tak intensywnego panowania manekinów, że na widowni gęstnieje lęk przed

pytaniami o granicę między tym a tamtym światem, pytaniami, które w każdej chwili mogą ludziom postawić ludzie sztuczni, tak jak wiele, wiele lat wcześniej, w niedoszłym seansie Kantora mogła o to pytać dryfująca na powietrzu maska Pana Twardowskiego... Co jeszcze? Co teraz? Ostatnia już pętla czasu? Ostatnia podróż lalki?

Kurczy się na Materii Primie przestrzeń dzieląca pacynkę od manekina. A na innym zegarze – w małą grudę czasu skurczyło się 50 lat oddzielające Kantora *Śmierć Tintagile* z roku 1937 od powtórzenia tej Maeterlincka opowieści przez Kantora, powtórzenia jej jako *Maszyny miłości i śmierci* w roku 1987. Domknął tak pętlę Kantor, przeprowadził Golemy. Biedne, kruche marionetki z teatryku studenckiego po pół wieku skończyły podróż jako gigantyczne Trzy Marionety, co Tintagileśa zdmuchują ze świata lekko jak szczyptę popiołu z rękawa. Od lat nieruchome, te drugie Drewniane Parki odpoczywają w Museo Internazionale Delle Marionette w Palermo, na wyspie starych teatrzyków lalkowych. Dyrektor jednego z nich przywołał kiedyś w Grotesce wyznanie Kantora: „Gdyby nie Cricot 2 – mógłbym być tylko szefem sycylijskich marionetek!”. Poniekąd ziściło się. Na grobie Kantora metalowy manekin chłopca siedzi w metalowej ławce szkolnej. Gra rolę ucznia na wieki wieków.

Stanisław Rychlicki też już nie żyje. Był z Kantorem do dnia powtórnego Maeterlincka. W *Maszynie miłości i śmierci* kreował Podejrzanego Typa, wędrującego między iluzją i rzeczywistością, snem a jawą, końcem i początkiem. Ocalałe fotografie nie zwodzą. Gdyby woskowa twarz Rychlickiego i jego spojrzenie ze szkła cudem się podwoiły – mogłyby to być twarze i spojrzenia pomarszczonych marionetek, którym Herling-Grudziński kazał zamrzeć na ławce w martwej wsi Bagneri i bez pocieszenia patrzeć na „tamtą stronę”.

6 września – trzy miesiące po jubileuszu 75-lecia istnienia Teatru Groteska – minie lat 20 od śmierci Rychlickiego. I w czerwcu też minie 40 lat od premiery *Wielopola*, *Wielopola* w zdesakralizowanej bazylice romańskiej przy Via Santa Maria 25 we Florencji, kiedy to pierwszy raz Ksiądz i trup Księdza zamarli na krzesłach i zupełnie nie wiadomo było, który jest który.

A w roku przyszłym, na VI Festiwal Materia Prima, zjadą do Groteski lalki świata całego. Zjadą i zatańczą, jak gdyby nic złego nigdy się nie stało. Jak gdyby czas nie istniał.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Adama Szostkiewicza lęki o Polskę

Tekst: Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Motywy przewodnim *Pogody dla Polski*, zbioru esejów publicysty „Polityki” (a wcześniej dawnego „Tygodnika Powszechnego”) Adama Szostkiewicza, jest fraza: „a wydawało się, że...”. Faktycznie, ciągle się okazuje, że wszelkie nadzieje trzeba – czasem do cna – weryfikować.

Szostkiewicz, i nie tylko on, wspomina, jak to przez pierwsze dekady po 1989 roku łączyło nas marzenie i przekonanie, że Polska może być krajem normalnym, w którym chce się żyć i pracować zarówno dla własnego, jak wspólnego dobra. Ba, wszystko wskazywało, że marzenie takie może się spełnić: mimo rozmaitych zawirowań i kłopotów kraj szedł do przodu, zyskując nie tylko we własnych oczach, ale i w oczach Europy oraz Zachodu.

Dziś nie jest to już takie pewne. Pisze Szostkiewicz: „Nie jest oczywiście nawet to, co wydawało się jakąś naszą niepisaną umową obywatelską: że chcemy iść dalej drogą obraną przez ojców założycieli naszej otwartej praworządnej demokracji konstytucyjnej we współpracy z innymi krajami demokratycznymi. Bez kompleksów niższości i wyższości”. I próbuje odpowiedzieć na kluczowe pytanie: dlaczego tak się stało? Skąd ta zmiana? W jaki sposób i komu udało się przestawić zwrotnicę? (na ślepy tor – można dodać).

Zbiór złożony jest z tekstów ogłaszanych przez ostatnie 30 lat głównie w „Polityce” i „Tygodniku Powszechnym”, ale też w innych pismach (między innymi w „Krakowie”), na stronach internetowych, a także z wystąpień publicznych autora.

Wymowny jest przy tym podtytuł tomu. Bo faktycznie, na stan Polski w równej mierze co zapadające w kraju decyzje polityczne wpływ miał Kościół katolicki – poziom duchowieństwa (bo nie tylko hierarchii), ambicje samej instytucji oraz jej wynikające z historii umocowanie w rodzimej tradycji.

Kościółowi Szostkiewicz przygląda się uważnie od dawna, uczciwie wytykając mu wszystkie słabości i porównując szarą raczej kondycję rodzimej wersji tej instytucji z wizją głoszoną niegdyś choćby przez przedstawicieli tak zwanego katolicyzmu otwartego (symbolizowanego przez nazwiska choćby tej klasy co Turowicz czy Tischner). Skądinąd sam jeszcze dwa lata temu podczas Gdańskich Debat Obywatelskich mówił: „Chrześcijaństwo jest religią nadziei, a Kościół chrześcijański są szczególnie potrzebne w czasie bez nadziei, lęku przed przyszłością, utraty zaufania do przywódców. Kościół w Polsce wciąż może się włączyć w budowanie takiego przymierza i takiego Kościoła Polska dziś potrzebuje”. Ciekawe, czy powtórzyłyby to dziś, czy też raczej uznałyby i tę nadzieję za chybioną?

Na „pogodę dla Polski” wpływała wreszcie ulotna sfera kultury – znowu nie tylko politycznej (choć też), ale chociażby duchowej czy intelektualnej.

Nie bez powodu za największy problem, którego nie udało się rozwiązać żadnej z ekip po 1989 roku, Szostkiewicz uważa „podział Polski po linii kulturowo-cywilizacyjno-społecznej”. Pytanie, czy to problem w ogóle rozwiązywalny. I drugie: czy i jakie znaczenie będzie to miało w całym nowym sygnale krajobrazu po/z pandemią.

Adam Szostkiewicz, *Pogoda dla Polski. Kraj, katolicyzm, kultura*, Universitas, Kraków 2020.



Magdalena Nałęcz, *Ogrody pożegnań*, olej, płótno, 130 x 120 cm, 2011

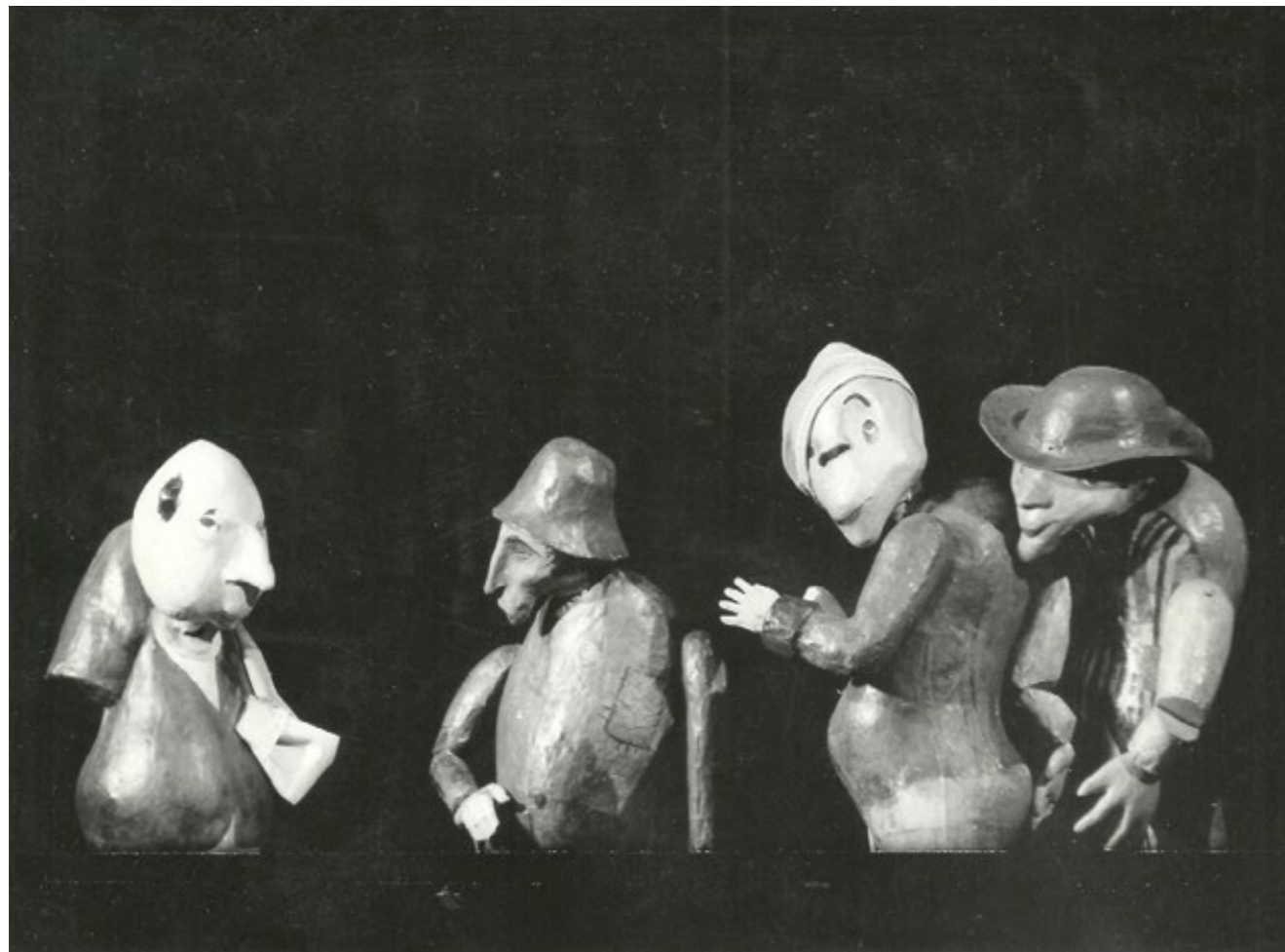
Groteska. Teatr nie tylko młodego widza

Tekst: Anna Stafiej



Jan Drda, *Igraszki z diabłem*, reż. Władysław Jarema, scen. Kazimierz Mikulski i Jerzy Skarżyński, lalki: Lidia Minticz, 1952, fot. J. Wolski/archiwum Groteski

- 5 marca 1945 – **Władysław Jarema** otrzymuje nominację na dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Lalki i Aktora „Groteska”, pierwszego teatru o takiej formule w Krakowie, przy ul. Skarbowej 2. Na pytanie, jaki to będzie teatr, odpowiada: „Wspaniały!”.
- 9 czerwca 1945 – premiera *Cyrku Tarabumba*, rewii marionetkowej, która urzekła publiczność dorosłą i dziecięcą, a na plakacie widniały między innymi nazwiska Zofii i Władysława Jaremów, **Andrzeja Stopki** i **Wincenty Wodzinowskiej**.
- 1946 – kierownictwo teatru obejmuje **Henryk Ryl**, gdyż Jaremowie wyjeżdżają do Paryża. W repertuarze propozycje adresowane do dzieci, między innymi *Złota rybka*, *Kot w butach*, *Kopciuszek*.
- 1948 – siedziba teatru zostaje przeniesiona na ul. św. Jana 6, a Jarema, po powrocie, obejmuje znowu dyrekcję i energicznie przysposabia Saską Salę, z pomocą między innymi **Marii Jaremianki**, **Jonasza Sterna** i **Alego Bunscha**, na potrzeby teatru lalkowego.
- Sezon 1948/49 – otwiera *Cudowna lampa Aladyna* w reżyserii Władysława Jaremy, w dekoracjach A. Bunscha, z pięknymi lalkami zaprojektowanymi przez Jaremową i Bunscha, które wzbudzały ogólny zachwyty.
- 1949 – **Zofia Jaremowa** przejmuje dyrekcję i na stanowisku dyrektora oraz kierownika artystycznego pracuje do 1975. Jarema zostaje na etacie reżysera.
- 1951 – *Nowe szaty króla* według H.Ch. Andersena z niezwykle, charakterystycznymi,



Bertold Brecht, *Opera za 3 grosze*, reż. Zofia Jaremowa, scen. Kazimierz Mikulski, lalki: Lidia Minticz, 1958, fot. J. Wolski/archiwum Groteski

dużymi maskami zaprojektowanymi przez **Kazimierza Mikulskiego** rozpoczęły nową epokę stylu Groteski. Spektakl bawił zarówno dziecięcych, jak i dorosłych widzów.

■ 1952 – *Igraszki z diabłem* J. Drdy w reż. W. Jaremy, z dekoracjami K. Mikulskiego i **Jerzego Skarżyńskiego**, z lalkami **Lidii Minticz** biły rekordy popularności wśród dorosłej publiczności. Kilkakrotnie wznawiane w kolejnych sezonach.

■ 1955 – sceniczne żarty K.I. Gałczyńskiego *Gdyby Adam był Polakiem* i *Noc cudów* w reżyserii Jaremów, z dekoracjami K. Mikulskiego i J. Skarżyńskiego, z lalkami L. Minticz zachwyciły dorosłych.

■ 1958 – *Szewe Dratewka* M. Kownackiej czarował dzieci nie tylko scenografią K. Mikulskiego i J. Skarżyńskiego, ale także muzyką **Krzysztofa Pendereckiego**, który skomponował muzykę jeszcze do kilku spektakli w Grotesce.

■ 1959 – premiera *Męczeństwa Piotra Ohey'a* Sławomira Mrożka w reżyserii Z. Jaremowej, z maskami K. Mikulskiego była pierwszą realizacją dramatu autora w Krakowie.

■ 1960 – na afiszu Groteski wystąpiło nazwisko Wisławy Szymborskiej jako autorki adaptacji *Byczka Fernando* M. Leafa w reżyserii Z. Jaremy i ze scenografią K. Mikulskiego.

■ 1961 – *Kartoteka* T. Różewicza to były sukcesy: reżyserski Z. Jaremowej i K. Mikulskiego, również autora scenografii i masek, oraz aktorski **Mai Komorowskiej** w roli Sekretarki.

■ 1963 – *Tarantoga* S. Lema w reżyserii Z. Jaremowej zachwyciła dzieci fantastyczną scenografią K. Mikulskiego, a nazwisko Lema jeszcze nieraz pojawi się na afiszach teatru.

■ 1965 – *Ubu króla* A. Jarry'ego wystawiła Z. Jaremowa w fantastycznej scenografii K. Mikulskiego. Znakomity grafik **Daniel Mróz** stworzył scenografię do *Siódmej wyprawy* J. Jesionowskiego.

■ 1967 – Groteska wróciła na ul. Skarbową i zmieniła szyld na Teatr Lalki i Maski „Groteska”. Potem jeszcze niejednokrotnie zmieniła nazwę, by od połowy 2012 działać pod szyldem „Groteska”.



Jerzy Jesionowski, *Siódma wyprawa*, reż. Franciszek Puget, scen. Daniel Mróz, 1965, fot. archiwum Groteski

■ Pamiętna premiera *Ferdynanda Wspaniałego* L.J. Kerna, pisarza, który nieraz tu jeszcze zagości: *Przygodą na plaży* (1969), *Karampukiem* (1971), wszystkie realizacje ze scenografią K. Mikulskiego.

■ 1968 – *Skąpiec* Moliere'a, reżyseria: **Romana Próchnicka**, scenografia: **Joanna Braun**, która rozpoczęła trwającą do dzisiaj współpracę z teatrem.

■ 1969 – premiera niezwykłego spektaklu *Janko Muzykant* – baletu, pantomimy lalek i masek według H. Sienkiewicza, libretto i reżyseria Z. Jaremowa, scenografia, lalki, maski – L. Minticz, K. Mikulski, J. Skarżyński.

■ 1972 – *Hazard*. *Zwierzęta hrabiego Cagliostro* A. Bursy to kolejna propozycja Z. Jaremowej dla dorosłych, scenografia i maski: K. Mikulski.

■ 1975 – **Freda Leniewicz** zostaje dyrektorem i kierownikiem artystycznym, pełni tę funkcję do 1990.

■ *Wygnańcy* Ewy. *Salome*. *Judyta* i *Holofernes*, jednoaktówki J.I. Sztudyngera, scenografia i maski K. Mikulskiego – były pożegnalnym przedstawieniem Jaremowej.

■ 1975 – *Przysliżmy tu po kolędzie* – szopka krakowska, maskowo-lalkowe widowisko, scenografia i reżyseria: **Zofia Mikulska**, maski, lalki i scenografia: K. Mikulski, muzyka: **Andrzej Zarycki**, nawiązanie do tradycji szopki krakowskiej i ludowej.

■ 1977 – *Hej, na smoka* W. Jaremy i J. Wolskiego, barwne widowisko w reżyserii **Juliusza Wolskiego** ze scenografią K. Mikulskiego to dowcipnie przedstawiona stara krakowska legenda.

■ 1979 – *Alicja w Krainie Czarów* L. Carrolla, w adaptacji i reżyserii F. Leniewicz, w maskach i kostiumach **Jana Polewki**, w bardzo ciekawej aranżacji teatralnej przestrzeni (scena, foyer, schody).

■ 1982 – *Pieśń nad pieśniami* – poemat biblijny na podstawie przekładu Cz. Miłosza, adaptacja i reżyseria **Voja Stankovskiego**, to początek bardzo interesującej współpracy z zamieszkałym w Szwecji macedońskim reżyserem, który zrealizował tu piękne spektakle: *Cudowna lampa Aladyna* (1983), *Gilgamesz* (1985) i *Przygody Sindbada Żeglarza* (1987), wprowadzając nowy typ lalek, nawiązujący do japońskiej techniki lalek bunraku.



Stanisław Lem, *Dzienniki gwiazdowe*, inscenizacja i scen. Małgorzata Zwolińska, reż. Adolf Weltschek, 2017, fot. Grzegorz Mart/archiwum Groteski

- 1985 – jubileuszowy *Cyrk Bumstarara* w reżyserii F. Leniewicz, wystawiony na 40-lecie, był nawiązaniem do *Cyrku Tarabumba*, z przywołaniem starych bohaterów, ale też z kreacją nowych postaci i nowych tekstów.
- 1986 – *Hanusia i mysz Pompeusz* G. Aceto, w reżyserii **Leszka Czarnoty**, ze scenariuszem J. Polewki, z tekstami piosenek Ewy Lipskiej, rozpoczęła współpracę z poetką, która napisała dla Groteski teksty piosenek do *Historii o królewiczu Rumianku i siedmiu królewnach* J.I. Kraszewskiego (1987), baśni *Piotruś, kaczka i wilk* (1987) oraz bajkę *Bywałek w Krainie Oceanów* (1990).
- 1990 – **Jan Polewka** zostaje dyrektorem i kierownikiem artystycznym (do 1998), następnie jest kierownikiem literackim (do 2005).
- 1993 – *Mirómagia*, barwny, niezwykle plastycznie, autorski spektakl J. Polewki (scenariusz, reżyseria, scenografia) inspirowany sztuką J. Miró. Główna nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Stregatto '95 w Rzymie.
- 1994 – *Pilot i książkę*, na podstawie A. de Saint-Euxupéry'ego, reżyseria: **Adolf Welt-**

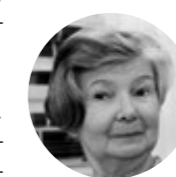
- schek**, scenografia: J. Polewka, grany w polskiej i francuskiej wersji językowej, współpraca z Instytutem Francuskim.
- 1997 – *W 80 dni naokoło światów* J. Verne'a, scenariusz, reżyseria, scenografia: J. Polewka, kostiumy **Elżbieta Oyrzanowska**, która była scenografem w teatrze od 1978.
- 1998 – **Adolf Weltschek** zostaje dyrektorem i kierownikiem artystycznym (od 1991 był kierownikiem literackim).
- 2000 – pierwsza Wielka Parada Smoków, której pomysłodawcą i realizatorem jest A. Weltschek. Co roku na przełomie maja i czerwca trasą Wawel – Grodzka – Rynek, pod Ratusz idą smoki! A w zakolu Wisły, u stóp Wawelu odbywa się wielkie widowisko plenerowe dla 40 000 widzów! Plastycznie jest to dzieło **Lesława Kostki** i **Piotra Plesnera**. Nad stroną techniczno-organizacyjną przedsięwzięcia czuwa **Jacek Stankiewicz**.
- 2001–2015 – *Reality Shopka Szoł*, karnawałowa, satyryczna szopka z udziałem polityków cieszyła się ogromnym powodzeniem, w 15. edycjach wystąpili między innymi Joan-



Jan Brzechwa, *Pchła Szachrajka*, reż. Anna Seniuk, scen. Anna Sekuła, muz. Maciej Małecki, fot. archiwum Groteski

- na Mucha, Róża Thun, Bronisław Komorowski, Jacek Majchrowski, Andrzej Zoll.
- 2008 – *Mistrz i Małgorzata* M. Bułhakowa, w adaptacji i reżyserii **Waldemara Wolańskiego** i ze scenografią **Joanna Hrk**, spotkała się z dużym zainteresowaniem.
- 2009 – *Hommage à Chagall*, scenografia i reżyseria: A. Weltschek, scenografia: **Małgorzata Zwolińska**, muzyka: **Roman Opuszyński**; w 2011 sukces na trzech prestiżowych festiwalach we Francji, Norwegii i Rumunii.
- 2011 – pierwsza edycja Międzynarodowego Festiwalu Teatru Formy „Materia Prima”; odbywa się co 2 lata, w 2019 była 5. edycja.
- 2014 – *Kod Mistrzów* – każdy wieczór to spotkanie-rozmowa z interesującym człowiekiem przyciąga tłumy publiczności, a wśród bohaterów tych spotkań byli między innymi Kazimierz Kutz, Seweryn Blumsztajn, Agnieszka Holland, Jerzy Stuhr, Jan Pieszczałowicz, Ewa Lipska, Karol Modzelewski.
- 2015 – *Ania z Zielonego Wzgórza* L.M. Montgomery, adaptacja, reżyseria A. Weltschek, scenografia M. Zwolińska, jest spekta-

- klem ciągle granym i bije wszelkie frekwencyjne rekordy!
- 2017 – *Dzienniki gwiazdowe* Ijona Tichego S. Lema, adaptacja, teksty piosenek i scenografia D. Zwolińska, reżyseria A. Weltschek, zostały uznane za najlepszą teatralną realizację prozy tego autora.
- 2019 – sezon 2019/2020 otworzyła premiera barwnego spektaklu *Pchły Szachrajki* J. Brzechwy, reżyseria: **Anna Seniuk**, scenografia: **Anna Sekuła**, muzyka: **Maciej Małecki**. To bardzo dobry prognostyk na jubileuszowy sezon!
- Czerwiec 2020 – Groteska skończy 75 lat!!!



Anna Stafiej – teatrolog naturalizowany m.in. w teatrach Starym, Groteska, im. J. Słowackiego, STU.



Meet Jazz: (od lewej) Bernard Maseli i Jerzy Szcherbakow

Spotkaj jazz!

Tekst: Krzysztof Burnetko Zdjęcia: Klaudia Krupa/Dworek Białostrzemiński

Pomysł jest niekonwencjonalny, a prosty: polega na rozmowie z wybitnymi muzykami przeplatanej dźwiękowymi ilustracjami w ich wykonaniu, a zakończonej dłuższym już koncertem. Służyć ma zaś propagowaniu jazzu czy szerzej: dobrej muzyki i jej twórców.

Prawdę mówiąc, wzorem była Warszawa. Tam podobne spotkania odbywają się od kilku lat pod patronatem RadioJAZZ.fm oraz JazzPRESS. Naszą krakowską specyfiką jest to, że podczas Meet Jazz proponujemy dużo więcej muzyki – tłumaczy inicjator przedsięwzięcia Maciej Trifonidis (niegdyś mieszkaniec stolicy, który teraz osiadł w Krakowie).

Jest i drugi znak szczególny – areną Meet Jazz są sale Dworku Białostrzemińskiego, czyli miejsca nader zasłużonego w dziejach tego gatunku pod Wawelem. W latach 70. ubiegłego wieku zabytkowe piwnice dawnej rezydencji biskupa Samuela Maciejowskiego stały się miejscem prób wielu lokalnych grup jazzowych oraz koncertów krajowej czołówki (często się to zresztą pokrywało). Grywali więc w Dworku Tomasz Stańko, Janusz Muniak, Jan Ptaszyn Wróblewski, Henryk Miśkiewicz, Andrzej Kurylewicz, śpiewali Wanda Warska, Ewa Bem, Grażyna Łobaszewska i Andrzej Zaucha, koncertowały zespoły Osjan, Laboratorium, Sun Ship, Extra Ball, Jazz Band Ball Orchestra.

Nic dziwnego, że znaczenie Jazz Clubu Dworek jako sceny jazzowej, jednego z niewielu miejsc w mieście, gdzie można było posłuchać jazzu, porównywano wówczas do samego Klubu Pod Jaszczurami.

Obecna inicjatywa to szczytne do tego nawiązanie. Tyle że skierowana jest nie tylko do fanów jazzu, ale do wszystkich chcących słuchać i poznawać dobrą muzykę. Bo właśnie poznawaniu jazzu służyć mają rozmowy z muzykami towarzyszące koncertom. A artystów przepytuje Jerzy Szcherbakow – dziennikarz muzyczny, założyciel Fundacji EuroJAZZ,

wydawca RadioJAZZ oraz JazzPRESS. Drażą o wszystko: inspiracje i poszukiwania, historyczne sesje nagraniowe, w których brali udział, i codzienne życie jazzmana, także pozasceniczne. – Kameralna atmosfera tych rozmów wywołuje wrażenie prywatnego niemal spotkania z gwiazdą przy kawiarnianym stoliku – zachwala Maciej Trifonidis.

Co też ważne: kolejne edycje MeetJazz są rejestrowane i retransmitowane na antenie RadioJAZZ.fm i udostępniane jako internetowe podcasty (w planach są transmisje wideo).

Pierwszymi gośćmi Meet Jazz byli znakomity wokalista, głos zespołów Tie Break, Young Power i Kapela ze Wsi Warszawa Jorgos Skolias z synem Antonisem, perkusistą zespołów Kolos, Companions i Impro Krk. Bohaterem edycji drugiej był Bernard Maseli, wirtuoz wibrafonu, aranżer i muzyk grupy Walk Away oraz składów Krzysztofa Ścierańskiego.

Następnym gościem miał być gitarzysta (a czasem perkusista) Apostolis Anthimos, muzyk Czesława Niemena i Tomasza Stańki, a przede wszystkim grupy SBB i własnego trio.

– Ledwie udało nam się rozpędzić, nadeszła zaraza i musieliśmy wszystko zawiesić – mówi z żalem Trifonidis. Lecz zaraz dodaje: – Ale jak tylko wirus odpuści, ruszymy znowu! Na liście potencjalnych gości w popandemicznych czasach są już – oczywiście prócz Anthimosa – Joachim Mencil, Paweł Kaczmarczyk i Jacek Kochan.

Meet Jazz, Dworek Białostrzemiński, Kraków, ul. Papiernicza 2.

Magdalena Naęcz, *Ogrody miłości XV*, olej, płótno, 110 x 140 cm, 2014



Między otchłanią a ogrodami rozkoszy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: archiwum artystki

Malarstwo Magdaleny Nałęcz może wciągnąć nas w czarną dziurę smutku, ale też porwać w radosną przestrzeń, w której słychać śpiew ptaków.

Wzburzone fale, z których wynurzają się ostre rysy skał, bezdenne tonie, kłębiące się chmury, tonące w przestworzach dziwne kształty, bezkres czasu i przestrzeni. Patrząc na obrazy Magdaleny Nałęcz z cyklu *Otchłań* i czuję niepokój. Mam wrażenie, że szalejące na nich żywioły zaraz mnie wciągną, zostaną wessana do środka przez oko cyklonu i stanę się jego rozwibrowaną częścią bez szansy na ratunek. Gdy przenoszę z nich wzrok na stojącą obok mnie Magdę, uosobienie spokoju, nie mogę uwierzyć, że to groźne, kosmiczne szaleństwo, burza emocji zwiastujących koniec istnienia wyszła spod pędzla tak zrównoważonej osoby. – Masz rację, z natury jestem osobą spokojną, uwielbiającą równowagę. Ale przecież każdy ma swoje demony – mówi malarka.

Na wielkoformatowych obrazach Magda porzuca na chwilę swoją figuratywną twórczość, którą uprawiała do tej pory, i kieruje się w stronę abstrakcji, nadając jej raz wymiar symboliczny, to znowu surrealistyczny. – Zawsze maluję z natury. W tych obrazach jest światło, mrok, horyzont, spotkanie żywiołów, tafla wody, która odbija rzeczywistość, raz realną, innym razem zniekształconą. To są moje narzędzia do opowiedzenia o uczuciach, jakie w nas drzemią. *Otchłań* mówi o nas samych, o naszych słabościach, chwilach bez wyjścia, problemach, o osobistych czarnych dziurach. Ale także pokazują w niej smugę światła.

Podobne tematy artystka poruszała też we wcześniejszych *Ogrodach wspomnień*, obrazach, które pojawiły się po odejściu bliskiej jej osoby. Pod tym tytułem kryją się cztery cykle: *Ogrody pożegnań*, *Ogrody miłości*, *Ogrody dzieciństwa* i *Ogrody wyobraźni*. – Dzięki tym płótnom oczyszczałam się ze wspomnień. Ale równocześnie malując je, chciałam stworzyć opowieść uniwersalną o nas wszystkich i o tym, co każdego z nas dotyczy.

Ogrody pożegnań oglądam w jej pracowni mieszczącej się w przyziemiu starej kamienicy przy ul. Bernardyńskiej. W świetle żarówki, po klimatycznej mrocznej przestrzeni krążą wspomnienia, które Magda utrwaliła na płótnach. Widać na nich pracownię artysty. Znajdują się w niej niedokończone obrazy, sztalugi, resztki farb, pędzle, rozsypane pety, porzucone gdzieś beładnie buty. Pozostała pustka, pojedyncze przedmioty, ale nie człowiek. Widzimy tylko jego bosa stopy, odchodzące, wspinające się po szczeblach drabiny.

– Nie mogłam uwierzyć, że malowanie wyzwoli mnie od tragicznych przeżyć. Ale tak się stało. Pro-

mienie słońca, które znalazły się na moich kolejnych obrazach, pozwoliły mi wyjść z otchłani, stały się moim światłem w tunelu – wyznaje artystka i dodaje, że teraz najczęściej maluje nie w ponurej piwnicy, lecz w domu w Wieliczce, otoczonym ogrodem pełnym kwiatów, do którego się przeprowadziła, zaczynając nowy rozdział życia. Piękno i spokój otoczenia zainspirowały ją do namalowania rozkwitających feerią barw *Ogrodów rozkoszy*.

Wcześniej jednak powstały *Ogrody miłości*. Magda zabiera nas w nich do cyprysowych alejek Toskani, przeradzających się w swego rodzaju labirynty. Po ich krętych ścieżkach spacerują pawie, demonstrując wachlarze swoich ogonów. Prózne, piękne i bogate. W *Ogrodach dzieciństwa* przedstawia niepewną swojej przyszłości dziewczynkę, która jeszcze nie wie, że za parę lat pójdzie do Liceum Plastycznego w Rzeszowie, a potem dostanie się na Akademię Sztuk Pięknych. Nie wie, że tak pociącha to, co robi, że będzie przychodzić do pracowni o 5 rano, żeby jak najdłużej malować, a potem będzie odwiedzać swojego mistrza, prof. Jana Szancenbacha, pić z nim wino i rozmawiać o sztuce.

Kiedy opowiada o studenckich czasach, na jej twarzy pojawia się uśmiech. Rozkwita on także wtedy, kiedy spod ściany wyciąga obrazy pochodzące z cyklu *Ogrody rozkoszy*. Od razu uderza mnie niezwykle paleta kolorystyczna, promienie słońca i ptasi świergot jakby wychodzący z ram płócien. – Po *Otchłani*, która wybebeszyła wszystkie moje negatywne emocje, wchodzę teraz do ogrodów rozkoszy, które czyszczą moje smutki – wyznaje Magda z autentyczną radością w głosie.

*

Magdalena Nałęcz studiowała na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Tam obroniła dyplom z malarstwa i z rysunku. Prezentowała swoje prace na wielu wystawach. Ostatnio jej cykl *Otchłań* mogliśmy oglądać w krakowskim Pałacu Sztuki.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Magdalena Nałęcz

Twoja najszczęśliwsza chwila w życiu?

Kiedy poczułam, że znalazłam swoje miejsce na ziemi, swój dom z widokiem na góry, las, ogród pełen kwiatów i ptaków z dala od miejskiego zgiełku.

Gdybyś mogła być zwierzęciem, to jakim?

Chciałabym być kotem. Mieszkam teraz z dwoma. Są niezależne, robią, co chcą, są rozpieszczane. Wieczorami przychodzą na kolana, na pieszczoty i koją moje myśli swoim mručeniem.

Gdybyś mogła być ptakiem, to jakim?

Żadnym z ptaków nie mogłabym być. Boję się ptaków, boję się wszystkiego, co lata. W prawdzie nie mam ptenofobi, ale czuję się nieswojo na widok ptasich piór. Wśród ptaków najbardziej fascynuje/przeraza mnie sowa, ma oczy jak kot, obraca głową niemalże dookoła i świetnie się kamufluje.

Miejsce na ziemi, w którym najlepiej się czujesz?

Najlepiej czuję się w swojej pracowni, gdzie mogę pozbierać myśli, pracować nad kolejnymi opowieściami na płótnie.

Wymarzona podróż, która kiedyś na pewno dojdzie do skutku?

Lubię podróżować do miejsc, które łądają moje akumulatory. Lubię włóczyć się po muzeach i galeriach sztuki. Mój wymarzony kierunek to Nowy Jork.

Stan duszy, który pozwala ci marzyć?

Szczęście. Kiedy jestem szczęśliwa, to każde marzenie wydaje się możliwe do spełnienia.

A o czym w tym momencie marzysz?

Taki nastał czas na święcie, że pewnie jak wielu innych ludzi marzę o spokoju i stabilnej, bezpiecznej sytuacji.

Sen, który będziesz pamiętała zawsze?

Raczej o nim nie opowiem, bo to sen, w którym popełniam morderstwo. Sama się go boję i zastanawiam się, skąd do mnie przyszedł.

Co cię przygasza, hamuje?

Chaos, niepewność, niestabilność...

A co powoduje, że rozkwitasz?

Spokój, równowaga, miłość.

Jaki dźwięk kochasz?

Kocham szum morza, kocham mruczenie moich kotów.

Jakiego dźwięku nienawidzisz?

Wszystkich hałaśliwych dźwięków, które mnie rozpraszają i męczą.

Książka, która cię inspiruje?

Miłość w czasach zarazy Gabriela Garcíi Marqueza, bo opowiada o miłości silniejszej od wszystkiego. O miłości, która jest najpierw młodzieńczym zadurzeniem, która prowadzi przez szalone namiętności i ulotne pragnienia cielesne, po śmierć. Też próbowałam opowiedzieć o niełatwej miłości w cyklach obrazów *Ogrody miłości* i *Ogrody pożegnań*.

Dzieło sztuki, które miało największy na ciebie wpływ?

Trudno wskazać jedno dzieło. Fascynuje mnie twórczość wielu artystów, takich jak Paul Delvaux, Leonor Fini czy Bruno Schulz. Opowiadam o tym w cyklach moich obrazów *Ogrody wyobraźni* i *Sklepy cynamonowe*. A nie sięgając tak daleko – dzięki fascynacji malarstwem prof. Jana Szancenbacha trafiłam na krakowską Akademię Sztuk Pięknych i miałam szczęście studiować w jego pracowni. Dzięki bohaterom jego obrazów – codziennym przedmiotom, kwiatom, owocom wprost z ogrodu, pejzażom – zrozumiałam, jaka jest moja droga rozmowy bez słów. Studiowałam także w pracowni prof. Sławomira Karpowicza, który pokazał mi, czym jest czas i przemijanie w twórczości.

Miejsce, do którego najchętniej zapraszasz przyjaciół?

Jesienna weranda w moim domu, z widokiem na góry, otoczona winoroślami z kiściami winogron, stołem pełnym wina i nalewek własnej roboty.

Czym się z nimi lubisz dzielić?

Rozmawia. Rozmawiamy o sztuce, o obrazach, które malujemy, o tym, co nas inspiruje, co nam się podoba, a co nie. Co nam się przytrafiło, co nas spotkało, o życiu...

Czesław Miłosz. Zawsze

Rozmawiał Witold Beres Zdjęcia: Joanna Helander (ze zbiorów Jerzego Illga), Grzegorz Kozakiewicz

Jerzy Illg: Dzisiaj Miłosz strasznie by cierpiał. I zabierałby głos. Troszczył się o gospodarstwo polskiej poezji, ale to Polska go głęboko bolała.

Witold Beres: Właśnie przeczytałem twój tomik *Listy do Czesława Miłosza*. Nie mam szczególnie słuchu do poezji, ale jeżeli jedną z jej funkcji jest budzenie emocji, to muszę powiedzieć, że gdy przeczytałem wiersz otwierający „... a głos tubalny od progu zadałby pytanie:/- Panie Jerzy, to czego się dziś napijemy?”, po prostu nalałem sobie dzięgielówki, takiej jaką z Krzyśkiem Burnetką kupowaliśmy w „Tygodniku Powszechnym” właśnie dla Miłosza, i te wiersze pochłonąłem naprawdę ze wzruszeniem.

Pamiętam tamto picie alkoholu, a właściwie – smakowanie Miłosza. I tembr jego głosu. Jestem pewien, że nawet jak ktoś go nie znał, to dzięki choćby temu fragmentowi zobaczy go i usłyszy.

Nawet nie wiedziałem, że jesteś poetą...

Jerzy Illg: To miłe, co mówisz. Dla autora chyba nie może być niczego przyjemniejszego niż taka reakcja czytelnika. Ale ja mówiąc o sobie, nigdy w życiu nie użyłbym słowa „poeta”. To jest dla mnie jakoś... żenujące. Po prostu w sprzyjających okolicznościach przydarza ci się coś takiego nie do końca jasnego dla ciebie samego, co musisz zanotować.

Stanisław Balbus, który jest jednym z odkrywców ciebie jako poety, pisze w posłowniu: „Pisujemy listy do najdroższych naszych zmarłych nie po to, aby przenieść się duchem i wyobraźnią w ich przestrzeń, od tego są modlitwy, ale aby – na moment czasu pisania – wezwać ich stamtąd – tutaj; przywrócić, umiejscowić wśród naszych sprzętów i widoków, rzeczy dotykalnych i przez nich dotykanych. Przelotnie unieważnić ich śmierć”. Pięknie... Jak więc doszło do powstania tych wierszy?

Kiedy już po odejściu Miłosza byłem w Wilnie, podobnie jak w Krasnogrudzie nad jeziorem Gaładuś, więc w miejscach z nim szalenie związanych, cały czas czułem jego obecność. I właściwie te wiersze – nie wiersze – napisały się niemal same, pod wpływem jakiegoś tajemniczego impulsu, pod wpływem emocji. Powstały prawie bez żadnych poprawek czy szlifów. Dziwna przygoda.

Z kolei książeczka by nie powstała, gdyby nie profesor Balbus, który wymyślił, że na wernisażu Stanisława Baja powie o Tadeuszu Nowaku należącym wraz z nim i z Wiesławem Myśliwskim do kręgu przyjaciół, w formie listu do nieżyjącego poety. I wtedy się przyznałem: – Wiesz co, jak mówisz o liście do nieżyjącego poety, to ci coś przeczytam. I przeczytałem mu przez telefon pierwszy z tych wierszy.

Ten: „czego się pan napije”?

Tak. Był drukowany w „Tygodniku Powszechnym” w trzecią rocznicę śmierci Miłosza. Balbus posłuchał i mówi: – Słuchaj, ale jaki to list? Przecież to jest wiersz! – No, jak ci się podoba, to przeczytam ci drugi.

Posłuchał i wtedy niemal oszalał (śmiech). Mówi: – Słuchaj, musisz to wydać w książeczce, a ja napiszę posłowie. Ja mówię: – Dwa wiersze będą w książeczce wydawać? Oszalałeś? Jeśli już, to powinien w niej jeszcze być list z Grizzly Peak, a tego nie mogę napisać, bo to będzie zadane sobie wypracowanie, przywoływanie wspomnień, a nie kreacja tak spontaniczna i samoczynna jak te pierwsze wiersze. Ale Staszek mnie namawiał. Zrobiłem więc draft wiersza. Pojechałem do niego. I nastąpił cud *creative writing* – a trzeba pamiętać, że Staszek Balbus to fenomenalny literaturoznawca obdarzony dodatkowo słuchem

... i nagle słyszę Miłosza za plecami: „Jednak szczęście jest dostępne!”. Myślę sobie: „Kurczę, mieć 90 lat i wygłosić taką sentencję. Przecież to jest cudowne”. Odwracam się, a on to mówi wpatrzony w zmrożony kieliszek wódki i w śledzia w śmietanie.

poety, nie przez przypadek tłumaczy teraz Rilkego. Więc Staszek czekał na mnie z *Widzeniami nad Zatoką San Francisco*. Miał założone cytaty i mówi mi: – Zobacz, piszesz o Golden Gate, że to „most samobójców”, a u Miłosza są „dinozaury dwóch mostów”. Zobacz, to jest lepsze. Cytujesz go czasem, więc możesz swój tekst nim inkrustować... A ta linijka jest zbyt retoryczna, pomyśl nad tym. Pomyślałem. Gdzie indziej dodałem do sosny: Ponderosa. I on: – Widzisz, Ponderosa. Od razu wiemy, gdzie jesteśmy.

Ten wiersz trzeci właściwie jest naszym wspólnym dziełem. Praca z kimś takim to wspaniała przygoda... A potem to posłowie – ja się przy nim rumienię, trudno mi uwierzyć, że to o mnie. Tomas Venclowa, który to tłumaczył na litewski, napisał mi: „Nasz przyjaciel Balbus pisze jak Hegel, Heidegger i Derrida. Miałem nie lada orzech do zgryzienia”.

Kiedy pierwszy raz spotkałeś Miłosza?

Widziałem go oczywiście w Krakowie w 1981 roku, ale w tłumie. Spotkanie to był Rzym, 1986 rok. Byliśmy akurat z Tomkiem Fiałkowskim na obiedzie u contessy Wandy Gawrońskiej i ona mówi: – Janek Błoński właśnie się dzisiaj spotyka z Miłoszem. My na to: – Co? Ten mityczny Miłosz jest w Rzymie? Siedzieliśmy potem z redakcją Znaku, z Błońskim i z nim na Via della Conciliazione i długo rozmawialiśmy. On był szalenie ciekaw wszystkiego, co się dzieje w Polsce. Opowiadałem mu o prywatnym, „podziemnym” sympozjum na temat Kundery, któ-

re się odbyło w moim katowickim mieszkaniu. Był zafascynowany, że takie rzeczy dzieją się w Polsce, był spragniony tych wieści.

A później było tych spotkań o wiele, wiele więcej... Tak, dość blisko z nim obcowałem, czego zresztą ten tom jest dowodem. To są wiersze prawie miłosne. Ale najważniejsze dla mnie było to, że on wpłynął na ukształtowanie moich gustów i hierarchii estetycznych. Choćby jego manifest *Przeciw poezji niezrozumiałej*, który miał poprzedzać *Wypisy z ksiąg użytecznych*, to jest także moje credo. A dzisiaj, niestety, górę wzięła szkoła apologetów bełkotu, którzy rzeźbią w języku, prześcigają się w jałowych eksperymentach formalnych, z których nic nie wynika. To nie jest poezja do czytania.

Odwiedzałeś go również w Kalifornii.

Pierwszy raz zjawiłem się w Stanach dopiero w 1993 roku. Dla mnie, starego hipisa, odwiedziny Haight-Ashbury w San Francisco to była pielgrzymka do korzeni. Byłem wtedy uczestnikiem Stanford Professional Publishing Course. USIA wspierała wówczas ludzi i transformację w tej części Europy. Tam była dziewczyna z Ukrainy, kilka osób z Rosji, z Chin. Mnóstwo ludzi z całego świata. Wykorzystywałem ten pobyt, żeby co jakiś czas wyprawiać się na węgry do Miłosza. Wtedy opowiadał mi o sobie. – Wie pan, lata w kompletnej samotności, z pićciem do lustra, z brakiem kontaktu ze środowiskiem. Z poczuciem, jakbym wkładał te wiersze do dziupli w drze-

wie. Ale odpychał tę depresję, tę rozpacz, te ciemne chwile właśnie pracą, prawdziwie benedyktyńskim trudem. Powiedziałem mu wówczas, że gdyby był w Paryżu, nie mówiąc już o Polsce, to ciągle byłaby kawiarnia, koledzy, i nie zrobiłby tyle, ile w samotności. To była straszna cena, ale też za to powstała cała ogromna biblioteka. Co ciekawe – miał wspaniały widok z pokoju na Zatokę San Francisco, stąd też tytuł jednego z tomów... Ale gabinet do pracy miał od drugiej strony i okna tego gabinetu wychodziły na stromą skarpę. Dwa metry za oknem już do góry kamienista ziemia, żeby się nie rozpraszać, żeby ten widok go nie uwodził, biurko zasłane papierami. Do dziś pamiętam ten adres: 987 Grizzly Peak Boulevard, Berkeley, i numer telefonu.

Gdy czytam jego wiersze, zresztą tyczy to zawsze poezji, zastanawiam się, do jakiego stopnia tłumacz oddaje jej wymiar. Więc: czy Miłosz jest dobrze przyswajalny na Zachodzie?

W obszarze języka angielskiego na pewno, bo tłumaczył te wiersze sam z przyjaciółmi. Najwięcej z Bobem Hassem, ale też z Robertem Pinsky, z Richardem Lourie. W dodatku niezwykle wpływawała w Ameryce jego antologia *Postwar Polish Poetry* wydana w 1965 roku przez niego jako tłumacza. Dlatego zresztą ubolewał nad tym, że przez długie lata nie był w Stanach rozpoznawalny jako poeta. Najpierw widziano w nim autora *Zniewolonego umysłu*, co mu robiło gębę pisarza politycznego.



Jerzy Illg (rocznik 1950) – poeta, krytyk literacki i wydawca, nauczyciel akademicki, redaktor naczelny wydawnictwa Znak. Ukończył szkołę średnią w Katowicach, a w 1974 roku filologię polską na Uniwersytecie Śląskim, gdzie później obronił doktorat. W roku 1983, w okresie stanu wojennego, został usunięty z uczelni z przyczyn politycznych. Od 1983 związany z wydaw-

nictwem Znak jako redaktor, a od 1992 jako redaktor naczelny. Autor m.in. kilku tomików poetyckich, książkowych rozmów z Josefem Brodskim, profesorem Andrzejem Szczeklikiem, Stanisławem Radwanem, a także książki wspomnieniowej *Mój znak. O noblistach, kabaretach, przyjaźniach, książkach, kobietach* (Znak, Kraków 2010, wznowienie 2019).



To zdjęcie Joanny Helander Bronisław Maj (uwieczniony na nim obok Jerzego Illga i Czesława Miłosza) proponował podpisać: „Gilderstern i Rosenkranz usiłują sprzedać szlachcicowi z Litwy kolumnę Zygmunta”

Potem – świetnego wykładowcę o Dostojewskim. Wreszcie – tłumacza Herberta.

Dopiero gdy przyszedł tom *Bells in Winter* i potem Nobel, to raptem wszyscy sobie uświadomili, kogo mają w Berkeley. A Susan Sontag w filmie, jaki robiliśmy o Miłoszu, powiedziała nam do kamery, że Ameryka miała w XX wieku dwóch wielkich poetów – to byli Joseph Brodsky i Czesław Miłosz. Ale i tak największe wyróżnienie, o którym mówił zawsze ze śmiechem, to otrzymanie na kampusie miejsca parkingowego z literami „NL” – Nobel Laureate. Inaczej nie miałyby szansy zaparkować! [śmiech]

Miłosz był człowiekiem skomplikowanym, pełnym sprzeczności. Ale był też nieprawdopodobnie pracowity. I cechowała go godna podziwu wierność samemu sobie. Mówiliśmy sobie z przyjaciółmi, że kiedyś będziemy wspominać spotkania z nim tak jak ci, którzy jadali z Mickiewiczem kolacje w Paryżu. To było nasz wielki przywilej, że możemy powiedzieć o sobie, iż żyliśmy w czasach Miłosza, Szymborskiej. Ale zarazem każda wizyta u niego to był egzamin. Przecież od drzwi padało od razu pytanie: – A czytał pan to? On czytał wszystko. Tomiki młodych poetów, artykuły w gazetach, książki, nowości. Pamiętam cudowną scenę z Wisławą. Od drzwi Czesław mówi: – Wisława, co ty myślisz o obecnych stosunkach polsko-ukraińskich? Ona: – Wiesz, czy ja wiem? [śmiech] On: – A czytałaś ten artykuł? Ona: – Nie, tego jeszcze nie czytałam. On: – A ta książka... Powiedz mi, co myślisz o niej? Ona: – Wiesz, mam to już na stoliczku nocnym. On, zi-

*Miłosza manifest **Przeciw poezji niezrozumiałej** to jest także moje credo. A dzisiaj, niestety, górę wzięła szkoła apologetów bełkotu.*

rytowany: – Wisława, czy ty w ogóle coś czytasz? [śmiech]

Organicznie potrzebował rozmowy istotnej, wymiany myśli. Miałem rozpaczliwe poczucie, jak bardzo ja i koledzy nie jesteśmy dla niego satysfakcjonującymi go w pełni partnerami, a równocześnie to było szalenie mobilizujące.

Więc nie tylko talent, ale pracowitość. I mówisz jeszcze, że samotność...

Miał żonę, cudowną Carol. Dla mnie był kimś w rodzaju Hioba. Stracił najbliższych. Brat Andrzej Miłosz, którego kochał, zmarł 10 lat przed nim. Z Carol wydawało się, że będzie odwrotnie, że to ona będzie opiekowała się jego spuścizną, a tymczasem musiał ją pożegnać. Przeżył wszystkich przyjaciół. Te ostatnie lata były bardzo smutne. Miał skłonność do depresji, którą odpychał pracą, pisaniem. Myślę, że to jego kompulsywne czytanie wszystkiego, praca, spiżarnie literackie – to było odpychanie rozpaczy poprzez trud duchowy, umysłowy, drażnienie. Nazywałem go sobie tropicielem istotności, obchodziło go to, co ważne. W Stanach nie znosił *small talks* ze szklaneczką whisky. Mówił, że nienawidził *parties*, gdzie się gada o niczym, więc efekt był taki, że się upijali i rzucał na kobiety. Wreszcie Janka położyła szlaban, skończyły się *parties*.

Co zwykle pijaliście?

On lubił bourbona. Ja za tym mniej przepadałem, ale zawsze u niego podjeżdżał na kółkach stoliczek i tam pod spodem stała cała bateria dobrych płynów. **A ty – polska szkoła, zmrożona biała wódka itd.?** Jeszcze inaczej. Kiedyś jest u nas w domu, ja odwrócony, i nagle słyszę go za plecami: „Jednak szczęście jest dostępne!”. Myślę sobie: „Kurczę, mieć 90 lat i wygłosić taką sentencję. Przecież to jest cudowne”. Odwracam się, a on to mówi wpatrzony w zmrożony kieliszek wódki i w śledzia w śmietanie mojej żony – to był jego przysmak. Tu kapie mu cebulka na spodnie, a on pomrukuje jak niedźwiedź, zajada to, czego nie miał w Kalifornii.

Czy podejrzales, jak pracowałeś? Fajnie się mówi, że trzeba być pracowitym, że trzeba przetrwać samotność. Gdzie tu miejsce na warsztat?

Są te słynne zielone kajety, które jego syn Tony przekazał Bibliotece Narodowej, gdzie Miłosz zapisywał rano fragmenty snów, strzępy. To czasem jest jakaś fraza, jakiś wers, jakiś impuls. Tak jak to cudowne *Esse*, kiedy jedzie metrem w Paryżu i zakochuje się w twarzy przepięknej pasażerki, i przeżywa najkrótszy romans trwający kilkadziesiąt sekund. Wiersze rodzą się z takich impulsów. Ta sprzeczność, jedna z jego wielu, polegała na tym, że z jednej strony był niesłuchanie uwrażliwiony na wymiar metafizyczny, sakralny (jego późne wiersze są właściwie

Cokolwiek Miłosz powiedziałby mądrego, to prawie nikogo by dziś nie obeszło. Nie miałyby wpływu na naszą rzeczywistość, która toczy się tą błotnistą koleiną. Bezsilność intelektualistów, poetów to jest coś przytłaczającego. Jedyne, co pozostaje, to nie uczestniczyć w kłamstwie i dawać świadectwo, mówiąc prawdę i protestując.

religijne). Zresztą uważał, że poezja przejęła w XX wieku rolę teologii, że to ona docieka pytań ostatecznych. Równocześnie był kołyszany marzeniami porno, obserwował zgrabne pupy dziewcząt w minispódniczkach. To nie było trywialne ani wulgarnie, to było właśnie związane z umiłowaniem świata i niespożytym apetytem na ziemskie pokarmy, czystym zachwytem pięknem istnienia.

Jak na niego dzisiaj patrzysz?

Tajemnica geniuszu nie jest łatwa do uchwycenia. Na pewno za tym stało to życie wyjątkowo trudne, bolesne, tragiczne właściwie. O którym sam mówił, że miał szczęście głupiego Jasia podejmującego decyzje właściwie samobójcze. Tak jak ten odskok w 1951 roku w Paryżu z ambasady do Maisons-Laffitte i zerwanie nie tylko z reżimem, ale z publicznością dla niego najważniejszą, czytającą wiersze pisane w jego wiernej mowie. Zawsze potem okazywało się, że warto było ryzykować, warto było postawić wszystko na jedną kartę, bo historia akurat jemu przyznała na końcu rację. Co nie zdarza się często. **Miłosz to również wielki słuch polityczno-społeczny. Dzisiaj – i nie jesteśmy jedyni, którzy to widzą**

– Polska stoi na straszliwej, topniejącej krze. I nie myślę o koronawirusie, ale o polityce i nastrojach... Strasznie by cierpiał. I zabierałby głos. Troszczył się o gospodarstwo polskiej poezji, ale to Polska go głęboko bolała. Dlatego tyle miał dla niej gorzkich słów i dlatego uważany był za Litwina, za zdrajcę, bo wygarniał te wszystkie polskie wady, grzechy, które teraz doszły do głosu w postaci wcześniej niespotykanej.

A czy ty widzisz w nas, intelektualistach winę?

Myślę, że „nasze” rządy zaniedbały bardzo po transformacji sprawę oświaty i kultury. Skoncentrowaliśmy się na reformach Balcerowicza, na wolnym rynku, na tym wszystkim. A praca nad świadomością społeczną była zaniedbana, stąd tyle czadu w łepetynach, ONR, Młodzież Wszechpolska, odżywianie faszyzmu, łatwość, z jaką manipulują społeczeństwem populisci, ksenofobi, mali autokraci. Być może teraz ten docisk sprawi, że będą się rodzić dzieła tak ważne, jak Olgi Tokarczuk czy filmy Agnieszki Holland... Teatr, który znowu odgrywa coraz ważniejszą rolę. Czyli fenomen twórcy pod presją. Tak jak dawniej mówiło się: Kościołowi najlepiej robi stan umiarkowanego prześladowania, wtedy się zachowuje najbardziej przyzwoicie. Dzisiaj jest odwrotnie.

A jak powinno wyglądać twoje ostatnie słowo do Miłosza? Gdybyś tego listu nie włożył do tomiku, czyli do dziupli w drzewie, tylko gdyby on to mógł przeczytać?

Myślę, że dzielilibyśmy przerażenie i zde gustowanie tym, co się dzieje (i też nie mówię o koronawirusie!). To jest dominujące uczucie. Towarzyszy temu rozpaczliwa świadomość, że cokolwiek Miłosz powiedziałby mądrego, porażającego, to prawie nikogo by nie obeszło. Nas by obeszło, natomiast nie miałyby wpływu na naszą rzeczywistość, która toczy się tą błotnistą koleiną. Bezsilność intelektualistów, poetów to jest coś bardzo przytłaczającego. Jedyne, co pozostaje, to nie uczestniczyć w kłamstwie i dawać świadectwo, mówiąc prawdę i protestując. On pewnie byłby wierny sobie i by pisał. Weźmy choćby wiersz *Sarajewo*. Jest tam taka notatka: „Niech to nie będzie wiersz, ale przynajmniej mówię, co czuję”. Wiedział, że to jest ustępstwo na rzecz doraźnej formy publicystycznej, ale dał świadectwo.

To klasyka: o tej lawinie, która zmienia bieg w zależności od tego, po jakich toczy się kamieniach... Ale czy nasi następcy to rozumieją? Może nasza pamięć o wielkich obywatelach Rzeczypospolitej nie wyrasta z tego, że po prostu mieliśmy szczęście ich osobiście poznać? Czy dzisiaj dla kogoś młodego Miłosz, Herbert, Konwicki mogą być wielkimi obywatelami? Czy młodzi w ogóle pojmą, o co chodzi? Czy Polacy będą jeszcze potrzebowali Miłosza? Czy minie nam jak, powiedzmy, Szymon Szymonowicz? Ja wierzę, że zostanie. Inaczej życie nie miałoby sensu.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

... do NCK-u na „Beksińskiego”

– czyli do Nowohuckiego Centrum Kultury, al. Jana Pawła II 232, a w ostateczności – na stronie <https://nck.krakow.pl/de-profundis-beksinski-vr-2019/>



W chwili, kiedy piszemy te słowa, nie sposób przewidzieć, czy w wokabularzu Polaków będzie jeszcze w zrozumiały sposób istniał zwrot „na spacer”. Na wszelki wypadek polecamy zatem doskonałe miejsce w sieci stworzone przez krakowski NCK – stronę, na której można choćby lekko powąchać prawdziwą perłę w krakowskich zbiorach, czyli obrazy Zdzisława Beksińskiego. Odwiedźcie zatem koniecznie <http://de-profundis.pl/>!

A kiedy już pandemia przeminie, wybierzcie się do NCK osobiście, bo nic – nawet przy całej kontrowersyjności, jaką oferuje malarstwo Beksińskiego – nie zapewni tak pełnego kontaktu ze sztuką jak możliwość osobistego zobaczenia dzieł w przestrzeni realnej.

Beksiński należy do wąskiego grona polskich artystów, których twórczość jest rozpoznawalna zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Jego dzieła nikogo nie pozostawiają obojętnym. Wzbudzają skrajne uczucia – od zachwyty po ostrą krytykę. Kolekcję jego prac, przekazaną NCK w depozyt przez Annę i Piotra Dmochowskich, kolekcjonerów sztuki, marszandów i przyjaciół artysty, uzupełnia 100 rysunków i 100 fotografii. Galeria Beksińskiego (200 m²) została zaprojektowa-

na przez firmę EKOTEKTURA, a sama aranżacja wystawy jest dziełem Joanny Gościej-Lewińskiej. Dzięki temu widzowie mają okazję oglądać obrazy Beksińskiego w niezwyklej atmosferze, wspartej precyzyjnym, profesjonalnym oświetleniem i muzyką Armanda Amara.

*

Nowohuckie Centrum Kultury (NCK) to samorządowa instytucja kultury w Nowej Hucie w pobliżu placu Centralnego. Działa tu m.in. Zespół Pieśni i Tańca Nowa Huta, Zespół Góralski Hamernik, Krakowskie Centrum Choreograficzne, tu jest jedna z największych w Krakowie scen teatralnych. NCK jest także producentem cyklicznych imprez o charakterze festiwalowym: Festiwal Teatrów dla Dzieci, BalletOFFFestival, Festiwal Tańca Współczesnego SPACER, Festiwal Piosenki Dziecięcej KOLOROWE NUTKI, a także Nowohucki Festiwal Sztuki.

W ciągu roku NCK odwiedza ponad pół miliona osób.

(Reprodukcja i materiały prasowe – za zgodą i dzięki życzliwości Nowohuckiego Centrum Kultury)



Bronisław Maj. Dziewiętnaście lat później

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcie: Danuta Węgiel

W tym miesiącu prezentujemy pierwsze pełnoletnie zdjęcie Danuty Węgiel. Sesja miała miejsce w historycznej (bo już nieczynnej) kawiarni na tyłach historycznego (bo zlikwidowanego i przemianowanego na spożywczą sieciówkę) kina Wanda. Prawie wszystko tu kopnęło w kalendarz, powędrowało do archiwum i zapełniło karty historii. Wszystko, z wyjątkiem Bronisława Maja!

Był rok 2001, a redakcja miesięcznika „Kino” potrzebowała zdjęcia do rozmowy Tadeusza Lubelskiego z Majem na okoliczność nominacji tegoż do nagrody filmowej Orły za scenariusz *Angelusa* (napisany z Lechem Majewskim oraz Ireneuszem Siwińskim). Panowie perorowali o tekstach filmowych popełnionych przez poetę (między innymi o scenariuszu *Światła odbitego* Andrzeja Titkowa), zaś Dana portretowała nominowanego w kawiarni najstarszego kina w Krakowie (założonego w 1912, zamkniętego w 2001 roku, lecz związek upadku Wandy ze zdjęciem Danuty uważamy za przypadkowy, a wręcz mocno przesadzony). Maj na zdjęciu sprzed dwóch dekad spojrzenie ma raczej melancholijne, mimo że sesja przebiegała w wesołej atmosferze, bliższej klimatowi pani Loli z Domu Literatów niż młodopolskim spleenem. Podobno, wedle słów samego bohatera, na swoich najbardziej ponurych zdjęciach jest najbardziej uśmiechnięty. Proszę nam wierzyć, spoglądacie na pełnię uśmiechu Maja.

Choć Orła 2002 sprzątnął mu sprzed nosa film *Cześć, Tereska*, to już rok później wydał w Znaku *Elegie, treny, sny*, czyli tom poetycki, po którym Czesław Miłosz miał uznać, że autor „jest największym żyjącym polskim poetą religijnym”, a Jerzy Illg odpowiedzieć na to: „Broniu, pora umierać, niczego pięknieszego już nie usłyszysz”. Piotr Śliwiński na łamach „Gazety Wyborczej” skromnie dodawał: „Maj ma wielkie marzenie – przekroczyć próg samotności, połączyć się z innym, »dziękować każdym oddechem wydartym rozpacz«”.

Poeta niestety skąpił nam ostatnio wierszy, za to dopieszczał tekstami spektakli wystawianych na deskach Teatru Narodowego w Warszawie, Teatru im. J. Słowackiego, Teatru Ludowego oraz macierzystego KTO w Krakowie. Udzielał się aktorsko, rozwijał liryki humorystyczne zwane „lepiejami” i „moskalikami”, a także wślawił się opracowaniem wyboru poezji Andrzeja Gołoty pod tytułem *Sobie a guzom* dedykowanego Wisławie Szymborskiej i wydanego w ramach serii Biblioteki Narodowej przez oficynę kawiarni Nowa Prowincja. Według niektórych źródeł Maj zredagował też niektóre zawarte tam liryki pięściarskie, takie jak między innymi *Który skrzywdziłeś* z legendarnym credo: „Bo bokser to bokser. Możesz go zabić bez cienia rozterki, ale pamiętaj – zostaną bokserki”.

Wykazuje się też animatoro. Od roku 2011 roku organizuje festiwal Krakowska Noc Poezji, a od 2015 zasiada w Radzie Literatury przy Prezydencie Miasta

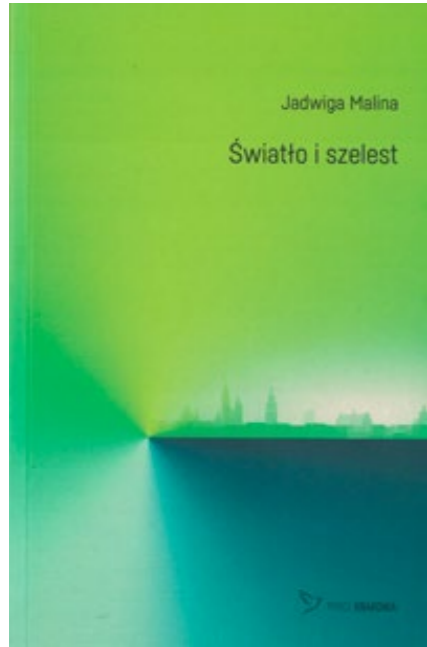
Krakowa. Na animatorów czyhają jednak zasadzki. O tym, że prawie nic tak jak teatr nie rozpala serc widzów, kół różańcowych oraz prokuratorów w mieście nad Wisłą w roku 2013 przekonał się dyrektor Jan Klata. O tym, że dramatopisarstwo to działalność wywrotowa i haniebna, przekonali się w roku 2016 Bronisław Maj oraz Jerzy Zoń, poproszeni przez policję o wyjaśnienie swoich niecznych intencji przy tworzeniu widowiska *Neomonachomachia* inspirowanego *Monachomachią* i *Konradem Wallenrodem*. Cała heca przeszła niczym zaraza, lecz pozostawiła kilka gorzkich przemyśleń. Maj wciąż pamięta, że zarówno Mickiewicz, jak i Krasicki wykręcili się sianem, a jego wydali na pastwę stróżów moralności. Na szczęście jedyny żyjący autor tekstu współpracy z teatrem nie porzucił. Na kolejną Noc Poezji w roku 2017 napisał *Weselisko*, czyli współczesną wersję *Wesela* Wyspiańskiego, a w grudniu 2018 wraz z Dorotą Segdą i Jackiem Romanowskim przygotował słuchowisko na podstawie korespondencji W. Szymborskiej i Z. Herberta. W obu przypadkach nad wyraz zaskakująco obeszło się bez interwencji organów ścigania czy spadkobierców praw.

Co robi Maj w maju 2020? Wieść gminna niesie, że schował się w gabinecie i tworzy. Czekamy zatem na nowy spektakl, scenariusz, słuchowisko, tymczasem zatapiając się w lekturze jego wierszy. Spoglądamy w oczy poety na zdjęciu z roku 2001 i czytamy:

Za oknem deszcz, szklanka herbaty na stole,
lampa – tak, może naiwnie, widzę cię
za pięć, za dwadzieścia, za sto dwadzieścia pięć
lat, odczytującego ten wiersz: myślącego o mnie, człowieku
sprzed dwudziestu czy stu dwudziestu lat – jak żyłem?



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.



Wiersze na czas zarazy...

Tekst: Janusz M. Paluch Zdjęcie: Krzysztof Lis

Od 1996 roku w Krakowie ukazuje się – ktoś powiedział „ekskluzywna” – seria wydawnicza *Poeci Krakowa*. W tej serii nakładem Biblioteki Kraków ukazał się niedawno wybór wierszy Jadwigi Maliny *Światło i szelest*. Koneserom poezji autorki nie trzeba bliżej przedstawiać. Gościła też na łamach naszego miesięcznika. Już jej debiut książkowy *Szukam ciemna*, opatrzony słowem wstępu przez Księcia Poetów Krakowskich Józefa Barana, był objawieniem i zapowiedzią prawdziwego talentu.

Książka, którą polecam, to wybór wierszy z uwalnianych przez poetkę z rozmysłem, co kilka lat, siedmiu tomów. Każdy z nich był ważnym wydarzeniem literackim. Książki Maliny stanowią bowiem szczegółowo przemyślaną całość, w której każdy wiersz, każdy element ma ściśle przewidziane miejsce, a czytelnik, zamknąwszy ostatnią kartę, odczuwa niedosyt i rozpoczyna podróż po księgarniach (o naiwny!) i bibliotekach, rozglądając się za innymi książkami poetki. Jej wiersze uzależniają, podobnie jak jej ubezwłasnowolniający uśmiech...

Światło i szelest to także bardzo konsekwentny i przemyślany wybór wierszy, potwierdzający po raz kolejny dojrzałość twórczości poetki już od pierwszego tomu. Prezentowane utwory, pochodzące przecież z różnych konstelacji poetyckich, eksplodujących w kolejnych okresach twórczych Maliny, otrzymują nowy kontekst i nowe życie – szczególnie w dobie wirusowanego świata. Delikatnym „szelstem” słów autorka uświadamia nam kruchość ziemskiej, zakręconej egzystencji, która tak bardzo zmarginalizowała to, co w życiu najpewniejsze – śmierć: „czy ktoś ją rozpozna? / Gdy na łóżku

siadzie, / Taka sobie z urody / Ni to chłop, ni baba” (*Na śmierć wróbla albo mazurka*). Nie pozwala jednak popadać w psychozę śmierci, dając – choć nie do końca – „światło” nadziei na przyszłość, wszak (...) „Hen tam za siódmą rzeką, / Za stumilowym lasem. Czeka na nas / Odpowiedź, albo sto zagadek” (*Sto zagadek*). Nie miejcie złudzeń, wybrane wiersze Maliny nie są słodkie. Wbijają nas w fotel, uświadomią ulotność naszego tu i teraz, jak w wierszu *Idę*, otwierającym tom i nadającym nostalgiczny ton książce.

Przecież każdy z nas może słowami poetki powiedzieć: „Idę. / Ciebie mijam. / Dom mijam. / (...) / Idę. / We własne umieranie”. Czas zarazy, kryzysu jest ze wszech miar właściwy na czytanie poezji Jadwigi Maliny. Jasność i wyrazistość przekazu jej wierszy pozwoli nam przetrwać ten trudny okres – jak pisze we wstępie do książki Joanna Zach – „jakby w rozbłysku, gdy świat jawi się w swojej pierwotnej jedności, zupełnie niepojęty i porwijający”.

Jadwiga Malina, *Światło i szelest*, seria wydawnicza *Poeci Krakowa*, t. XXII, Biblioteka Kraków, Kraków 2020.

Maj 1920

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **2 maja.** Dzienniki relacjonowały obchody święta robotniczego. Zamknięte były sklepy, nie kursowały tramwaje. Tłum zgromadzony na Rynku Kleparskim wysłuchał przemówienia Ignacego Daszyńskiego, po czym ruszył na Rynek Główny, gdzie – pod pomnikiem Mickiewicza – wygłaszane były kolejne przemówienia. Niesiono transparenty z hasłami: „Żądamy reform społecznych”, „Niech żyje międzynarodowe braterstwo ludów”, „Żądamy pracy i chleba”. U zbiegu ulic Grodzkiej i Poselskiej grupa młodych Żydów rozrzuciła odezwy bolszewickie i rozwinęła czerwony sztandar z napisem „Niech żyje Rosja sowiecka”. Policja nie interweniowała.

✂ **4 maja.** Centralnym punktem obchodów święta 3 Maja była msza polowa na Rynku Głównym. Tuż po niej odbyła się deflada wojskowa. Jak podkreślała prasa, nastrój był podniosły, nie odnotowano żadnych incydentów.

✂ **6 maja.** Jak odnotował „IKC”: „Dyrekcja kolei państwowych w Krakowie zawiadoma, że z dn. 1 maja 1920 roku wprowadzono bieg wagonu restauracyjnego przy pociągach osobowych na linii Kraków-Warszawa i z powrotem”.

✂ **8 maja.** Komunikat z „Czasu”: „Wskutek zawiadomienia mieszkańców dzielnicy Zwierzyniec, z powodu niszczeniu pastwiska na Błoniach przez bawiącą się młodzież, magistrat zabronił gry w piłkę nożną na nieuprawnionej części Błoni wielkich, przeznaczonej na pastwisko bydła, będącego własnością mieszkańców dzielnicy Zwierzyniec”.

✂ **9 maja.** Jak rozpisowały się dzienniki, 8 maja po południu przechodnie w Rynku Głównym byli świadkami niecodziennego zdarzenia. Oto z okna czwartego piętra domu Pod Jagnięciem w Rynku Głównym 28 spadła na bruk młoda kobieta. Jak się okazało zrzucił ją z okna – wzięwszy wcześniej na ręce – kamerdyner u hrabiostwa Potockich, 40-letni Józef Mazur, żonaty, ojciec sześciorga dzieci. Pracująca tam jako kawiarka 28-letnia Rozalia Pałka poniosła śmierć na miejscu. Mazur, który oddał się w ręce policji, oświadczył, że powodem była zawiedziona miłość. Miał zamiar i sobie odebrać życie, ale brakło mu odwagi.

✂ **14 maja.** Z działu ogłoszeń „IKC”: „Aparciki formujące nos poleca Drobner Kraków (wysyłka dyskretna)”.

✂ **16 maja.** „Naczelnik Państwa zamianował profesora zwyczajnego filologii słowiańskiej w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, dra Kazimierza Nitscha, profesorem zwyczajnym językoznawstwa słowiańskiego Uniwer-

sytetu Jagiellońskiego” – odnotował „Głos Narodu”.

✂ **17 maja.** Komunikat Dyrekcji Poczty zamieścił „Głos Narodu”: „Włączenie nowych abonentów do sieci telefonicznej w Krakowie jest ze względów technicznych, aż do rozszerzenia centrali automatycznej, niemożli-

„Słuchaczka ostatniego roku medycyny Maria Landesdorfer, która pielęgnowała chorych na tyfus plamisty w wojskowym szpitalu epidemicznym, zmarła, zaraziwszy się. Wczoraj odbył się pogrzeb z honorami wojskowymi”.

Z kroniki „Głosu Narodu”, 19 maja

we. Wszelkie zgłoszenia zatem i osobiste interwencje są w tej chwili bezprzedmiotowe. O wznowieniu przyłączenia nowych abonentów nastąpi osobne ogłoszenie”.

Do modernizacji sieci przystąpiono dopiero w 1926 roku. Przeszły elektryczny system Dietla zastąpiono maszynowym, elektromagnetycznym systemem Salme szwedzkiej firmy Ericsson (przełączenie nastąpiło 23 III 1928). Pracę telefonistek zastąpiły tak zwane rejestry, urządzenia odbierające i rozdzielające zamówienia abonentów.

✂ **19 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Słuchaczka ostatniego roku medycyny Maria Landesdorfer, która pielęgnowała chorych na tyfus plamisty w wojskowym szpitalu epidemicznym, zmarła, zaraziwszy się. Wczoraj odbył się pogrzeb z honorami wojskowymi”.

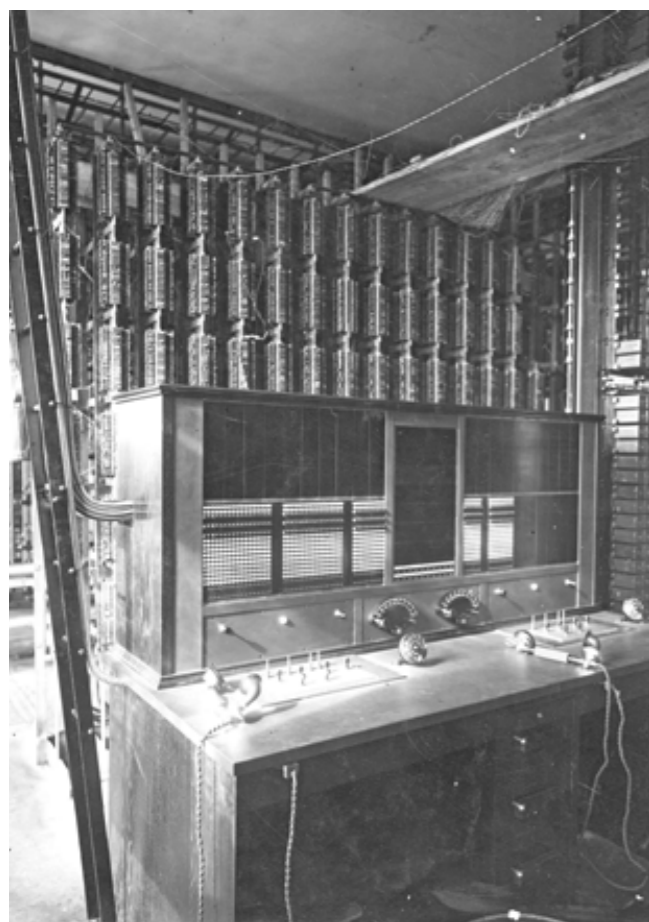
✂ **20 maja.** Z powyższą informacją koresponduje komunikat z „Czasu”: „W bieżącym roku zabawy na wzgórzu bielańskim z powodu chorób zakaźnych nie odbędą się. Odpust ograniczny się tylko do nabożeństwa w kościele”.

✂ **20 maja.** Dzienniki zamieściły komunikat Ministerstwa Apropowizacji, o zakazie wyrobu i sprzedaży lodów wszelkiego rodzaju i we wszelkiej formie, w nadchodzącym sezonie. Zakaz dotyczył kawiarni, sklepów i handlu obnośnego. Przyczyną była utrzymywana nadal reglamentacja cukru. Za złamanie zakazu groził areszt bądź grzywna.

✂ **22 maja.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Otwarcie 51-ej wystawy ze zbiorów Feliksa Jasieńskiego nastąpi w niedzielę przed południem w Sukiennicach, w sali raclawickiej.



Wypas na Błoniach był szanowanym, odwiecznym przywilejem mieszkańców Półwsia i Zwierzyńca, widokówka, 1915, archiwum K. Jakubowskiego



Stół kontrolny nowej automatycznej centrali telefonicznej szwedzkiej firmy Salme, fot., 1928, NAC



Jeden z antybolszewickich plakatów z 1920 roku, archiwum K. Jakubowskiego

Wystawione będą częściowo po raz pierwszy dzieła najśłynniejszych artystów polskich, między innymi *Szał Podkowińskiego*”.

✂ **22 maja.** W „Nowościach Ilustrowanych” ukazał się fotoreportaż z uroczystości, jakie odbyły się w obozie internowanych na Dąbiu. Na początku maja odsłonięto tam skromny obelisk poświęcony Józefowi Piłsudskiemu. Kilka dni później, przy okazji świętowania zdobycia Kijowa, otwarto także plac sportowy i zabawowy.

W trwającej wojnie polsko-bolszewickiej, w wyniku ofensywy podjętej z końcem kwietnia wojska polskie na około jeden miesiąc zajęły Kijów.

✂ **23 maja.** „Gospodyni z kieleckiego, Katarzyna Baran, przemyciała na wozie, którym jechała, baraninę. Strażnik przeprowadzający rewizję na rogatce Łobzowskiej, tak energicznie kłutł bagnetem, że przebił babie nogę na wylot” – relacjonował reporter „Głosu Narodu”.

Nieistniejąca rogatka Łobzowska stała przy tej właśnie ulic, w sąsiedztwie kościoła św. Szczepana.

✂ **23 maja.** Ten sam numer „Głosu Narodu” zawiadomił: „Walne zebranie Arcybractwa Matek Chrześcijańskich odbędzie się 25 bm., o godz. 4 po południu, w lokalu sodalicyjnym, Rynek Gł. 44 II p.”.

✂ **23 maja.** Dzienniki relacjonowały wiec, jaki odbył się pod pomnikiem Mickiewicza w proteście przeciw władzom czeskim gwałcącym prawa Polaków na terenach plebiscytowych.

✂ **25 maja.** „W niedzielę wieczorem wezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Kupa 5, gdzie 28-letnia N. Freiselówna w zamiarze samobójczym napiła się lizolu i połknęła kawałek niegaszonego wapna. Po przepłukaniu żołądka pogotowie przewiozło ją do Szpitala św. Łazarza”.

✂ **28 maja.** Oryginalną relację z odczytu dra Leona Chwistka zamieścił „IKC”: „Odczyt p. Chwistka o formizmie dał dość licznie zgromadzonej publiczności próbkę tego, jak można mówić o jakiejś rzeczy, nie mając nic do powiedzenia. Przedstawiciel krakowskiego formizmu zrobił sobie jakiś formistyczny czy futurystyczny kawał: prelekcję wyznaczoną na godz. 7, zaczął o wpół do 8, skończył zaś w chwili, gdy publiczność oczekiwała, kiedy wreszcie zacznie mówić... na temat. Clou tego wesołego kawału (bawilibyśmy się lepiej, gdyby było mniej duszno) to zaproszenie prelegenta do dyskusji! Mógł on to z równym powodzeniem uczynić i przed odczytem”.

✂ **28 maja.** „Wczoraj do siedzącego w ul. Ariańskiej żebraka przystąpił 17-letni Stanisław Sułkowski i wyrwał mu torbę, w której znajdowało się 360 koron i 76 marek. Był to prawdopodobnie dzienny zarobek żebraka. Aresztowany Sułkowski oświadczył na policji, że najlepiej kraść dziadom, bo to interes pewny i zawsze się opłaca” – relacjonował „IKC”.

✂ **28 maja.** Z kroniki „Czasu”: „Wczoraj rano na rozkaz telegraficzny MSW postanowiono przenieść inwalidów ze Szkoły Przemysłowej

przy al. Mickiewicza do baraków w Bronowicach. Inwalidzi stawili opór, oświadczając, że nie pojadą do Bronowic. Wobec ich groźnej postawy sprowadzono wojsko i żandarmerię, które otoczyły gmach kordonem. Doszło do starcia i 3 inwalidów zostało lekko rannych. Z delegatami inwalidów rozpoczął pertraktacje kierownik szkoły i ostatecznie zgodzili

„W bieżącym roku zabawy na wzgórzu bielańskim z powodu chorób zakaźnych nie odbędą się. Odpust ograniczy się tylko do nabożeństwa w kościele”.

„Czas”, 20 maja

się na wyjazd. Baraki w Bronowicach zostały adaptowane na letni pobyt, zaś na zimę będą przygotowane baraki w Oświęcimiu kosztem 11 mln koron”.

✂ **29 maja.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Do Urzędu Walki z Lichwą doniesiono, że w hotelu Royal podają zakazane lody w postaci kawy mrożonej. Do kawiarni wysłano urzędnika, który stwierdził, że doniesienie jest prawdziwe. Wówczas właściciel kawiarni chciał 1000 marek przekupić funkcjonariusza. Ten złożył pieniądze naczelnikowi Urzędu, który pociągnie właściciela kawiarni do odpowiedzialności”.

✂ **30 maja.** Z kroniki „IKC”: „Jakiś niewyśledzony sprawca podpalił wczoraj jadący przez plac Słowiański wóz z sianem, który w kilka chwil spłonął doszczętnie. Zawieszana straż pożarna zastała tylko popioły i zgliszcza, zdołano jedynie odczepić konie. Szkoła wynosi 6 tys. marek”.

✂ **31 maja.** Ministerstwo Kultury i Sztuki w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wojskowych ogłasza konkurs „na plakat agitacyjny o treści antybolszewickiej” na następujących warunkach: „Na konkurs nadsyłać mogą wszyscy artyści narodowości polskiej. Treść plakatu jasna, zrozumiała, o charakterze propagandowym. Wielkość plakatu 85 x 75, ilość kolorów dowolna, technika litograficzna. Termin nadsyłania prac 5 czerwca. Nagrody dwie: 7 tys. marek i 5 tys. marek”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Balneolog. O Antonim Matecznym

Tekst: Ewa Danowska Zdjęcie: © Wikimedia Commons

Jego nazwisko kojarzy się dziś z ruchliwym krakowskim rondem, skąd rozchodzą się drogi do Zakopanego oraz Przemyśla. Mało kto pamięta, że pochodzący z austriackiej Styrii Antoni Mateczny związał swe życie z Podgórzem jako założyciel popularnego zakładu kąpiei leczniczych.



Antoni Mateczny (1858–1934), właściciel zakładu kąpielowego, radny miasta Podgórze 1909–1915

Według tradycji rodzina Matecznego wywodziła się ze Styrii, a jego rodzice zamieszkali na Śląsku Cieszyńskim. Tam, 21 kwietnia 1858 roku urodził się Anton Mateczny, który jednak szybko opuścił rodzinne strony. Na akcie ślubu, zawartego w 1885 roku w kościele w Matzdorf w diecezji wrocławskiej z osiemnastoletnią Marią Zarubą, z pochodzenia Czeszką, Anton figuruje już jako mieszkaniec Krakowa. Gdzie studiował i uzyskał zawodowe uprawnienia inżyniera lub budowniczego, nie wiadomo.

Tak czy inaczej Antoni Mateczny pojawił się w Krakowie jeszcze jako kawaler, by pracować przy powstającej wówczas linii kolejowej Kraków–Żywiec. W tym okresie miasto przeżywało boom budowlany – powstawało wiele nowych kamienic i domów, wytyczano nowe ulice, a na obrzeżach trwały prace przy wznoszeniu fortyfikacji, finansowane przez armię austro-węgierską. Mateczny zatrudniony był przy umacnianiu fortu na Krzemionkach.

Podgórze, gdzie osiedlili się młodzi małżonkowie, cieszyło się statusem wolnego miasta – nie obowiązywało tu między innymi prawo cechowe, które w Krakowie utrudniało start życiowy młodym ludziom. Przyciągało to osadników z różnych stron Galicji. Podgórze stało się ważnym ośrodkiem przemysłu i handlu materiałami budowlanymi, których dostarczały miejscowe kamieniołomy.

Antoni Mateczny założył w Podgórzu firmę budowlaną. Ponieważ był zdolny, pracowity i energiczny, wygrywał kolejne przetargi na tanią i solidną budowę wojskowych obiektów. Z jego usług korzystali też urzędnicy czy rzemieślnicy zlecający postawienie domu lub kamieniczki.

Sam zakupił trzymorgową parcelę, na której w 1887 roku postanowił wybudować dom – „Modrzewiówkę”. Według rodzinnych przekazów, wezwany na parcelę różdżkarz wskazał, gdzie należy kopać studnię. Otwór w ziemi drażono długo, a gdy głębokość wykopu przekroczyła 30 metrów, zniechęceni robotnicy chcieli przerwać pracę. Mateczny zachęcił ich dodatkową zapłatą i obiecał, że jeżeli do zachodu słońca nie pojawi się woda, prace zostaną przerwane. Po paru godzinach, z głębokości 36 metrów woda trysnęła – miała żółtawą barwę i charakterystyczny gorzkawy smak. Wydobywała się samoistnie, w obfitości około 6 tys. litrów na godzinę. Mateczny ocenił, że jest to woda lecznicza, co potwierdziły badania przeprowadzone niebawem w Instytucie Balneologicznym w Wiedniu oraz w Instytucie prof. Odonu Bujwida. Jako stały bywalec kurortu w Karlsbadzie Mateczny zdawał sobie

sprawę, jaką wartość może mieć dla niego podobne źródło. Według specjalistów, zawierająca solankę i związki siarki woda miała skutecznie leczyć między innymi ischias, artretyzm, reumatyzm, choroby skórne, skrofuły, anemię, pobudzenie nerwowe, przeziębienia i niemoc męską.

Aby zapewnić sobie prawo do eksploatacji odkrytych złóż, w kwietniu 1898 roku złożył w c.k. Urzędzie Górniczym Okręgowym w Krakowie stosowne podanie i otrzymał wyłączność na ich wykorzystywanie. To cenne odkrycie zmieniło życie Matecznego i jego rodziny.

Postanowił, że dom wzniesie w tak zwanym stylu karlsbadzkim, by przypominał wille w jego ulubionym uzdrowisku. Na piętrze zamieszkał wraz z rodziną, a na parterze postanowił urządzić zakład kąpielowy. Sam zaprojektował łazienki, tak zwane salonki – baseny wyłożone marmurem ozdobionym mozaiką, do których schodziło się po stopniach, a po zażyciu kąpiei odpoczywało się w osobnych pokojkach. Klasa pierwsza łazienek miała sprowadzone z Finlandii porcelanowe wanny i lśniąca miedziana natryski, klasa druga zaś – wanny żeliwne, a krany mosiężne. Wodę podgrzewaną w hermetycznym zbiorniku doprowadzono do kabin kąpielowych zaopatrzonych w centralne ogrzewanie i elektryczne oświetlenie. Od chwili powstania Zakład Kąpielowy zaliczano do najnowocześniejszych obiektów tego typu.

Według cennika „Kąpiel salonowa z dwiema wannami” kosztowała 3,20 kor., z jedną wanną – 2,20 kor., w I klasie – 1,70 kor., a w II – 1,30 kor. Kilka miejsc w łazienkach właściciel udostępniał bezpłatnie ubogim. Za wypożyczenie prześcieradła płacono 16 halerczy, ręcznika – 8, a wełnianego koca – 20.

Wszyscy kuracjusze mogli korzystać z parku. Zakład miał dyżurnego lekarza i wykwalifikowane kąpielowe.

Oficjalnie otwarty 25 września 1905 roku Zakład Kąpielowy Wody Siarczano-Solankowej szybko zyskiwał renomę i rozgłos. Początkowo sezon trwał od 15 maja do 1 października. Po kuracjuszy co rano wyjeżdżał na Rynek Podgórski konny omnibus, a po latach, gdy otwarto linię tramwajową, aż do bramy Zakładu jeździły pomalowane na niebiesko wagoniki „szóstki”.

Antoni Mateczny był wymagający wobec pracowników, ale hojnie ich wynagradzał. Zjednywał sobie ludzi poczuciem humoru, życzliwością i energią. Podobno przed podjęciem ważniejszej decyzji siadał na ławeczce w zakładowym parku i palił ulubioną

fajkę, oddając się rozmyśleniom. Wstawał o 6 rano, a mając do załatwienia wiele spraw, często do domu wracał wieczorem, gdzie czekała na niego suta kolacja z piwem okocimskim lub winem. Szczególnie okazałe były biesiady po organizowanych przez niego polowaniach w Puszczy Niepołomickiej koło Szarowa, podczas „martwego sezonu” w Zakładzie Kąpielowym.

Obowiązki nie przeszkadzały mu w uczestniczeniu w życiu społecznym i kulturalnym. Od 1909 roku był członkiem Polskiego Towarzystwa Balneologicznego w Krakowie, a w latach (może nawet wcześniej) 1911–1913 radnym Podgórze. Należał do Rady zdobywającej środki finansowe na budowę kościoła św. Józefa na Rynku Podgórskim. Firma budowlana Matecznego zaangażowana była w budowę

„Wiedzmy i wiermy, że nasze uzdrowiska dać nam mogą niemal zawsze tę samą miarę sił i zdrowia, co dają zagraniczne”.

Prof. Ludomił Korczyński,
prezes Polskiego Towarzystwa
Balneologicznego, 1931 r.

zespołu klasztornej oo. Redemptorystów w Podgórzu, co wymagało trudu i umiejętności ze względu na skaliste podłoże gruntu na Krzemionkach. Później zarówno on, jak i jego żona Maria byli darczyńcami na rzecz obu świątyń.

Począwszy od czerwca 1905 roku każdego lata w zakładzie Matecznego zażywało leczniczych kąpień około 400 kuracjuszy. Podobno w 1907 roku odwiedził to miejsce baron Jan Götz-Okocimski, który załatwiając interesy w Krakowie, odbył kurację wodolecniczą u Matecznego. Rok później księżę Habsburg z Żywca leczył tu zreumatyzowane kolano.

Natomiast sam Antoni Mateczny pozostał wierny kurortowi w Karlsbadzie, gdzie spędził około 30 sezonów, kolekcjonując ozdobne dyplomy wręczone przez zarząd uzdrowiska najwierniejszym kuracjom.

Mateczny i jego żona nie doczekali się upragnionego syna, ale dwóch pięknych i uzdolnionych córek – Marii i Heleny, nazywanych żartobliwie „podgóorskimi herytierami”. Panny były posażne – mówiono o stu tysiącach reńskich w złocie, jakie w wiedeńskim banku ojciec złożył dla każdej z nich.

Dziewiętnastoletnia Maria w karnawale 1910 roku poślubiła doktora filozofii Stanisława Broszkiewicza, zatrudnionego w Krakowskiej Kasie Oszczędności. Zamieszkali przy ul. Dębnickiej na Podgórzu, wspierani finansowo przez Matecznego. Broszkiewicz, zmobilizowany podczas I wojny światowej, poległ pod Kraśnikiem, a młoda wdowa wraz z córeczką Lidią zamieszkała w domu rodziców. Później w jej życiu pojawił się Alfred Przerowa-Uleniecki, który w zamian za stałą gościnę pomagał przy prowadzeniu Zakładu. Związek z Marią Broszkiewiczową był nieformalny, ponieważ ślub pozbawiłby ją wdowiej renty, jako że Alfred nie był stanu wolnego.

Młodsza z córek, Helena ukończyła z pierwszą lokatą studia administracyjno-ekonomiczne w Wiedniu, a ojciec żywił nadzieję, że będzie go wspierać w prowadzeniu interesów. Ona jednak, chociaż początkowo pomagała ojcu, nie kwapiła się, by spożytkować w praktyce zdobytą wiedzę – podczas wojny wyszła za mąż za znanego w Krakowie lekarza, doktora Jana Ludwika Stopczańskiego. Razem z nim przeżyła szlak bojowy Legionów Józefa Piłsudskiego, a potem zamieszkała przy ul. Szewskiej.

Uzdrowisko Matecznego cieszyło się powodzeniem, ale jego właścicielowi zaczęło ubywać sił do zarządzania łazienkami, firmą budowlaną oraz licznymi nieruchomościami i gruntami. Córki nie odziedziczyły po nim niezbędnej energii do prowadzenia interesów, więc żałował, że odrzucił propozycję krakowskiego magistratu, który chciał nabyć zakład wodolecniczy i prowadzić go jako spółkę.

Stan zdrowia Matecznego pogarszał się – niedomagał na serce i nerki. Zmarł 3 października 1934 roku. Został pochowany w okazałym rodzinnym grobowcu, który sam zaprojektował w stylu neogotyckim, na nowym cmentarzu Podgórskim.

Po śmierci ojca Zakład Kąpielowy prowadziła Maria Broszkiewiczowa. Zapisła się we wspomnieniach jako kobieta „interesowna”, która utrzymywała, że jeżeli dziennie nie zarobi 100 zł, to w ogóle nie opłaca się jej otwierać kasy.

W czasie II wojny światowej Niemcy zlikwidowali Zakład. Zniszczyli wieloletnią pracę Matecznego, dewastując pomieszczenia oraz park i wywożąc urządzenia. W pomieszczeniach zorganizowali filię zakładu trykotarskiego, produkując swetry, szaliki, rękawiczki i skarpety dla żołnierzy Wehrmachtu.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej, jej żołnierze skuli marmurowe posadzki, robiąc klepisko dla koni. „Gościli” tam prawie rok, pogłębiając dewastację budynku i parku.

Po wycofaniu się Rosjan Zakład w latach 1947–1951 znów był w rękach Matecznych, zarządzała nim ponownie Maria Broszkiewiczowa. Następnie zajęła go Spółdzielnia Guma, która produkowała między innymi balony meteorologiczne i rękawiczki chirurgiczne, potem Dyrekcja Państwowego Uzdrowiska w Swoszowicach. Na terenie parku w 1970 roku uruchomiono rozlewnię wody mineralnej „Krakowianka”.

Obecnie w budynkach wzniesionych przez Antoniego Matecznego oferowane są przez przedsiębiorstwo Relax Care zabiegi odnowy biologicznej i balneologii, a także krioterapii i relaksacji. Nadal leczy się tu schorzenia reumatyczne i choroby porażające narządy ruchu.

Imię Antoniego Matecznego, z urodzenia Czecha, z wyboru podgórzezanina, przetrwało do dziś jako twórcy leczenia uzdrowiskowego w Krakowie. Dzięki uchwale Rady Miasta z 1992 roku został patronem ronda.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!



Magdalena Natęcz, *Ogrody rozkoszy VII*, olej, płótno, 160 x 240 cm, 2017

Łódka na brzegu

Tekst: Paweł Głowacki

Środa

Nic wielkiego, ot, sucha informacja z wahaniem na końcu. Nie sędzę, aby tamtej mroźnej nocy – w ostatnie już jego Święta Bożego Narodzenia, w jego pożegnalną Wigilię roku 1989 – Tadeusz Kantor zanotował coś więcej. Na kartce słowa kreślone czarnym flamastrem, w klasycznej dla pism Kantora kolumnie. Biały wierszyk, otwarty małą literą: „we wigilię/umarł Becket/miał 80 lat/żył ostatnio/i umarł/w domu starców/nie miał rodziny?”. Nic więcej. To i bardzo stary widok z okna. Taki finał dnia Wielkiego Początku.

Sobota

Za szybami pracowni na strychu kamienicy przy ul. Siennej 7, gdzie Kantor mieszkał od dwóch lat, krajobraz bardzo stary, ten sam co zawsze o tej godzinie w grudniu. Dachy i kominy, malejące, gdy je pozwoli rachować, sunąc wzrokiem w głąb widoku, majaczące w trupim świetle śniegu. Najdalej, odmalowany na pionowej czerni – szary, wielki niby stroma góra dach kościoła Dominikanów. Poniżej góry, z boku, w jednym z okien eremu – postać ludzka z kapturem na głowie, nieruchoma w nikłej żółci żarów-

tor i bez związku z przypomnieniem zobaczył, że zapomniał o drugim „t” w nazwisku twórcy *Końcówki*. Jakim cudem? Mało ważne. Rzeczywiście ciekawy jest za to znak zapytania w finale wigilijnej notki.

Piątek

Rodzina. Nie miał jej Beckett? Nie było bliższych? Ani jednego? Choćby najdalszego? Aż taka jego samotność na końcu? Rzeczywiście? A wspomniany Murphy, bohater *Murphy’ego*? Choćby on. Albo Belacqua, opieszala i apatyczny lutnik florencki, którego Beckett wyjął z przedsiönka Czyśca Dantego i uczynił bohaterem dziesięciu młodzieńczych opowiadań tomu *More Pricks than Kicks*. A co z resztą widm czule zmyślonych przez Becketta? Watt w powieści *Watt*, Molloy w *Molloyu i Malone*, co sobie jedynie, bo wokół nie było już nikogo innego, snuł bajki, póki jego oddech nie zamarł na kartkach *Malone umiera*. I liczne figury z teatru, Estragon i Vladimir, Lucky i Pozzo, albo Hamm oraz Clov, jeszcze bez ustanku gadająca Winnie i jej ukochany Willie, cichy jak pustka. Te postacie z *Czekając na Godota*, *Końcówki* i *Szczęśliwych dni*, a obok – inne widma, imienne i bezimienne, z innych opowieści scenicznych lub radiowych, także z filmu *Film*. Wszyscy, co z Becketta snów na jawie zeszli na kartki, więc i pamiętny Krapp. Tamtej zimowej nocy Kantor myśli o nim ciepło, patrząc na swój znak zapytania.

Sobota

Krapp z *Ostatniej taśmy*. Zostały mu już tylko słowa. Samotny znużony starzec, wśród kawałków swego dawnego głosu czekający na koniec, zawsze w wiernych białych trzewikach na śmiertelnie zmęczonych nogach, trzewikach numer co najmniej dziesiąty, bardzo wąskich i spiczastych. Ten siwy człowiek, skulony w norze gdzieś z boku świata – dzień w dzień funduje sobie seans powtórek, odprawia msze pamięci. Przez godzinę – wraca. Na szpulowym magnetofonie odsłuchuje ślady, dźwiękowe strzępy niegdysiejszego siebie, nagrane w przeszłości na taśmach swe mówione portrety samego siebie i ówczesnej rzeczywistości za oknem. W czas przeszły-dokonany wraca tak, próbuje wracać dzień w dzień. A raczej odwrotnie – dzień w dzień jakby zaprasza do siebie w gości bardzo bliskie sobie figury, kawałki siebie. I one

Którejś nocy łódka została na brzegu. To wszystko, co się stało. Był Charon zmęczony? Pierwszy raz w wieczności poczuł zwykły ludzki strach i zamarł? Znudziło go wiosłowania? Nieistotne.

ki. Nic nowego. Znów to, co zawsze o tej porze roku. Powtórzenie. Nic nowego za oknami, nic nowego w czasie. Ci sami wykwintni goście – K, M i B – znów z daleka przyjdą z wizytą do tego samego punktu, w tej samej odświętnej sprawie, aby znów pokłonić się i złożyć dary te same, co je składają od wieków, rok w rok, pod wciąż tą samą gwiazdą. Znów noc powrotów, powtórzona nie ostatni raz. Jak to tam w prologu wczesnej powieści *Murphy* rzekł Samuel Beckett, zmieniając stareńkie motto każdego rozczarowania? „Słońce, nie mając wyboru, świeciło na nic nowego”. Może przypomniał to sobie Kan-



Tadeusz Kantor (1915–1990) – reżyser, malarz, scenograf, grafik, autor manifestów artystycznych, animator życia kulturalnego, założyciel teatru Cricot 2 w Krakowie. Portret autorstwa Zbigniewa Kresowatego © Wikimedia Commons

przychodzą. Wracają z bardzo daleka. Wystarczy, że Krapp uruchomi szpule i przytuli ucho do głośnika. Owszem, mógłby Kantor zmazać w swojej wigilijnej notce znak zapytania, ale nie chce. Nie warto. Niech zostanie niepewność. Za oknem, przy stole pod oknem, w korytarzu, na stromych schodach jest jak w słowach epilogu *Ostatniej taśmy*, które naraz brzęczą na strychu kamienicy przy ul. Siennej 7. „Minęła północ. Nigdy nie słyszałem podobnej ciszy. Jakby ziemia była nie zamieszкана”.

Poniedziałek

Dla Kantora ziemia pustoszeje od lat, cisza na strychu zajmuje się coraz pewniej, szansa, że do drzwi zapuka ktoś realny – marnieje. Zostały tylko słowa. Słowa i farby. „Moja samotność – gdy tak/siedzę przy stole i patrzę przez okno/na ciemną ścianę Dominikanów/popycha mnie/automatycznie do pisania”. Notuje więc sobie białe wierszyki. Notuje siebie, by niczym Krapp, w przyszłości jakiejś, wcale nie dalekiej, przeczytać sobie kawałek siebie dawnego, sprzed tygodnia, miesiąca, może, Boże dobry, aż sprzed roku. „Słucham muzyki/nieustannie tej samej,/papierosy, kawa/i myślenie...”. „Powoli opuszczają mnie/Ci, z którymi odbywałem/Długie wędrówki,/Których prowadziłem poprzez cały świat”. „16 lipca/telefonował/Tchórzewski/jest sam/szuka ludzi/do rozmowy/Sandauer nie żyje”. „A komin sterczy./Jak trup domu!”. I znów małą literą: „fotografia/to straszne/ten człowiek, który/umarł 40 lat temu/zachowany jego wizerunek/jego –/dokładny, przed 70 laty./On już nie istnieje/proch –/a ten wizerunek ciągle”. Na strychu zaprojektuje nowy grób swojej matki, zapragnie zmienić go tak, by móc spocząć obok niej. Dało się zrobić, bez problemu, lecz trzeba było przekopać starą ziemną mogiłę. Był przy tym. Widział. Zobaczył ślady wyłuskane z dna. A wieczorem, niby Hamlet z czaszką błazna w garści, zapisał, by nie zapomnieć, by kiedyś, za tydzień, miesiąc, może, Boże dobry, aż za rok – wrócić po śladach. „Z nylonowego worka/wyciągnął coś ciemnego,/ziemistoczarniawego./Ziemia wbiła się w kości/czaszki,/i jeszcze jakiś zetlały łach/sukni./To była moja Matka./Głowa. Ten wspaniały/wytwór natury/i humanizmu –/zardzewiały,/obłocna bryła”. I być może tej samej nocy: „Trzeba się jed-

nak/w tym infernum/godzić/na/najgorsze.../Trzeba się godzić”. Co jeszcze? „Rano słońce/gdzieś od Kopernika/(ulicy) świeci/i łagodnie oświetla/kominy, które/na mnie czekają... będę je/malował”. Więc należy się godzić, ale też trzeba malować, rysować. I nie tylko kominy za oknem. Nade wszystko trzeba rysować, malować gości, którzy w snach na jawie pukają w drzwi. „i to do mnie/przychodzą z wizytą”. To jest chyba wierszyk radosny. Tak, radosny.

Wtorek

Przychodzili. Nierealni, a raczej realnie inaczej niż prawdziwi goście. Przychodzili i rozsiadali się powoli, kreska za kreską, kolor za kolorem, kształt po kształcie. Rozsiadali się, rozkładali się wygodnie – na kartkach, płótnach. Bo Kantor rysował, malował gości. To była forma pamięci, jak wierszyków pisanie na zaś, jak nagrywanie swego głosu, który może przyda się kiedyś, pomoże przetrwać. Na przykład – wraca dworska panienska, dawno temu namalowana przez Velázquez. Przychodziła już kiedyś, trzydzieści lat temu, rysował wtedy Kantor jej twarz. Teraz, w roku 1988, maluje na strychu wielki jej portret pod oczywistym tytułem: „Pewnej nocy weszła do mego pokoju Infantka Velázquez”. I pod identycznie oczywistym tytułem uwieczni inną wizytę: „Pewnego dnia żołdak napoleoński z obrazu Goi wtargnął do mego pokoju”. Portretuje powroty widm cudzych, które spotkał dawno temu, ale portretuje też wizyty widm z własnych niegdyśszych fikcji teatralnych. Rysuje postacie ze starych spektakli – od okupacyjnego *Powrotu Odysa* z roku 1944, przez *Kurkę wodną*, *Nadobnisie i koczodany*, *Umarłą klasę*, aż po *Niech szczerzą artyści*, a lista ta zapewne nie jest pełna. Tak wraca do siebie dawnego, siebie w wielu czasach. A obok malunków notuje kolejne białe wierszyki. „Otoczony jestem/wspomnieniami/»kliszami«/akcją »umarłą«/i »umarłych«. /W praktyce:/objawia się to i wyraża/przez malowanie obrazów/a na scenie?/Jak?”. I jeszcze: „Spektakl musi być/samą rozpaczą/i szaleństwem pamięci –/pamięć jest szaleństwem/jesli dotyczy/utraconego czasu/i w tym czasie,/który już nigdy nie/wróci, utraconego/szczęścia”. Bo też portrety wizyt jego widm teatralnych miały skończyć się kolejnym spekta-

klem. I skończyły tak. Seansem *Nigdy tu już nie powrócę*, ostatnim w pełni jego seansem, pożegnalnym, gdyż kolejnego, *Dziś są moje urodziny*, nie zdoła już domknąć, być na scenie. W *Nigdy tu już nie powrócę* – był do końca. Do końca słuchał strzępów wyznań widm ze swych starych fikcji, widm, które zaprosił na scenę. I przyszły. Tak jak kiedy indziej nie przyszły widma inne. Delikatniej mówiąc – przybyły, lecz nie na scenę. Po latach bez mała 50 nie zdołał Kantor powtórzyć swojej *Balladyny* wystawionej w roku 1943.

Środa

Chciał powrotu starej swej opowieści. Tak. Chciał niemożliwego – ścisnąć zegarek, nadać mu niewyobrażalnie małą grubość, zabić czas. Chciał wrócić realnie. Nocami uwieczniał więc nocne wizyty figur z pierwszej *Balladyny*. Rysował Goplanę, ten wielki profil z metalu, przypominający trochę ludzką twarz – gdyż tym właśnie, niby rzeźbą chłodną, twardą, była w roku 1943 ta przez Juliusza Słowackiego napisana zjawa z mgły i galarety. Rysował, to znaczy – powtarzał, kształty i barwy tamtej *Balladyny* i tamtych Elfów – Skierki oraz Chochlika – tamtego Grabca, tamtego Pustelnika, w końcu i tamtego Korkora. Powtarzał przeszłość i antydatował powtórzenia, wpisując w rogu rysunków rok wojennej premiery. W długim białym wierszu, zapisanym w *Notatniku nocnym*, portretował sceniczne sedno powrotu starej *Balladyny*. Chciał, by w powtórzonym seansie ci sami ludzie grali role te same, co wtedy. Oczywiście wiedział o pustych krzesłach, pisał bez złudzeń: „Już w czasie »trwania«/tego wspaniałego projektu/dwu odeszło na zawsze”. Dlatego chciał, by inni aktorzy zagraли umarłych, by umarli w ten sposób wrócili na chwilę na naszą stronę, podobnie jak wracali w *Umarłej klasie*. I wszyscy oni mieli się zejść tutaj, w pokoju na strychu kamienicy przy ul. Siennej 7, tak jak w roku 1943 inni, choć w tyciej części ci sami, cztery razy – 22, 23, 24 i 24 maja roku 1943 – zeszli się na drugim piętrze kamienicy przy ul. Szewskiej 21, w największym pokoju mieszkania państwa Siedleckich, aby dla około stu widzów grać *Balladynę*. Prawie 50 lat później na strychu przy ul. Siennej 7, w ostatnim mieszkaniu Kantora, zmieściłoby się widzów pewnie tyle samo. Ale nie musieli przychodzić. W *Notat-*

niku nocnym wyznał Kantor sobie, bo komu innemu: „Imiona tych, którzy/zmarli, jak klepsydry./Jakbym stał nad ich/grobami./Byłem z nimi związany:/Marcin, Ali, Ewa, Andrzej, Franek./Widzę ich dokładnie.../Musimy grać, niech wstaną/ze swoich mogił,/przecież ta rola teatru/jest dominująca w moim teatrze”. Lecz jednak nie przekonał siebie samego. Nie wstali, których nie było. I nie zagraли, którzy jeszcze żyli. Wycofał się teatr. Właściwie – dlaczego?

Piątek

W *Kadyszcu*. *Stronach o Tadeuszu Kantorze* Jan Kott kilka razy portretuje Kantora tak, jak by słowami przeistaczał aktora na scenie w postać Wielkiego Przewoźnika. Ostatni z tych portretów jest najdotkliwszy. „Jeszcze tak niedawno pisałem o nim, że w swoim czarnym ubraniu, spodniach na szelkach i w miękkim filcowym kapeluszu obecny zawsze na scenie, lekkim ruchem dłoni, jak strzępienie palców, przeprowaiał swoich aktorów jak Charon przez Styks do krainy zapomnienia, aby wrócili pamięcią. Żywych przemieniał w umarłe i umarłe zamieniał z powrotem w żywe. Teraz odszedł i sam już został tylko pamięcią”.

Sobota

Tak, wycofał się Kantor z powtórzenia *Balladyny*, ale czy na wszystko trzeba mieć odpowiedź? Nie każda kropka nad i jest dobra. Po prostu – któreś nocy łódka została na brzegu. To wszystko, co się stało. Był Charon zmęczony? Pierwszy raz w wieczności poczuł zwykły ludzki strach i zamarł? Znudziło go wiosłowanie? Nieistotne. Istotne, że istnieje widmo nienarodzonej drugiej *Balladyny* Kantora. Fantastyczne niczym widmo *Hamleta*, którego Konrad Swinarski nie dookończył. I jak widmo *Króla Leara*, z którego Tadeusz Łomnicki odszedł nagle, stając się pamięcią.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Pępkocentryzm tylko nudzi

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Wojciech Ligęza: Nie przepadam za estetyką prowokacji oraz męczących dekonstrukcji. Drażni mnie nonszalancja. Znalazłem w jednym z tomików zdanie brzmiące tak mniej więcej: „Przeczytałem Biblię, bez większego zainteresowania”. Zastanawiam się, co mogłoby tego młodego pana ewentualnie zaciekawić?

Elżbieta Wojnarowska: Dorastałeś w Nowym Sączu. Co utkwiło Ci w pamięci z tamtych czasów?

Wojciech Ligęza: Nie ma tu miejsca na długą narrację, zatem ograniczę się do kilku haśleń wywoławczych, które przede wszystkim przypominają o nieosiągalnym później poczuciu wolności. Oto one: kraina wód czystych,

Słowotoki bez dyscypliny formalnej, artystowskie teatralne gesty, kopiowanie jako inwencja. Samozadowolenie, czyli zbyt nikła metarefleksja. To tylko kilka pozycji z katalogu poetyckich wykroczeń.

w których się można było pławic do woli, jazda na rowerze po wertepach, odwiedzanie pięknych manowców, włóczęgi po Beskidach – często w nocy, śladem wilkołaków. Co więcej? Pierwsze, jakże nieśmiałe randki, relacje przyjacielskie, wtajemniczenia filmowe, zachwycające lektury. Urok oczekiwania na życie, smak nic-nie-robienia. Z domu rodzinnego wyniosłem potrzebę zakorzenienia w jakimś miejscu na Ziemi. Pytanie „skąd jestem” nie należy do błahych, a punkt startu łączy się z nieukształtowaniem, niepewnością, kompleksami. Na własną tożsamość wpływa historia rodzinna niezależnie od tego, jakie pozy przyjmujemy. Z Nowego Sącza i z domu rodzinnego chciałem uciekać, gdyż młodość żyjąca chimerami nie pragnie zakorzenienia. Teraz, kiedy rozwiało się to, co istniało, ważniejsze są powroty.

Jak dorasta się do bycia krytykiem? Są jakieś etapy wtajemniczenia?

To raczej indywidualne. Długo się nie wie o swojej przyszłości, a rozstrzygnięcia się odwleka. Wybór zatrudnień życiowych to jednocześnie ograniczenie pola możliwości. Kiedyś wydawało się, że mogą być, kim tylko zechcę, bo tak podpowiada próżność, teraz borykam się z własnym w miarę określonym żywotem. Krytyka? Zapytałaś o receptę: trzeba czytać dobre eseje, dobre książki i szkice. Miałem to szczęście, że prawie pół wieku temu polska krytyka literacka była w rozkwicie.

Czy bycie krytykiem literackim to łatwa czy raczej niewdzięczna sztuka?

Wdzięczno-niewdzięczna. Odczuwam satysfakcję, kiedy myśli, które chciałem wyrazić i nie potrafiłem, wracają do mnie w celnym kształcie słownym. Raduję się, że rezonując z utworami literackimi, przebywam w szlachetniejszym świecie niż ten, z którym obcujemy na co dzień. Z drugiej strony, niewdzięcznej, zawsze istnieje obawa pomyłki, nietrafnego odczytania, przeoczenia, rozminięcia się z wrażliwością twórcy.

Jesteś postrzegany jako osoba empatyczna. Tymczasem krytyk kojarzy się powszechnie jako ktoś, kto budzi obawy, lęk, frustrację. Takie podejście do Twojego zawodu Cię nie dołuje?

Nie. Nie muszę być krytykiem-wampirem z obnażonymi kłami. Zresztą pochłonięty innymi obowiązkami krytykiem bywam od święta. Witold Gombrowicz napisał kiedyś, że krytyk znajduje się zwykle poniżej spraw, które przyszło mu referować. Przewaga krytyka nad pisarzem to czysta uzurpacja. Do swoich prób podchodzę z pokorą.

Jesteś jurorem w wielu konkursach. Co sprawia Ci największą trudność w selekcji wierszy i przyznaniu nagrody?

To co zwykle: różnorodność propozycji, nieprzystrojona dobrze oryginalność dykcji. Dalej – ograniczenia własnego gustu, wrażliwości, wyobraźni. Ponadto nieunikniony w tym przypadku przesyt i zwykłe zmęczenie. Na szczęście nagrody przyznaje kapituła, ergo pojawia się możliwość korekty własnych sądów.

Jakie widzisz trendy we współczesnej polskiej poezji, które Ci się podobają, a które budzą Twój opór?

Nie podobają mi się wiersze ze sztancy, gdyż wówczas mam wrażenie, że autorem jest Lemoway Elektrybałt. Nie przepadam za estetyką prowokacji oraz męczących dekonstrukcji. Drażni mnie nonszalancja. Znalazłem w jednym z tomików zdanie brzmiące tak mniej więcej: „Przeczytałem Biblię, bez większego zainteresowania”. Zastanawiam się, co mogłoby tego młodego pana ewentualnie zaciekawić? Cenię odrębne światy poetyckie i dykcję samoswoją, uważam z uporem, że językiem porozumienia z odbiorcą powinien być język kultury. Zapewne gusta mam zachowawcze,



Wojciech Ligęza (rocznik 1951) – historyk literatury, eseista, krytyk literacki. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie uzyskał magisterium pod kierunkiem prof. Kazimierza Wyki. W 1974 roku podjął pracę w Instytucie Literatury i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, skąd został zwolniony w 1982 roku po wprowadzeniu stanu wojennego. W 1984 roku zo-

stał zatrudniony w Instytucie Polonijnym Uniwersytetu Jagiellońskiego i na tej uczelni uzyskał habilitację w 1998 roku. W 2003 roku otrzymał tytuł profesora. Zajmował się głównie krajową i emigracyjną literaturą polską XX wieku, publikował m.in. w „Życiu Literackim”, „Odrze”, „Twórczości”, „Dekadzie Literackiej”, „Tygłku Kultury”, „Nowych Książkach”, „Akcencie”, „Pamiętniku Literackim”.

dopóki to i owo można uratować z potopu bylejakości.

Czasem w wierszach dominuje czysta abstrakcja, powstają lingwistyczne rebusy, często dla czytelnika niezrozumiałe. Różnorodność w poetykach pewnie jest ciekawsza, ale czy jesteś za eksperymentowaniem w poezji czy raczej wolisz metody klasyczne z wyraźnym metaforycznym obrazem i puentą?

Nowoczesność ze wszelkimi odgałęzieniami awangardowymi ma 100 lat, a zatem to, co należało do dziedziny eksperymentu, staje się tradycją. Wybieram poszukiwanie przez poetów wyrazu własnego, zgodnego z prawdą wewnętrzną, co eliminuje puste igraszki słowem, wyklucza infantylną zabawę, sprzeciwia się dowolnemu tasowaniu wzorów artystycznych. Z sekwencjami zdań powinna się łączyć myśl.

Poszukiwanie różnych form wypowiedzi może poszerzać percepcję wiersza, odbiór innych jeszcze znaczeń, jego ukrytych aspek-

Dobrze, jeśli amok poety zostaje okiełznany przez krytyczną świadomość, a wylewy emocjonalności – otamowane, przepuszczone przez sito dyscypliny formalnej.

tów. Jakie są najczęstsze błędy popełniane przez początkujących poetów?

Błędy: słowotoki bez dyscypliny formalnej, artystowskie teatralne gesty, kopiowanie jako inwencja. Samozadowolenie, czyli zbyt nikła meta-refleksja. To tylko kilka pozycji z katalogu poetyckich wykroczeń.

Często u niektórych i to znakomitych poetów widać ewolucję ich twórczości zarówno pod względem formy, jak i treści. Mówi się, że taka ewolucja świadczy o rozwoju wewnętrznym autora. Z drugiej strony, znamy wielu poetów wiernych swojej wypracowanej poetyce i stylowi. Czy radzisz młodym poetom eksperymentowanie i szukanie wciąż innej własnej drogi, czy raczej pozostanie przy jednej sprawdzonej formie i stylistyce?

W momencie debiutu poeta poszukuje osobnej dykcji i – co niełatwe – odróżniania się od innych, lecz z drugiej strony kusi go oparcie w grupie i zbiorowy program. Są to, rzecz jasna, nastawienia sprzeczne. Krytycyzm wobec własnych prób okazuje się fortunny, gdyż oryginalność nie jest dana, lecz należy ją zdobywać, nawet popełniając błędy. Zdarzało się przecież, że znakomici poeci wyłączała ze swojego dorobku pierwsze zbiory wierszy. Natomiast twórczość senilna rządzi się innymi prawami. Dojrzały artysta słowa nie goni za literacką modą, sumuje doświadczenia, dzieli się mądrością.

Preferujesz w twórczości dystans autora do siebie, czy wolisz wiersze emocjonalne? Precyzyjnie dopracowane, kiedy autor długo pracuje nad frazą, cyzeluje ją, czy szorstkie, pisane jakby naprędce lub wręcz w amoku? Najlepiej, jeśli amok zostaje okiełznany przez krytyczną świadomość, a wylewy emocjonalności – otamowane, przepuszczone przez sito dyscypliny formalnej.

Ostatnio w Polsce pojawiło się dużo osób piszących, które debiutują w różny sposób: na konkursach poetyckich, w różnych piśmiech i almanachach, na portalach społecznościowych. Wydaje się coraz więcej tomików. Wydawałoby się więc, że jest dobrze, ale czy tak jest rzeczywiście? Czy ilość idzie w jakość?

Jest tak dobrze, że aż źle. Liczba piszących wzrasta, czytających – maleje. Zbyt często lokalność inicjatyw bierze górę nad powszechnością. Zacierają się hierarchie, rozwiewają kryteria, rozmywają – wartości. Nie sposób już rozproszenia złożyć w koherentną całość. **Opublikować tomik dziś może być łatwiej, choć często trzeba na to wydać własne pieniądze, ale co z dystrybucją? Poeci zostają ze stosem tomików, z którymi nie wiadomo co począć, na spotkania autorskie przychodzą przeważnie inni zaprzyjaźnieni poeci. Dlaczego tak się dzieje?**

Gust pospolity, powiedzmy: telewizyjny, wyklucza poezję (czy też w ogóle czytanie) z kręgu ludzkich istotnych potrzeb. Proces sterowanego zidiocenia żwawo się rozwija. Do narzekań dodajmy zasmucający fakt, że aspiracje i ambicje kulturalne inteligencji niemal uległy zanikowi. Nadprodukcja słów literackich sprawia, że księgarze nie troszczą się o pozycje już rozsprzedane, gdyż nurt nowości jest wartki i spiętrzony. Czy w internecie polowanie na tomiki poetyckie przewycięża zastój? Obawiam się, że nie. Liczyć można jedynie na garstkę czytelników. Według prywatnej statystyki Wisławy Szymborskiej, osób, które lubią poezję, będzie „chyba dwie na tysiąc”. No cóż, rozumienie rzeczy głębszych i niepraktycznych to zabawa piękna, lecz elitarna.

Pamiętamy nie tak dawne czasy i wręcz modę na poezję, na Stachurę, Wojaczka, Bursę, Grochowiaka, Różewicza. Poezję się czytało, na Świetlickiego przychodziły tłumy... Ale kiedyś wierszyki Tuwima czy Brzechwy znało każde dziecko. Teraz już nie. Czy to może być przyczyna odwrotu od czytelnictwa?

Raczej na odwrót. Nie tyle nieznajomość literatury wywołuje kryzys czytelnictwa, co zapaść kulturowa pogłębia stan nieczytania. Tamte czasy, o których wspominasz, zapewne nie wrócą, chociaż nie chciałbym prorokować. Kiedyś wszyscy czytali *Ulissesa* i fakt wydania dzieła Joyce’a był autentycznym wydarzeniem. Pożądanie odbiorców wzbudzały edycje Kafki, Faulknera, Cortazara czy Borge-sa. Snobizm intelektualny, jeśli weźmiemy pod uwagę taki fenomen, jest zdecydowanie lep-

szy niż akceptowana ignorancja. To szlachetniejsze, jeśli prestiż osoby buduje znajomość literatury, a nie – na przykład – marki ciuchów. Ale część pytania dotyczyła dzieci, biednych dzieci, które wybierają ruszające się na ekranie obrazki, wykazując przy tym wstręt do druku. Nie ma kto wskazać i objaśnić, na czym polega wartość *Spóźnionego słowika*, *Akademii Pana Kleksa*, *Słonia Trąbalskiego*, *Pchły Szachrajki*, *Ferdynanda Wspaniałego*. W nienażartym konsumowaniu, w licytacji przyjemności gubi się Bettelheima „cudowne i pożyteczne” pojmowane jako wtajemniczenie w wybory i dylematy życia. Obraz znacznie przyczerńłem, pomijając pozytywne fakty czytelnicze, takie jak popularność przygód Mikołajka oraz nowych inteligentnych książek dla dzieci.

Mówi się, że obecnie prawie nie istnieje szereka i rzetelna krytyka literacka. A wręcz to tylko co się komuś podoba lub nie, ale często co się jednym podoba, to innym nie i na odwrót. Zgadzasz się z taką opinią?

Tak się mówi, ale to niezupełnie prawda. Wymieniłbym nie tak znowu nikłe przykłady krytyków, którzy poważnie traktują swoje powinności. Rozbieżność ocen i różnice zdań tworzą dynamikę życia literackiego, a kontrowersje wydają się niezbędne. Rzecz jednak w tym, by w ocenie tekstów literackich mylić się rozumnie.

Kiedyś mówiło się o tak zwanym pokoleniu literackim czy poetyckim. Poeci łączyli się w grupy, pisali manifesty, zabierali głos w wielu sprawach, także politycznych, gdyż często mówili w wierszach głosem swoich rówieśników, wypowiadali się w ich imieniu wprost, a nawet jeśli nie wprost, to z czytelnym przesłaniem. Dziś poeci mówią tylko w swoim imieniu, często pomijają świat z jego problemami, nie utożsamiają się z rówieśnikami ani z nikim. Jest wręcz moda na hermetyczność, skrótowość, niejasność, wieloznaczność, ucieczkę od polityki, zamykanie się we własnych, odrębnych światach wewnętrznych, im bardziej indywidualnych i niepowtarzalnych, tym lepiej. Z wyjątkiem Marcina Świetlickiego, ale on jest właśnie z tamtego pokolenia. Czy jest to dobry kierunek w literaturze?

Désinterésment sprawami aktualnymi wiedzie często w stronę narcystycznego indywidualizmu lub literackiego parnasizmu (to drugie raczej poezji najnowszej nie grozi). Pępkocentryzm artystyczny nudzi i nuży. Wszelako przekroczenie zaklętego kręgu spotworniałego „ja” staje się już widoczne u poetów pierwszej i drugiej młodości, zatem ewoluująca poezja Świetlickiego nie jest przykładem jedynym.

A co z innymi muzami, muzyką, sztuką? Masz na nie czas?

Czas muszę znaleźć. Często znajduję. Muzyki słucham maniakalnie i nigdy nie mam dosyć. Teraz towarzyszą mi dzieła Bacha w wydaniu zbiorowym, 155 CD, a więc nie w kij dmuchał.

Wykraczam jednak poza barok – późnym odkryciem jest Brahms, podobnie Mahler. Czynniki ekskursy w stronę wieku XX. Stary jazz przyjmuję z rozkoszą i ukojeniem. Oczywiście słuchanie w czasie pracy, podczas pisania, nie jest pełnowartościowe, ale i takim sposobem obcowania nie gardzę. Muzyka zmniejsza samotność nad pustą kartką, a raczej ekranem, który nie chce się zapełnić sznurkami liter. Odwiedzam galerie i wystawy. Zawsze ciekawia mnie

Snobizm intelektualny, jeśli weźmiemy pod uwagę taki fenomen, jest zdecydowanie lepszy niż akceptowana ignorancja. To szlachetniejsze, jeśli prestiż osoby buduje znajomość literatury, a nie – na przykład – marki ciuchów.

ekspozycje w różnych miastach i cieszę się, że trafiłem na coś ciekawego. W Londynie obejrzałem jakiś czas temu ekscytującą wystawę *Pierre Bonnard i kolory pamięci*, niedawno nadrobiłem kilka zaległości w muzeach i galeriach warszawskich. Obecna estetyka teatru mniej mnie pociąga, przeszkadza mi schlebienie kulturze masowej. Trudno odróżnić, czy kicz jest zamierzonym elementem spektaklu, czy reżyser ma po prostu kiczowatą wyobraźnię. Zostałem uwiedziony przez teatr w młodości. Ta deprawacja, jeżeli powiemy o oczekiwaniach, trwa do dziś, bowiem wtedy, w najlepszych czasach Starego Teatru, w jednym sezonie w repertuarze pojawiały się obok siebie inscenizacje Swinarskiego, Jarockiego, Wajdy. **Poezja zawsze spełniała rolę misyjną. Ale czy poezja może cokolwiek zdziałać czy zmienić dzisiaj, w dobie upadku czytelnictwa, cyfryzacji, komputeryzacji i pauperyzacji, wypierana na margines znaczeniowy przez powszechny konsumpcjonizm?**

Szept w konfrontacji z wrzaskiem nie ma wielu szans, podobnie skupienie wewnętrzne przegrywa z wieloma rozproszonymi pokusami. Poezja nie zmieni świata od razu, może w ogóle nie zmieni, ale starać się trzeba. Iskierka nadziei może się wszak rozżarzyć. Dobre wiersze obliczone zostają na długie trwanie. Ich siła jest utajona. A zatem: któż wie, co będzie w przyszłości?



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Krótką historia strachu

Tekst: Maria Malatyńska Ilustracja: © Wikimedia Commons

Zaraza i epidemia były w naszych czasach tematami tylko dla kina. To prawda, że kiedyś istniały podobno w życiu, podobno kosiły całe społeczeństwa, a literatura, wszelkiego rodzaju annały wydarzeń, wielka historia wreszcie odnotowywały skrupulatnie pandemiczne fale nieszczęść zbiorowych. Ale to było dawno, a zakurzone, skryte w bibliotekach informacje może wydają się dziś mniej wiarygodne? Gdzieś pętają się po mózgu jeszcze fragmenty literackich cytatów: „Pocałowaniem wszczepiłem w dusze/Jad, co was będzie uwierać!/Chodźcie i patrzcie na me katusze/Wy tak będziecie umierać!”. Ale kto wierzy cytatom, które z natury promują fikcję?

A później? Czy było inaczej? Przecież nikt nie mógł sobie wyobrazić, że zarazy rozmaite zejda z ekranów i staną się ponownie nieszczęściem ludzi, gdy wierzyliśmy, że z zasady i charakteru istniały już tylko na pograniczu baśni i złego snu. Nie wiadomo, czy nie należały raczej do historycznego ostrzeżenia. Zresztą już nie żyje nikt, kto mógłby zaświadczyć, że nawet „hiszpanka” istniała rzeczywiście, choć tu wspomnienie może być żywsze, gdyż rzecz dotyczyła jednak XX wieku. I tylko kino potrafiło podjąć ten temat, stworzyć prawdziwą iluzję, potrafiło zaskoczyć i przerazić obrazem, a niemal cała historia tej sztuki, zaledwie 125-letnia,

dycynie stopniowo stawały się niegroźne, bo uświadomione i opanowane. Ale my jako ludzie nadeszliśmy „potem” i nie widzieliśmy ich, na szczęście, na własne oczy. Widzieliśmy tylko filmy.

Teraz „zaraza” i „epidemia” zeszyły z ekranów, stały się realnym zagrożeniem, z którym trudno dać sobie radę. Kino również nie potrafi pomóc. Chyba że zgodzilibyśmy się na symbol, na patos i na prawdziwie pokutne rekolekcje. Wtedy na wszystkie pytania odpowiedziałoby jedyne w swoim rodzaju arcydzieło wszechczasów, czyli *Siódma pieczęć* Ingmara Bergmana.

*

To stary film. Zrealizowany w 1957 roku nie mógł przewidzieć późniejszych doświadczeń ludzkości. Ale dzięki temu, że w kostiumie i w dekoracji wymyślił wielki dystans w stosunku do swojej współczesności, bo akcją tego moralitetu umieścił reżyser w średniowieczu, to zyskał myślówą i „graficzną” czystość symbolu. Przyjęte tu filmowe średniowiecze objawiło się w kostiumie, obyczajowości, w wydarzeniach i w odwadze stawiania zasadniczych pytań. Objawiło się też w stylizacji kadrów świadomie nawiązujących do średniowiecznego malarstwa. Ingmar Bergman, reżyser i scenarzysta, Szwed, protestancki intelektualista z północnej Europy, patrzył na tę odległą epokę współczesnymi oczami. Był człowiekiem XX wieku, synem pastora – co niosło określone konsekwencje wychowawcze, głęboką religijność i zakorzenienie poczucia grzechu – dla którego protestantyzm przefiltrowany jest przez określoną tradycję filozoficzną, w jaką wyposażył całą swoją sztukę, także późniejszą, czyli egzystencjalizm, ale i irracjonalizm Kierkegarda, jego poezję i jego naturalny romantyzm. To dlatego ten film stał się tak fascynującą mieszanką!

*

Do dziś wielki film Bergmana zachwyca dostojnością i pięknem inscenizacji. Jest wspaniale skonstruowany w bieli i czerni,

Bergmanowska *Siódma pieczęć* nie jest rejestracją konkretnej zarazy, epidemii odnotowanej w historii. Jest uniwersalnym obrazem świata postawionego naprzeciw sił, których do końca nie rozumie.

to sugestywne mocowanie się z ludzkimi emocjami. Zarówno pozytywnymi, jak i negatywnymi.

Od ekspresjonizmu niemieckiego i jednego z jego wielkich bohaterów, roznoszącego zarazę wampira Nosferatu, przez całkiem realną *Śmierć w Wenecji* Viscontiego aż do współczesnych strachów narkotycznych biegnie ta szczególna linia, w której nie ma żadnego optymizmu. Ale jest bezpieczeństwo strachu. Bo czegoż się bać, jeśli groza choroby istnieje tylko na płótnie ekranu?

Tymczasem ewentualny słownik terminów złowrogich, jeśliby istniał, miałyby w swoich zasobach słowa, które określać by miały nie tylko film, ale całkiem zwyczajną rzeczywistość: „dżuma”, „cholera”, „malária”, a w nowszych czasach właśnie „hiszpanka” i „czarna ospa”, a potem i przedtem różne inne zarazy, które dzięki postępowi w me-



Kościół w Täby, diecezja Sztokholm, Szwecja, mural *Śmierć grająca* w szachy pędzla Albertusa Pictora (1440–1507). Tym właśnie malowidłem inspirował się Ingmar Bergman, realizując *Siódma pieczęć*. © Wikimedia Commons

precyzyjny w każdym ujęciu i ma świetnie pomyślaną dramaturgię, bo zasadniczym motorem akcji jest gra w szachy między Rycerzem i Śmiercią. A jeśli tak, to już w założeniu pozostaje to, że pytania i wątpliwości będą zasadnicze, a stawka będzie najwyższa: życie, śmierć, istnienie Boga i możliwość zrobienia w życiu dobrego uczynku, który nada sens śmierci.

Doskonały minimalizm inscenizacji, powolność działania, ale równocześnie bogactwo i różnorodność ludzi – wszystko to tworzy barwny psychologicznie krajobraz miejsca, które cały czas czeka na cud. Chodzi o cud przetrwania wobec panującej zarazy. Bo jest to krajobraz po dżumie. Już w początkowym ujęciu, na kamienistej plaży, naprzeciw ponurego morza, zanim jeszcze Śmierć pojawi się, by zagrać z Rycerzem w szachy, zobaczymy pustą czaszkę z oczodołami niegdyś zmarłego i niepochowanego człowieka. Ludzie czekają więc na cud przetrwania. Bo chociaż każdy z nich jeszcze żyje, jeszcze trochę się bawi, spotyka się w knajpie, tworzy nawet sztukę, bo widzimy tu wędrowny teatr, jest w tych działaniach jakaś tymczasowość. Człowiek człowiekowi nie zawsze jest przychylny, każdy na własną rękę chce

Przetrwają niekoniecznie najmocniejsi, ale ci, którzy mają w sobie poczucie wspólnoty i miłość – radość życia. To nie jest naiwność. To jest siła natury.

uszczknąć coś z życia dla siebie, co przy zasadniczej bezradności jednostki i podskórnej świadomości, że nic nie zależy od człowieka, tworzy krajobraz nieszczęścia samej egzystencji. A obok tych, którzy się bawią, są inni, ci, którzy także czekają na cud: to biczownicy, w pokutnej procesji przemierzający drogi, błagający Stwórcę o możliwość przetrwania.

*

Ten doskonały dramat, patetyczny w formie, mnożący wątpliwości i pytania, ma pokutny charakter. Od pierwszego ujęcia, któremu towarzyszy cytata z Apokalipsy św. Jana o baranku, który łamie „siódmą pieczęć”, by zaplanować milczenie niebios, przez fragment pieśni *Dies irae* aż do ostatniego ujęcia, gdy bohaterowie w tanecznym korowodzie prowadzeni są przez Śmierć – cały czas trwa specyficzne zmaganie się z życiem człowiekowi nieprzychylnym. Ale choć inscenizacja i wielkie pytania są tutaj poważne i ponure, to cały film ma lekki wydźwięk optymistyczny: ocalają Boży prostaczkowie. Ci, którzy w natłoku zła i zbyt skomplikowanych pytań o sens życia i śmierci potrafią się po prostu cieszyć tym, co mają. Zwykłością życia i radością miłości. Może to jest jakaś droga do ocalenia?



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Siódma pieczęć nie jest rejestracją konkretnej zarazy, epidemii odnotowanej w historii. Jest uniwersalnym obrazem świata postawionego naprzeciw sił, których do końca nie rozumie. Świata także najmniejszego: jednostki, grupy społecznej. Pewnie dlatego obraz ten może być i jest wiecznym przykładem dla różnych społeczeństw i różnych czasów, tłumacząc także ich własne niepokoje, niewiedzę i bezradność. Może też stać się, niespodziewanie, lekarstwem na przetrwanie. Bo pokazuje, że przetrwają niekoniecznie najmocniejsi, ale ci, którzy mają w sobie poczucie wspólnoty i miłość – radość życia. To nie jest naiwność. To jest siła natury, która potrafi zachwycić wątpliwego, zbyt doświadczonego i zmęczonego człowieka na tyle mocno, że potrafi pomóc maluczkim i, na naszych oczach, oszukać Śmierć. Może to mało optymizmu, ale jednak...

Niezapomniany szwedzki aktor Max von Sydow, który wcielił się w postać Rycerza, od tego filmu rozpoczął wielką karierę. Bergmanowską przede wszystkim, ale i światową. Umarł kilka tygodni temu, grając do końca długiego życia w filmach różnych, ostatnio amerykańskich.

Pamiętam, jak przyjechał do Krakowa. Było to na początkach lat 90. ubiegłego wieku, zaproszony do głównej roli w filmie Krzysztofa Zanussiego *Dotknięcie ręki*. Grał tam światowej sławy kompozytora i dyrygenta duńskiego, „martwego” od 40 lat, bo od 40 lat niczego nie skomponował. Zamknął się w sobie, zgorzkniał i przykry dla otoczenia. I na naszych oczach ten stary człowiek został wskrzeszony do życia przez młodego absolwenta krakowskiej Akademii Muzycznej, człowieka, który wyśnił sobie piękną melodię i oddał ją wielkiemu artyście. Melodia rozkwitła pod jego palcami i dała mu życie. Ten faustowski dramat Zanussiego stał się pochwałą życia, które rodzi się ze sztuki. Zresztą sztuki nie byle jakiej, bo jak zwykle u Zanussiego podstawą wskrzeszenia była muzyka Wojciecha Kilara. Pamiętam, że salę koncertową, w której się to wskrzeszenie odbywa, zagrał nasz Teatr im. Juliusza Słowackiego. Pamiętam, że wspinały Max von Sydow wyrażał się wtedy i o naszym teatrze i o naszym mieście z zachwytem. I pamiętam, że to optymistyczne wskrzeszenie życia w naszych murach i tradycji było i pozostało wrazeniem budującym oraz optymistycznym. Może więc właśnie nasze miasto tak dobrze działa?

Kraków

TEATR **bagatela** 100 LAT

Spotkajmy się w Bagateli

www.bagatela.pl

TEATR „BAGATELA” IM. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Nic nie ginie, reż. Kalina Alabrudzińska

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia z filmu: za wiedzą i zgodą producenta

Nic nie ginie Kaliny Alabrudzińskiej to kolejny dyplom filmowy studentów wydziału aktorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Na tyle udany, że po wcześniejszym *tournée* festiwalowym (dwie nagrody na festiwalu w Koszalinie), trafia do regularnej dystrybucji. Formuła jest stała. W dyplomie główne role grają studenci, najlepiej, jeżeli uda się, żeby zagrał cały rocznik, scenariusz powstaje przy twórczej współpracy reżysera i zespołu, a trzon ekipy stanowią również studenci i absolwenci innych wydziałów filmówki: montażowego, operatorskiego czy produkcyjnego.

Kalina Alabrudzińska podkreśla w wywiadach, że nakręciła „smutną komedię”. Warto się nad tym określeniem zastanowić. Pozornie to oksymoron – komedia to przecież śmiech, nie smutek. Ale czy na pewno? Bo jak zatem potraktować twórczość Roya Anderssona, a z polskiego podwórka późne filmy Andrzeja Kondratiuka czy filmy Grzegorza Jaroszuka? To na pewno są komedie operujące często odrębnym, wymagającym poczuciem humoru, skłaniające jednak nie tyle do rehotu, ile do refleksji. I takim filmem jest właśnie *Nic nie ginie*. Cytując klasyka nad klasyków, *Wesele* Wyspiańskiego, film Alabrudzińskiej to „historia wesoła, a ogromnie przez to smutna”.

Tutaj nie tylko chodzi jednak o koncept, dostajemy lekcję stylu. Nie wiem, jakie będą kolejne poczynania Alabrudzińskiej, wierzę, że jak najszybciej rozpocznie zdjęcia do nowego filmu, etudy, dokumentu. Bardzo na to czekam. W *Nic nie ginie* udowodniła bowiem, że w rodzimym, dosyć, co tu kryć, topornym kinie gatunkowym, w którym nie ma podziału na gamę subtelności, tylko ewentualnie na gamę bezczelności, można powściągliwie tknąć strukturę swojej łże-komedii. Chwilami jest naprawdę śmiesznie, ale jest to śmiech, który w kinie cenię najwyżej: inteligentny, wymagający od widza trochę więcej, ale i więcej dający w zamian.

Reżyserka celnie diagnozuje poszukiwania i lęki młodych ludzi, rówieśników studentów grających główne role albo niewiele od nich starszych. Mamy bohaterkę zafascynowaną, aż do przesady, misją pomagania innym; młodego, lekko abominacyjnego patriotę; dziewczynę uzależnioną od oglądania seriali; miłośnika żółwi błotnych; młodego aktora-celebrytę i narcyza. Debiutujący aktorzy: Zuzanna Puławska, Jan Hrynkiewicz, Wiktoria Filus, Michał Surosz czy Grzegorz Pacek wywiązują się ze swoich zadań więcej niż dobrze. Klamrą opowieści jest swoisty turnus wypoczynkowy u terapeuty – gra go świetnie wciąż czekający na wielkie wejście do kina aktor TR Warszawa Dobromir Dymecki.

Nic nie ginie to zatem coś w rodzaju psychoterapii. Dla bohaterów, także dla widza.

Psychoterapia to jednak bardzo nietypowa. Metodologia jest wadliwa, a efekty iluzoryczne. Chodzi o potrzebę zrozumienia siebie, zrozumienia, że owo mityczne szczęście, za którym rzekomo wszy-

scy tęsknimy, jest w istocie czymś nieprawdziwym, niemożliwym do spełnienia. Szczęście nie istnieje i dlatego trzeba zaakceptować swój smutek, melancholię, rozżalenie. Są częścią osobowości. Lekcja u terapeutki Alabrudzińskiej i jej zespołu zasadza się również na tym, że nie ma sensu kategoryzowanie, kto jest lepszy – nowobogacki melancholik czy wielbiciel fauny i flory. Każdy żyje na tyle, na ile się da. Walczy, żeby nie zgnuśnieć, nie upaść, nie zginąć. Żeby nic nie ginęło. Nic nie zginęło.

Reżyseria i scenariusz: Kalina Alabrudzińska

Zdjęcia: Nils Crone

Scenografia i kostiumy: Maja Pawlikowska

Montaż: Piasek & Wójcik

Charakteryzacja: Joanna Siwy

Producent: Agata Golańska

Produkcja: Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa Telewizyjna i Teatralna (Łódź)

Obsada: Zuzanna Puławska (Klaudia), Michał Surosz (Donatello), Piotr Pacek (aktor), Wiktoria Filus (Maja), Jan Hrynkiewicz (Przemek), Karol Nowiński (aptekarz), Paweł Głowaty (mąż Renaty), Katarzyna Majda (Renata)

Nagrody: Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”, 2019 – Nagroda im. Stanisława Różewicza za reżyserię i Nagroda Jury Młodzieżowego.

Odkrycia Empiku 2020 – nominacja w kategorii: „Film”.



Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyźnie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego

Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.





Latawce, rys. Andrzej Zaręba

Bywało gorzej...

Tekst: Mieczysław Czuma

Odosobnienia, kwarantanny, przymusowe separacje od reszty świata. Śmiem twierdzić, że wszystkie takie sytuacje przynosić mogą bezcenne owoce.

Kiedyś grupka szlachetnie urodzonego towarzystwa (siedem dam i trzech młodzieńców) uciekła z ogarniętej zarazą Florencji i schroniła się w podmiejskiej willi. Przez dziesięć dni opowiadano tam sobie o ludzkich przywarach: głupocie, skąpstwie, obłudzie, rozpuszcieniu. Najwięcej uwagi poświęcano miłości: małżeńskiej i pozamałżeńskiej, platonicznej i zmysłowej, szczęśliwej i tragicznej. Tak powstał *Dekameron*, przez dziesiątki lat wpisane do indeksu ksiąg zakazanych renesansowe arcydzieło, które trafiło do ekstrakurii literatury światowej. Dziś kwarantanna ma charakter globalny, są więc szanse, że w swoich wyczynach przeskoczmy Giovanniego Boccaccia.

Ale do rzeczy. Bywało gorzej. Kiedyś wypasiona asteroida walnęła w Ziemię i wyprawiła w niebyt panoszące się na tej planecie niezliczone rzesze dinozaurów. A były to stwory o powłoce o wiele potężniejszej od ludzka. No więc i teraz mogło być gorzej. Bo gdyby zamiast narodzin chińskiego wirusa doszło do takiej wrzutki z kosmosu, to już nie dinozaury, ale cały nasz wyświęcony przez ewolucję gatunek zaliczyłby kres swojego bytowania.

Bywało gorzej. Pandemia dżumy nazywanej czarną śmiercią (wysoka gorączka, krwawe wymioty, ciemne plamy na skórze) przetoczyła się przez Azję i Europę w połowie XIV stulecia. Zaczęła się w Chinach, skąd Jedwabnym Szlakiem powędrowała na Zachód. Roznosicielami zarazy były pasożytujące na szczurach pchły. W Europie choroba najpierw pojawiła się na Krymie (rok 1347). Mongolskie armie oblegały wtedy zasiedloną przez genueńskich kupców Kaffę. Aby złamać opór obrońców, najeżdźcy za pomocą machin wrzucali do miasta zwłoki zarazy zmarłych. Wypłoszeni genueńczycy przynieśli plagę na całe wybrzeża Morza Śródziemnego. Pandemia zabiła połowę mieszkańców ówczesnej Europy. Na świecie zmarło wtedy przeszło sto milionów ludzi. Trzeba było 150 lat, aby przywrócić stan sprzed epidemii.

Dżuma w większym lub mniejszym stopniu nękała świat jeszcze wiele razy. Nie było respiratorów, kombinezonów ochronnych i całego tego ustrojstwa, o którym mówi teraz minister Łukasz Szumowski. Tym, który wskazywał, jakie są źródła nieszczęścia i jak należy zapobiegać chorobie, był nasz człowiek Maciej Miechowita (Maciej Karpiga). To pisarz, historyk, profesor i ośmiokrotny rektor Akademii Krakowskiej, rajca miejski, lekarz nadworny króla Zygmunta I Starego.

Twierdził, że zarazę wywołują czynniki, które zapamiętać należy jako „5f”. Są to: *fatiga* (zmęczenie), *fames* (głód), *fructus* (owoc), *femina* (kobieta), *flatus* (wiatry). Przemęczenie zwiększa podatność na zachorowanie, wskazana jest umiarkowana praca i picie czystej, przegotowanej wody. Nie należy

spożywać surowizny oraz łatwo psującego się mięsa, co bywa przyczyną zatrucia organizmu. Wstrzeźliwość płciowa nie jest pożądana, gdyż prowadzi do gnicia nasienia, ale unikać należy wszetecznych kobiet, które rozsiewają chorobę francuską. Strzec się trzeba złych wiatrów wiejących od strony zarazy, od bagien, od wód stojących, od kloak.

Zarazę wywołują czynniki, które zapamiętać należy jako „5f”. Są to: *fatiga* (zmęczenie), *fames* (głód), *fructus* (owoc), *femina* (kobieta), *flatus* (wiatry). Od zarazy chroni także pięć środków, których nazwy także otwiera „f”. Są to: *phlebotomia* (upust krwi), *fuga* (ucieczka), *focus* (ogień), *fricatio* (przechadzka), *fluxus* (przezcyszczenie).

Miechowita wymienia także pięć środków chroniących od zarazy, których nazwy także otwiera „f”. Są to: *phlebotomia* (upust krwi), *fuga* (ucieczka), *focus* (ogień), *fricatio* (przechadzka), *fluxus* (przezcyszczenie). Upust krwi znacznie pomaga, ale tylko u osób otyłych. Ucieczka jest najpewniejszym środkiem zapobiegawczym, należy szybko i jak najdalej ewakuować się od miejsc zadżumionych. Ogień z żywicznego drzewa oczyszcza powietrze i niszczy zarazę. Przechadzki i ruch na świeżym powietrzu dający lekkie pocenie ciała to dobry sposób na uodpornienie organizmu. Środki przezcyszczające wydalają z ustroju zepsute ciecze.

Wydane po łacinie dzieło rektora Akademii Krakowskiej wznawiane będzie wielokrotnie i zyska ogromną popularność. Mnemotechniczna forma przekazu („5f”) okaże się oryginalna i odkrywczą. Nasz człowiek cytowany będzie w całej Europie.

Odosobnienia, kwarantanny, przymusowe separacje od reszty świata przynosić mogą bezcenne owoce. W ciszy i skupieniu powstają choćby pewnie arcydzieła, które niebawem zadziwią świat. Mnie, jak na razie, udało się tylko dotrzeć do porad Macieja Miechowity. A także – u progu nowych czasów zainfekowanych przez koronawirusa – utwierdzić się w przekonaniu, że bywało gorzej.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Stąd wszystko

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Zapiski z kwarantanny nie są wyważone. Pełno w nich pretensji do świata, żalu i niewiadomych. Spokój widać tylko w jednym – w pomysłach na to, co robić zaraz po wyjściu z domu. Nigdy nie miałam wątpliwości, co muszę zrobić najpierw.

Dużo czasu nam dano, aby to gruntownie przemyśleć. Nikt z żyjących nie doświadczył epidemii na taką skalę wcześniej, nie mieliśmy więc żadnych wzorców. Pytanie, gdzie pójść, kiedy świat się znów otworzy, pojawia się dość szybko, ale pierwsze pomysły są chaotyczne i szalone. Po kilku tygodniach zostają jednak tylko te najważniejsze, z głębi. I jest tu dużo spokoju. Większość mojej kwarantanny wypadła w Warszawie, zatem adres, o którym pomyślałam jako o adresie wielkiego wyjścia, też był warszawski. A może i tak by warszawski był?

Krzysztof Penderecki zajmował się muzyką i roślinami, a w obu tych dziedzinach uwielbiał labirynty, które w teorii oznaczają zagubienie, ale jemu podpowiadały właściwą drogę. Pełna drzew i roślinności posiadłość w zakliczyńskich Lusławicach pozostanie dziełem jego życia, na pewno jednym z najważniejszych.

Budynek, a właściwie kompleks budynków stoi przy Wiśle. Stąd można pieszo pójść w górę prosto na Trakt Królewski. Architektura tego miejsca zwraca od razu uwagę kolumnami, kolorem i zielenią wybuchającą z dachu na wszystkie strony. Nad głównymi drzewami łaćński napis „*Hinc omnia*”. Stąd wszystko. W środku mostek łączący przestrzenie, alejki i czterej uśmiechnięci, warszawsko-lwowski filozofowie na potężnych filarach. Względna cisza, bo było to chyba pierwsze miejsce, które dało czytelnikom wolny dostęp do swoich zasobów, a wolny dostęp zawsze prowokuje jakiś szum. Książki. Pisma. Miliony zadrukowanych stron, które starannie podzielono na działy, autorów, gatunki. W niektórych książkach są nawet liściki, co zawsze pracowników wprawia w osłupienie, gdy taki liścik znajdzie. Chyba tylko totalna ekstrawagancja pcha ludzi do porozumiewania się w ten sposób w czasach powszechnej komunikacji online. A jednak.

Najwspanialsze jest jednak to, że literaturę przykrywa tu... natura. Na budynku stworzono największy w Polsce i jeden z największych w Europie ogrodów dachowych. W sumie hektar, z czego pół hektara zajmuje roślinność wniesiona tu rękami człowieka i górująca nad Warszawą. Ogród podzielony jest na kolory, z czego najbardziej wiosenna wydaje się część żółta, a najwięcej motyli wabi część niebieska. Nie ma takiej drugiej biblioteki. Może od-

wiedziłeś słynny BUW, czytelniku, jako student? Albo szukający skupienia podróżnik? Lub świeżo poślubiony małżonek, bo to miejsce w równym stopniu ściąga zakochanych, co samotników.

Biblioteka przy ulicy Dobrej została moim oknem na świat w czasach kwarantanny na długo, zanim realnie pomyślałam, że kwarantanna może się kiedyś skończyć. Widziałam się tam, na dachu, bo można w ten sposób nie tylko wznieść się nad miasto, ale też nad opisane w książkach pod tobą dzieje świata, historię sztuki, systemy matematyczne, mapy, rysunki anatomii ludzkiego ciała, biografie i pewnie opisy zarazy również. Jakby przyroda i tak miała nad nami w ten sposób górować. Ujęcie świata w jakieś logiczne ramy wydało mi się w tym zupełnie nielogicznym czasie ważne.

Chińskie przysłowie mówi, że jeśli chcesz być szczęśliwy jeden dzień – upij się. Jeśli chcesz być szczęśliwy rok – ożeń się. A jeśli chcesz być szczęśliwy przez całe życie – zostań ogrodnikiem. Najbardziej nietuzinkowi ludzie, jakich znam, uprawiają ogrody. Mówią do roślin, wiedzą, czego im potrzeba, a czego nie znoszą. Bez tej rozmowy nie ma powodzenia.

Profesor Krzysztof Penderecki doskonale wiedział, że właśnie „stąd wszystko”. Zajmował się muzyką i roślinami, a w obu tych dziedzinach uwielbiał labirynty, które w teorii oznaczają zagubienie, ale jemu podpowiadały właściwą drogę. Pełna drzew i roślinności posiadłość w zakliczyńskich Lusławicach pozostanie dziełem jego życia, na pewno jednym z najważniejszych. Sadził tam nie tylko zieleń. Piękną metaforą jest założone tam i funkcjonujące prężnie Europejskie Centrum Muzyki, w którym doskonalić swoje umiejętności mogą młodzi artyści. Czy nie jest fascynujące to, że instytucja z Europą w nazwie mieści się w maleńkiej wiosce, w której przyroda jest na pierwszym miejscu?

Odszedł 29 marca. W chwili, w której – czego nikt na świecie by nie przewidział – wszystkie sale koncertowe świata zamilkły. Daliśmy przyrodzie na chwilę znów grać pierwsze skrzypce.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Pamiętnik pandemiczny

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

10 kwietnia 2020

Nina stała w kolejce do Lidla już półtorej godziny. Maseczka zsuwała jej się raz po raz z ucha – gumki były za luźne. Rękawiczki ochronne szybko zrobiły się wilgotne w środku, na zewnątrz było jednak 20 stopni na plusie. Przed Niną stał facet, na oko koło pięćdziesiątki. Typ cwaniaczka w ortalionowym dresie i butach Nike, z pewnością w latach 90. ubiegłego stulecia jeździł na jume, być może nawet wynosił po kilka dywanów naraz z niemieckich marketów. Nina zauważyła, że cała jego górna szczeka jest już dość mocno zażółconą protezą. Na palcu miał złoty sygnet, spod dresu na lewą dłoń wypęzła czarna zawijasa – miał pewnie wytatuowany cały „rękaw”. Dzwonił po kolei do każdego, pomiędzy jedną rozmową, a następną strzykał śliną na beton i niecierpliwiał się, gdy rozmówca po drugiej stronie zwlekał zbyt długo z odebraniem telefonu. „No, odbieraj, Rysiek, odbieraj, wiem, że jesteś w domu, he, he!”, „Dawaj, Helka, co tak długo”. Rozmowy brzmiały raczej sympatycznie. Jakie piwko kupić? Harnaś, tego sikacza będziesz w święta pił? Ile białej kiełby? Co? Nie je mięsa? W dupach się poprzewracało! Nagle twarz mu poczerwieniała.

– Co? Świętują rocznicę? To ja tu w domu siedzę czwarty tydzień, stara mnie opierdala, że wnuka mam nie dotykać, a oni sobie spacerują? Rozkraczyli się, bo nie przestrzegali procedur, a teraz świętują, nie przestrzegając procedur! Gdzie ja żyję, Rysiek? No dobra, to cześć, teraz to mi podniosłeś ciśnienie.

Facet rozejrzał się po zgromadzonych w kolejce i szukał wzrokiem aprobaty. Wystarczyło kilka sekund, by ją znalazł.

– No wie pan co, ja to pochwalam ten rząd za te radykalne środki ostrożności, ale te obchody to jest kpnie, proszę pana, z narodu!

– Idę dziś z wnukiem na spacer i niech tylko mnie psiarnia zatrzyma, to im wsadzę w gardło to wideo z obchodów. Zaraz tu sobie posłuchamy. O proszę. W trzeciej minucie słyhać kaszel!

Nina zaczęła się tak głośno śmiać, że maseczka zupełnie zsunęła się jej z twarzy. Śmiała się i śmiała, trwało to z pewnością jakieś dziesięć minut. W końcu śmiech przerodził się w płacz i w ten oto sposób zaliczyła pierwszy pandemiczny kryzys psychiczny. Usiadła po turecku na betonie i wyglądała, jak osoba, która ma COVID-19, dżumę i świńską grypę w jednym.

Facet w ortalionie poczuł się winny.

– No nie, niech się pani nie załamuje. To się wreszcie skończy, damy radę. Ma pani auto? To niech sobie pani w nim posiedzi, ja tu przypilnuję kolejki. Dobrze się pani czuje?

– Nawet nieźle – odpowiedziała Nina, choć czuła się, jakby przez jej oczy ktoś właśnie przekłuł balon z wodą.

– No i elegancko. Mam tu termometr. Niech sobie pani zmierzy temperaturę.

Nina zaczęła się tak głośno śmiać, że maseczka zupełnie zsunęła się jej z twarzy. Śmiała się i śmiała, trwało to z pewnością jakieś dziesięć minut. W końcu śmiech przerodził się w płacz i w ten oto sposób zaliczyła pierwszy pandemiczny kryzys psychiczny.

Nina wzięła termometr i przyłożyła go sobie pięć centymetrów od skroni. Pik!

– 33 i 9 – zarechotała.

– No to chyba już pani nie żyje, więc nie ma co się martwić. Cholera, baterie muszą kupić. Mierzę wszystkim temperaturę sto razy na godzinę i zjechałem to ustrojstwo.

Zadzwoił telefon.

– No, co Rysiu? A nic, pani się tu nam w kolejce załamała nerwowo. Najpierw się śmiała, potem płakała. Wiesz, wszyscy niedługo wylądujemy u zubków. Co jej puścić? Ano patrz, nawet o tym nie pomyślałem!

Ortalion wystukał coś w telefonie, potem położył go na koszyku.

Na parkingu rozległy się pierwsze takty piosenki zespołu Akcent:

„Odkąd zobaczyłem ciebie,
Nie mogę jeść, nie mogę spać,
Jak do tego doszło? Nie wiem!
Miłość o sobie dała znać”.

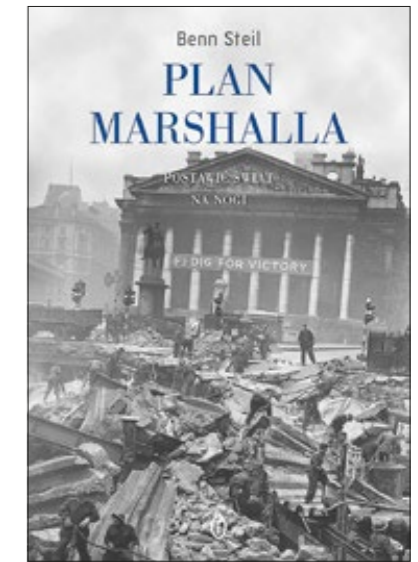
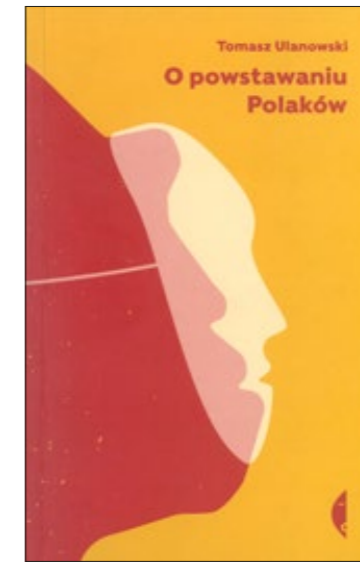
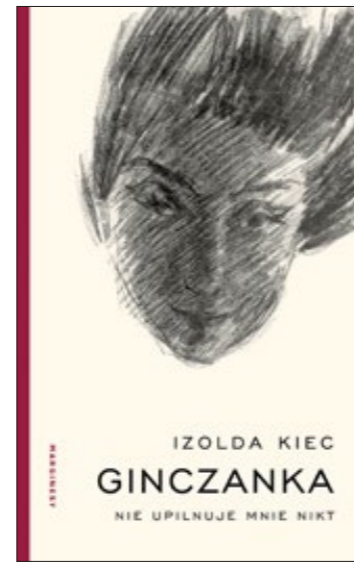
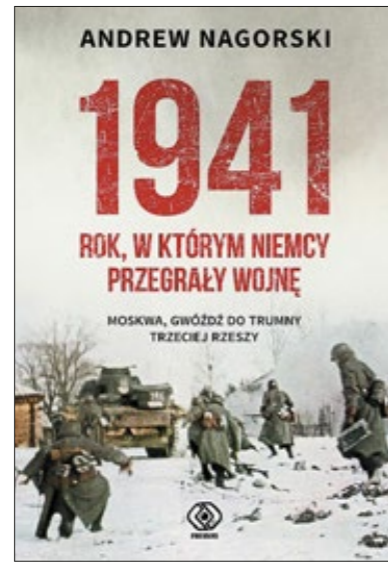
Ortalion podrygiwał przy koszyku.

– Gdyby nie ten koronawirus, tobym porwał panią do tańca!

Nina dostała kolejnego ataku śmiechu, który położył ją na betonie.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Czy można zrozumieć inne kultury? To pytanie okazuje się dziś z różnych względów zasadnicze. Beata Szymańska podjęła próbę odpowiedzi, skupiając się na filozofii i kulturze Wschodu. Z punktu widzenia buddyzmu i filozofii zen porusza takie tematy jak natura, piękno i pustka, melancholia, sens i bezsens cierpienia, a nawet sztuka budowania ogrodów. Ukazuje specyfikę podejścia kultury i sztuki japońskiej do wielu aspektów rzeczywistości, a także ich poetykę i metafizykę, zawartą m.in. w poezji haiku czy malarstwie (uzupełnianie się jin i jang, czyli pełni i pustki). Buddyzm, jako przede wszystkim przesłanie moralne, jest tu podkreślony w sposób szczególny (na przykład cierpienie jako element ascezy i samodoskonalenia się). Autorka nie ucieka od pochylecia się nad problemem zła, ale i harmonii w świecie. A także nad palącą obecnie kwestią „obcych”, ich odmiennością budującą często niepokój, nad rolą empatii i emocji, medytacji czy kontemplacji oraz samotności i przemijania. Czy można więc zrozumieć inne kultury? Szymańska przekonuje nas, że warto próbować i dociekanie takie może być ważnym doświadczeniem.

Elżbieta Wojnarowska

Beata Szymańska, *Między Zachodem a Wschodem. To samo i inne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019.

„Pod koniec rodzinnej kolacji Clementine ostrzegła męża, by ograniczył spożycie alkoholu. »Ależ Clemmie, nie zapominaj, że alkohol dał mi więcej niż ja alkoholowi”, odparł Churchill z pełnym uczucia tonem«. Żywa narracja, dokumentacja, anegdota... Ach, ci Anglosasi – jak oni piszą! Ale czyż Nagorski to Anglosas? Urodził się w Szkocji tuż po wojnie, ale jego rodzice byli Polakami, którzy po II wojnie światowej zostali na emigracji, dziadek był nawet członkiem polskiego rządu na uchodźstwie po roku 1939, a wszyscy wylądowali w USA. Nagorski jr sławę zdobył, gdy jako korespondent „Newsweeka” w czasach komunizmu został wydalony z Moskwy, a po upadku muru berlińskiego trafił do Warszawy i Berlina. Nic dziwnego, że pisząc o wielkiej historii, zawsze dostrzega – w odpowiednich proporcjach – sytuację krajów mniejszych, zwłaszcza Polski.

Na pozór to opowieść o wielkiej grze i bitwach, ale dla autora najciekawszą jest rola jednostek. „Historia wydaje się nieunikniona jedynie z perspektywy. W rzeczywistości kształtują ją wybory dokonywane przez politycznych przywódców i ich poddanych, przez ludzi wpływowych i przez dysydentów... niekiedy zaś także przez najczystszy przypadek”. Więc to sam Hitler spowodował, że przegrał wojnę. A to budzi inne refleksje – skąd ten megaloman miał siłę, by forsować swoje pomysły pomimo oporu innych? Książkę tę powinni czytać wyznawcy Kaczyńskiego. Rozmiar jego kapelusza co prawda mizerny, ale zdolności autodestrukcji i oddziaływania – niepokojąco podobne. (wb)

Andrew Nagorski, *1941. Rok, w którym Niemcy przegrały wojnę*, Rebis, Poznań 2019.

„Wśród wielu tajemnic Zuzanny Ginczanki najbardziej dojmującą – bo zaniedbanie to tym razem niewybaczalna, nasza, badaczy, krytyków i archiwistów sprawa – jest zlokalizowanie rękopisu wiersza *Non omnis moriar...*” – pisze Izolda Kiec w książce o poetce, której fotograficzny portret znamy: piękna, młoda kobieta o olśniewającym uśmiechu.

Zuzanna Polina Gincburg urodziła się w Kijowie, dzieciństwo spędziła w Równem w żydowskiej rodzinie mówiącej po rosyjsku, lecz wiersze pisała po polsku. Już przed wojną stała się legendą cyganerii, przyjaźniąc się z Tuwimem i Gombrowiczem. W czasie wojny uciekła do Lwowa, a stamtąd do Krakowa. Wydana w 1944 roku, została aresztowana i rozstrzelana w Płaszowie. Jej ostatni wiersz, dramatyczne oskarżenie szmalcowników („Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica, / Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera, / Chomino, / Iwowianko, / dzielna żono szpicla”) to wielka tajemnica polskiej literatury – bo oryginał zaginął.

Izolda Kiec jest jedną z najwybitniejszych współczesnych badaczek twórczości Ginczanki, choć dla jej pamięci wiele zrobili poeta Jan Śpiewak, Michał Głowiński, Jarosław Mikołajewski czy wydawnictwa Austeria i Marginesy (ich edytorska staranność i smak są wielkie). Dziś Kiec z precyzją zegarmistrza składa wszystkie informacje, uzupełnia je o niepublikowane wcześniej relacje, a tropów szuka w analizie wierszy poetki.

Buduje coś więcej niż portret osoby – daje portret czasów. (wb)

Izolda Kiec, *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*, Marginesy, Warszawa 2020.

„Rosyjskie służby aktywnie włączyły się w podsycanie smoleńskiej histerii nie tylko poprzez swoją agenturę wpływu, ale również sięgając po metody, które świat poznał dopiero sześć lat później, przy okazji wyborów prezydenckich w USA” – stwierdza Grzegorz Rzeczkowski, uznany dziennikarz śledczy tygodnika „Polityka” (jego ostatniej książce *Obcym alfabetem. Jak ludzie Kremla i PiS zagrali podstępami* dobre recenzje wystawili m.in. fachowcy, bo eksoficerowie służb specjalnych III RP).

Jako dowody czy przynajmniej poszlaki podaje m.in. kulisy nagłego powrotu Antoniego Macierewicza ze Smoleńska tuż po zamachu, a następnie zniknięcie akt Służby Kontrwywiadu Wojskowego oraz powiązania inicjatorów tzw. religii smoleńskiej – z jednej strony prorosyjskie, a z drugiej – radykalnie nacjonalistyczne i antyzachodnie, czasem sięgające jeszcze antysemickiego komunistycznego betonu i bezpieki PRL. Rzeczkowski precyzyjnie odtwarza sieć układów polityczno-biznesowych (a także medialnych i organizacyjnych) tego towarzystwa. Pojawiają się w niej osobnicy kojarzeni przez kontrwywiad ze służbami specjalnymi Federacji Rosyjskiej, a także – co najciekawsze – Andrzej Duda, Mateusz Morawiecki, Michał Dworczyk oraz naturalnie Macierewicz.

Podsumowaniem mogą być słowa jednego z owych „działaczy narodowych”, który tuż po katastrofie trafnie prorokował, że Polską rządzić będą odtąd już nie, jak głosiło znane powiedzenie, dwie trumny – Piłsudskiego i Dmowskiego, lecz i trzecia: Lecha Kaczyńskiego. (kb)

Grzegorz Rzeczkowski, *Katastrofa posmoleńska. Kto rozbił Polskę*, Wydawnictwo Tarcza, Warszawa 2020.

Narodowcy raczej po tę książkę nie sięgną, ale może grupa niezdecydowanych spojrzy trochę inaczej na kilka popularnych bogoojczyźnianych mitów... Badacze – rozmówcy Tomasza Ulanowskiego z rozmaitych ośrodków akademickich w kraju – zdają się dowodzić, że nie ma jednego źródła polskości oraz sposobu bycia Polakiem. Na warsztat biorą kilka standardowo przytaczanych pewników: pochodzenie biologiczne, wspólną historię, język. Zwłaszcza język wydaje się ciekawym zagadnieniem. Polskość pod zaborami i okupacjami trwała przecież w nim i w literaturze, a tu nagle Ulanowski mówi, że polszczyzna, a zwłaszcza staropolszczyzna, ma cechy wspólne z sanskrytem. W książce wręcz roi się od takich „bezceństw”. Podobno *homo sapiens* spółkował z *homo neanderthalensis*. Co za międzygatunkowa rozwiązłość! Podobno Biskupin to jakaś niemiecka osada, a siedem tysięcy lat temu plemiona germańskie i słowiańskie miały wspólnych przodków i tworzyły jedną grupę etniczną. Włos się na sarmackiej głowie jeży! Na szczęście jest coś, z czego wszyscy Polacy mogą być dumni: paleontologia dowodzi, że 390 milionów lat temu życie wyszło z oceanu pod Kielcami.

Jakub Wydrzyński

Tomasz Ulanowski, *O powstawaniu Polaków*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020.

Któż mógłby się spodziewać, że bezprecedensowy pomysł polityczny sprzed ponad 70 lat okaże się wart ponownego rozważenia dziś, w XXI wieku?

Wtedy, w 1945 roku, właśnie skończyła się druga już w XX stuleciu światowa wojna. Prócz dramatycznych ofiar w ludziach przyniosła niebywałe koszty, a raczej straty gospodarcze – i to nie tylko przegranym, ale też zwycięzcom. Zwłaszcza Europa – przez pięć lat główna arena konfliktu – znalazła się na granicy ekonomicznego upadku. Na dodatek w tle czaił się zaborczy Stalin. W tej sytuacji amerykańska administracja proponuje szeroko zakrojoną akcję gospodarczego wsparcia Starego Kontynentu – i to całego, łącznie z terenami w sowieckiej strefie wpływów. Jednak w efekcie nacisków Moskwy wschodnia część Europy, z Polską włącznie, z pomocy nie może skorzystać.

Kulisy tej historii – i związanej z nią dyplomatycznej gry – opisał z właściwą amerykańskiemu dziennikarstwu swadą Benn Steil, publicysta „Wall Street Journal” i „Financial Times”. Ten pouczający historyczno-ekonomiczny fresk nosi podtytuł *Postawić świat na nogi* – zasadny dla ówczesnej sytuacji, ale i będący sugestią na dziś. Wobec światowej pandemii trzeba wszak myśleć o solidarnej pomocy międzynarodowej dla zrzuconych gospodarek poszczególnych krajów – tyle że rozmaici mali satrapowie sprzeciwiają się temu w imię swoich ideologii i fobii, próbując coś przy okazji ugrać. (kb)

Benn Steil, *Plan Marshalla. Postawić świat na nogi*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.



Co zrobił ich Duda?

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: archiwum wydawcy

Kto wprowadza Chińczyków tylnymi drzwiami do Polski? Polityczna książka Tomasza Piątka (współautorem jest inna barwna postać – Marcin Celiński) jest solidnie udokumentowaną biografią Andrzeja D., między innymi prezydenta RP w latach 2015–2020. I niespodziewanie jest poszerzona o zaskakujący wątek – budowanie chińskich wpływów w Polsce. Wygląda kabaretowo?

Patrząc na dotychczasowy sukces, wielki sukces, jaki odniosły Chiny w ciągu ostatnich 30 lat, można powiedzieć, że właściwie Chiny są skazane na sukces” – czytamy na oficjalnej stronie prezydenta RP. A z książki (czyta się ciekawie) dowiadujemy się, że:

- jeden z dawnych biznesowych protektorów Andrzeja D. jest promotorem inwestowania w Chinach;

- człowiek, którego firma wsparła trollami w necie kandydata PiS w czasie poprzednich wyborów, chwilę później wprowadził swoją spółkę na rynek chiński w partnerstwie z globalnym graczem Tencentem, producentem gier związanym z władzami Komunistycznej Partii Chin;

- jeden z ważnych stołecznych towarzyszy Jarosława Kaczyńskiego w Porozumieniu Centrum współpracował z powiązaną z chińskim wywiadem agencją Sinhua jeszcze w czasach PRL;

- osoba z bliskiej rodziny Andrzeja D. wspierała rektora jednej uczelni z Opola, kiedy ten zakładał u siebie Instytut Konfucjusza i utrzymywał bliskie kontakty z wysokimi chińskimi aparatczykami (potem zginął tragicznie – najprawdopodobniej w wyniku samobójstwa).

Kiedy to czytamy, mówimy: „E, przesada. To zaczyna brzmieć jak antypisowskie zaćmienie”.

Z drugiej strony wiemy, że Piątek słynie z rzetelnego rozpracowania tematu. W książce nie ma miejskich legend: o nieślubnych

dzieciach czy o ćwiczeniu łapania hostii, a jest o związkach Andrzeja D. z rosyjskim szpiegiem aresztowanym w czasach prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Pamiętamy też, że niedawno aresztowano polskiego oficera za szpiegostwo dla Chin – a prezydent nadal promował chińską ideę Nowego Jedwabnego Szlaku.

Lecz rozum dalej się opiera: „Nie, przecież to niemożliwe...”.

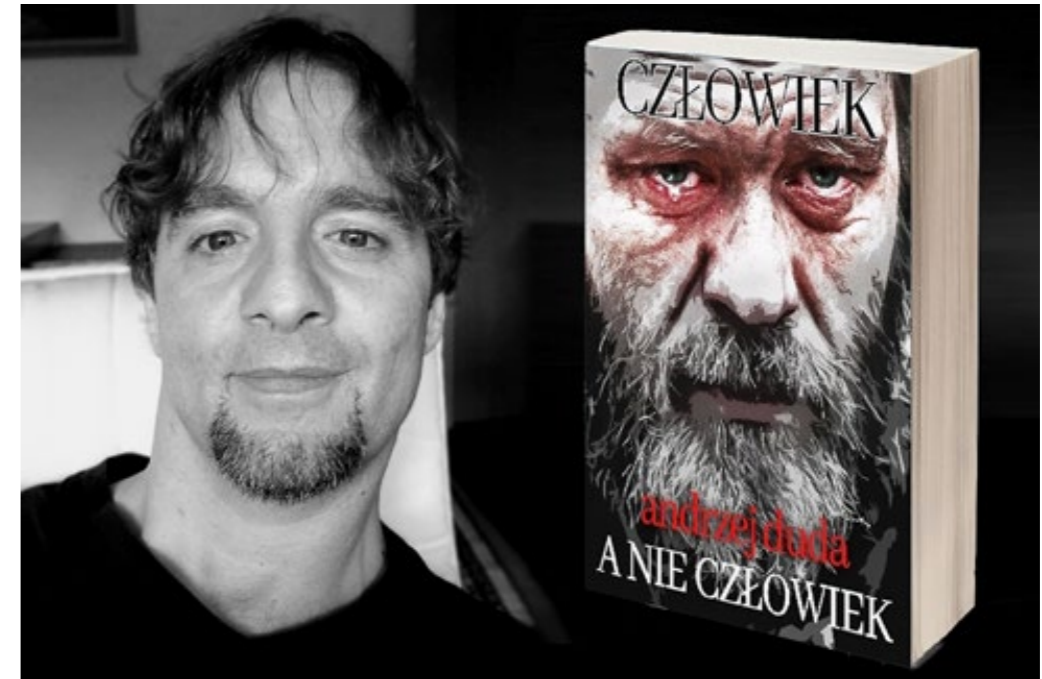
I nagle słyszymy w mediach, jak to prezydent RP chwali się rozmową telefoniczną z Xi Jinpingem, prezydentem ChRL. „Przywódcy rozmawiali przede wszystkim o sytuacji związanej z pandemią koronawirusa i możliwościami współpracy obu państw w jej zwalczaniu. Rozmowa trwała 45 minut”. Ponoć dzięki temu do Polski przylatuje z Chin samolot z milionami maseczek.

I nagle czytamy amerykańskich publicystów, wedle których to Chiny Ludowe są jedynym państwem, które gospodarczo i politycznie zyska na pandemii.

Rozum dalej się nie poddaje: *so what?* Co złego byłoby w tym, gdyby Chiny miały ogromne wpływy w Polsce?

Hm, ale dlaczego prezydent miałby się nazywać Dudazhou?

Marcin Celiński, Tomasz Piątek, *Duda i jego tajemnice*, Arbitror, Warszawa 2020.



Co napisał nasz Duda?

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Krzysztof Nęcek

Naprawdę zdolny Andrzej Duda nie rezyduje w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu, ale jest ze Śląska Cieszyńskiego, mieszka w Krakowie, robi filmy, układa scenariusze i pisze wiersze. A teraz wydał pierwszą powieść.

Którego dziś i jaki dzień tygodnia. – Markijan powoli traci rachubę. Zaczyna popadać w zubożenie. Być może skupiałyby się na porządkowaniu kalendarza w swojej głowie i nadaniu linearnego biegu dniom i wydarzeniom, gdyby brak tej wiedzy był jedynym jego zmartwieniem lub chociażby największym. (...) Dziś może chciałby już nawet wejść do hali tworca i trochę się ogrzać... ale nie może. Zatarł z policją ostentacyjnie przekreślił jego chęć do pojawiania się w miejscach, które policja i straż miejska uznają za swoje”.

Ta książka to opis Polski, za którą jeszcze będziemy tęsknić. Ale która już wtedy – czyli dawno przed pandemią, była w wielu miejscach chora. Dowodem na to główny wątek historii. Oto Markijan Sowa, pół Polak, pół Ukrainiec, zbiegiem serii nieprzychylnych okoliczności zostaje bezdomnym i zamieszkuje na dworcu kolejowym w Gliwicach. Wielu jest ludzi wokół – lecz nikt nie jest w stanie mu pomóc. Świat toczy się swoim torem, media plują papką, ludzie gonią przed siebie bez czasu na refleksję, a Ukrainiec dryfuje ku zagładzie.

Owszem, jest trochę niedorajdą – jak wielu. Owszem: ma pecha (jak wielu innych). Tam – są wokół źli ludzie. Ale to nieprawda, że oni są źli z gruntu. Mają po prostu swo-

je problemy, bo inni im zaszkodzili, którzy też mieli swoje problemy... Łańcuch pecha, przypadku, konieczności działania po złej stronie. *Człowiek, a nie człowiek* to opis bezradności i powolnego osuwania się w bagno. Warto przeczytać przed jesienią, gdy bezrobocie skoczy na potęgę...

Książka powstała z inspiracji i wsparcia Studium Literacko-Artystycznego UJ kierowanego przez Gabrielę Matuszek-Stec.

A o autorze? Andrzej Duda (rocznik 1975; imię i nazwisko najzupełniej prawdziwe) to scenarzysta, reżyser i pisarz związany z Krakowem (fizycznie od 25 lat, duchowo od zawsze). Absolwent dziennikarstwa na UJ i Studiów Literacko-Artystycznych na tej samej uczelni. Laureat Stypendium Scenariuszowego PISF. Twórca nagradzanych filmów reklamowych, dokumentalnych (między innymi dla Discovery Channel), wideoklipów i programów telewizyjnych. Współpracuje ze wszystkimi liczącymi się telewizjami w Polsce. Stworzył ponad 500 żartów filmowych dla programu *Szymon Majewski Show*. Autor powieści, poezji i dramatów. Członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Andrzej Duda, *Człowiek, a nie człowiek*, WasPos, Warszawa 2020.



Człowiek, który tworzył wielkie formy muzyczne i ogrody

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Zmarły 29 marca Krzysztof Penderecki był najbardziej docenianym na świecie, współczesnym polskim kompozytorem. Jego prochy spoczną w krypcie Panteonu Narodowego kościoła św. Piotra i Pawła w Krakowie po zakończeniu pandemii koronawirusa.

Wielbiciele muzyki mogli zobaczyć Krzysztofa Pendereckiego w dwóch sytuacjach. Albo gdy zasiadał na widowni, słuchając wykonania jednego ze swoich dzieł, albo jak dyrygował skomponowanym przez siebie utworem. Za każdym razem entuzjazm publiczności był niebywały. Bo dzieła Mistrza, choć miały opinię niełatwych, potrafiły wywołać tak dojmujące emocje, że trudno było im nie ulec. I dotyczyło to zarówno wielkich utworów symfonicznych, oratoryjnych, oper, jak i bardziej kameralnej muzyki, także skomponowanej na chór *a capella*.

A wszystko zaczęło się w latach 60. ubiegłego stulecia od twórczości awangardowej, która mogła rzeczywiście szokować radykalnością zarówno wykonawców, jak i odbiorców. I to nie tylko w Polsce. Kiedy muzycy orkiestr w Monachium i Rzymie mieli zagrać *Tren – ofiarom Hiroszimy*, odmówili w obawie o swoje instrumenty. Jednak utwór i tak zyskał międzynarodową sławę, podobnie jak kolejne dzieła Krzysztofa Pendereckiego, które z biegiem czasu zwracały się w stronę bardziej tradycyjnych form. Coraz częściej komponował je tonalnie, orkiestrując w stylu niemieckiej muzyki symfonicznej z końca XIX wieku. Na melomanach niebywałe wrażenie zrobiła siła *Pasji według św. Łukasza* czy dramatycz-

ne w swojej wymowie opery *Diabły z Loudun* i *Czarna maska*.

Pozycja kompozytora w świecie muzyki była tak znacząca, że zamawiano u niego utwory z okazji najważniejszych państwowych uroczystości, jak obchody trzech tysięcy lat istnienia Jeruzolimy, które uczcił dziełem *Siedem bram Jeruzolimy*. Na prośbę Lecha Wałęsy przekazał *Lacrimosę* mającą upamiętnić poległych stoczniovców, która później przerosła się w *Polskie Requiem*.

Krzysztof Penderecki, mimo że mnóstwo jeździł po świecie, na stałe mieszkał w Krakowie, którego był Honorowym Obywatелеm, a także w Lusławicach, gdzie razem z żoną Elżbietą odrestaurowali szlachecki dwór. Tam też założyli Europejskie Centrum Muzyki, pełniące rolę międzynarodowej akademii. W Lusławicach kompozytor uwielbiał pracować, a w wolnych chwilach zajmował się zaprojektowaniem przez siebie ogrodem i parkiem, w którym osobiście sadił drzewa. Jak powiedział w jednym z wywiadów: „Ogród to zmatematyzowana natura, tak jak muzyka jest zmatematyzowaną ekspresją. Kształtowanie parku wymaga podobnej wyobraźni jak komponowanie dużej formy muzycznej”. Pomyślmy o tym, słuchając dzieł Mistrza.

Operetka zaatakowała wirusa

Na tę premierę stali bywalcy Opery Krakowskiej czekali od dawna. Trudno się dziwić, bo *Orfeusz w piekle* Jacques'a Offenbacha to jeden z tych operetkowych utworów, który zawsze sprawia przyjemność i wywołuje uśmiech na twarzy. Niestety, okazało się, że próby do spektaklu, który reżyserował Włodzimierz Nurkowski, z powodu koronawirusa zostały przerwane i o wystawieniu tego dzieła na jakiś czas musimy zapomnieć.

By nie zostawiać widzów samych i to na dodatek w kiepskich nastrojach, w czasie, kiedy powinna odbyć się premiera, dyrekcja Opery postanowiła udostępnić za pośrednictwem kanału YouTube inne pogodne przedstawienie, czyli *Loterię na mężów* w reżyserii Józefa Opalskiego. To jedyna operetka, którą stworzył Karol Szymanowski. Po skomponowaniu *Stabat Mater* i *Króla Rogera* oświadczył: „Nie mogę być ciągle taki uroczysty, to bardzo męczące. (...) Muszę się trochę muzycznie wyśmiać”.

Widzowie, którzy w czasie transmisji spektaklu zasiedli przed ekranami komputerów czy telewizorów, mogli być usatysfakcjonowani. Śledzenie perypetii spadkobierczyń ekscentrycznego wuja Charly'ego, który zapisał swoją fortunę na rzecz Klubu Wesołych Wdowców oraz Klubu Starych Panien, pozwoliło choć na chwilę zapomnieć o niewesołej sytuacji wokół.

Fantazja on-line o premierze, która się nie odbyła

Na inny pomysł wpadli twórcy z Teatru im. J. Słowackiego, gdzie w Międzynarodowym Dniu Teatru, czyli 27 marca, planowano dać premierę *Ludwiczka* w reżyserii Daniela Malchara i Rafała Szumskiego. Miała to być sceniczna opowieść o Ludwigu van Beethovenie. Ponieważ do niej nie doszło, artyści nakręcili krótki film zatytułowany *Fantazja o Ludwiczku*. Udostępniony w czasie, kiedy w normalnej sytuacji publiczność siedziałaby już na widowni, stał się zabawną zapowiedzią spektaklu, który zobaczymy w lepszych czasach.

Będziemy na niego czekać, bo apetyt pobudziła zapowiedź nietypowego wykonania w nim *IX Symfonii d-moll op. 125*, znanej także jako *Symfonia radości*. Cierpiący, zmagający się z losem i ze światem kompozytor wyrażał w niej ideę ogólnej miłości i braterstwa oraz wiarę w lepsze jutro.

W czasie zarazy dzieci się nudzą

Po internecie przeleciał dowcip przedstawiający matkę uwięzioną przez pandemię z trójką dzieci w domu. Wynikało z niego, że będąca w takiej sytuacji kobieta w akcie desperacji pierwsza wynajdzie szczepionkę na koronawirusa. Rzeczywiście, przebywanie tygodniami w nie zawsze dużych mieszkaniach z nudzącym się potomstwem może doprowa-

dzić do różnych stanów. Chyba że dzieciaki posadzi się przed komputerem, pozwalając oglądać im on-line przeznaczone dla nich widowiska.

A było co zobaczyć, bo krakowskie teatry stanęły na wysokości zadania. Groteska w każdy weekend proponowała maluchom obejrzenie jednego ze swoich przedstawień. W ramach akcji „Złap Groteskę w sieci” aż 15 tysięcy widzów – jak informowano na stronie internetowej sceny – obejrzało *Brzydkie kaczątko*. Powodzeniem cieszyło się też *Abecadło krakowskie* z Teatru Ludowego. Bo 2340 odbiorców to świetny wynik, zważywszy, że na widowni mieści się znacznie mniejsza liczba dzieciaków. Poza tym maluchy mogły brać udział w organizowanych dla nich zajęciach. Na stronie Teatru Groteska prezentowano cykl lekcji *I Ty możesz zostać aktorem*, w których do wspólnej zabawy poprzez naukę ruchu scenicznego i śpiewu, ćwiczenia dykcji oraz interpretację wybranych tekstów zapraszali tacy aktorzy jak Katarzyna Polewany i Bartłomiej Olszewski.

Do działań w sieci dołączył też MOCAK, proponując młodym odbiorcom wraz z opiekunami aktywne czytanie fragmentów *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren. Wydarzenie odbyło się w formie live streamu na profilu facebookowym muzeum.

Podróże z wyobraźnią

W wyobraźni można podróżować, ile się chce i z kim się chce pod warunkiem, że twórczo i systematycznie się ją rozwija – napisał Jan Michalski z Galerii Zderzak, zapraszając wszystkich siedzących w domach w podróż *Tramwajem Salwator*. Krytyk sztuki w kolejnych nagranych przez siebie filmikach, które zamieszczał na stronie internetowej galerii z ul. Floriańskiej, opowiadał o twórczości Andrzeja Wróblewskiego. Dzięki temu mieliśmy szansę poznać jego niesamowite fotografie i za ich pomocą wejść w symboliczną sferę wyobraźni artysty, spojrzeć na świat jego oczami, sprawdzić, jak w obiektywie jego aparatu wyglądała Nowa Huta, Tatry, dom przy ul. Księcia Józefa. Jan Michalski opowiadał też z pasją o wczesnych obrazach malarza w nagraniu zatytułowanym *Dlaczego ryby płyną w lewo?*, a także o wizjach zbawienia ludzkości, o jakich marzył Wróblewski.

Nie tylko krakowskie galerie przypominały miłośnikom sztuki o swoim istnieniu. Na przykład Muzeum Narodowe w Krakowie na czas pandemii zaproponowało konkurs na internetowego mema związanego ze zbiorami instytucji, które można było oglądać w wersji cyfrowej. Wystarczyło ściągnąć ze strony zbiory.mnk.pl ulubione dzieło sztuki, a następnie opatrzyć je komentarzem i opisać na Instagramie. Nagrodami były między innymi bilety wstępu do muzeum, z których można będzie skorzystać zaraz po jego otwarciu.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Nasza ankieta: okładka to portret miesięcznika

Przyciąga wzrok, skupia uwagę, wywołuje emocje – to pierwsze, co zwraca w każdym nowym numerze „Krakowa” Waszą uwagę, czyli okładka. Chcemy pokazywać Wam tych krakowian i krakowianki, którzy nas inspirują, którzy zmieniają miasto i współtworzą jego rzeczywistość. Poszukując sposobów, by ulepszać miesięcznik, zapytaliśmy Czytelników o ich ulubione okładki z ostatnich miesięcy oraz o to, kogo lub co chcieliby na nich zobaczyć w nadchodzącym czasie.

W pierwszej piątce ulubionych znaleźli się Państwo Wajdowie, Michał Rusinek, Hanka Wójcicka, Krzysztof Globisz i piękna okładka z Magdą Brudzińską.

Epidemia, z którą walczyliśmy, prowokuje jednak nowe oczekiwania. „W czasach COVID-19 na pierwszym froncie są nasi lekarze i lekarki, to oni zasługują na docenienie, codziennie ryzykują swoje życie, by uratować nasze. Lekarze i lekarki to prawdziwi bohaterowie” – usłyszeliśmy od naszej czytelniczki Pani Magdaleny i nie

możemy się z nią nie zgodzić. Medycy zasługują na niejednego portret, ich poświęcenie musi zostać docenione! W rozmowie z nami wierny odbiorca Pan Piotr podkreślił, że cieszą go portrety uśmiechniętych ludzi krakowskiej kultury i że warto, poza artystami, ukazać też działaczy społecznych, którzy działają w sektorze organizacji pozarządowych. To ważna uwaga, o której z pewnością będziemy pamiętać! A kogo Wy chcielibyście zobaczyć na okładce „Krakowa”? Napiszcie!

Rys. Piotr Błachut



MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

W sieci kultury

Przegląd: Piotr Rachwaniec

KulturaDostępna.pl

<https://kulturdostepna.pl/on-line/wirtualne-muzea>

#Zostań w domu! Tylko jak obcować z kulturą, nie opuszczając czterech ścian? Galerii, muzeów, zabytki muszą poczekać. Ale czy na pewno? Serwis KulturaDostępna.pl podpowiada, jak to oczekiwanie przetrwać, prezentując na swojej stronie wirtualne spacerki.

„Panorama pokazuje całą Bazylikę, która została wpisana na listę Pomników Historii. Zobacz z bliska obraz Matki Boskiej Łowickiej oraz miejsca spoczynku 12 arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów Polski”.

„Wybierz się na wirtualny spacer po warszawskiej Filharmonii Narodowej. Odkryj przestrzenie i miejsca na co dzień niedostępne!”

„Zobacz z bliska Kanał Elbląski, Pałac Augusta Abbegga, miejskie kościoły, przejdź się pod Bramą Targową, zwiedź Stare Miasto”.

Culture.pl

<https://culture.pl/pl/artykul/czytanie-w-czasach-zarazy>

#Zostań w domu – #czytaj w domu – to recepta nie tylko na zdrowe ciało, ale też duszę. O zaletach czytania, nie tylko w czasach zarazy, przeczytacie w serwisie Culture.pl.

„Czytanie uspokaja. Według neuropsychologa dr. Davida Lewisa już sześć minut lektury wystarczy, by zmniejszyć poziom stresu o dwie trzecie. To podobno szybsza i skuteczniejsza metoda niż wypicie filiżanki herbaty, słuchanie muzyki czy spacerowanie. (...) Jeśli więc już odkurzyłeś domowy księgozbiór, a ulubioną lekturę mógłbyś recytować w środku nocy wybudzony ze snu, przedstawiamy kilka sposobów na ukojenie nerwów i nudę w czasach kwarantanny.

(...) Literatura to jedyne sny, których nie śnimy samotnie”.

Dwutygodnik.com

<https://www.dwutygodnik.com/artykul/3327-chcialem-napisac-oryginalna-pasje.html>

Serwis Dwutygodnik.com przybliży sylwetkę niedawno zmarłego Krzysztofa Pendereckiego, przypominając rozmowę z kompozytorem na temat jego twórczości i pracy nad *Pasją*.

„– Myślę, że gdybym urodził się w innym kraju, w innych warunkach geopolitycznych, pewnie bym sakralnej muzyki nie pisał. Gdybym się urodził w Nowej Zelandii, to pewnie pisałbym musicale, ale na szczęście urodziłem się tutaj. Zresztą, jak ma się dwadzieścia kilka lat, to się nie ma takiego poczucia odpowiedzialności. Ręka mi nie zdrząła. To jak z przecinaniem diamentu, który mistrz daje uczniowi, bo się boi, że coś sknoci, bo czuje odpowiedzialność, że to kosztuje setki tysięcy dolarów. A uczeń bierze i ciach. Więc ja zrobiłem takie »ciach«”.

W następnym numerze:



Śmierć planety i ekologia

Michał Jasieński:
Ekokatechizm na wiek XXI

Haiku i zen

24 godziny z życia lekarza

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/>? ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Muzeum Etnograficzne bada „życie w czasach zarazy”

„W czasach epidemii, która dla nas wszystkich jest niespodziewana i trudna, mamy poczucie, że podzielenie się własnym doświadczeniem, emocjami, sposobami radzenia sobie w codzienności jest potrzebne i daje poczucie wsparcia. Zadawanie prostych, konkretnych pytań często pozwala nam dostrzec to, co jest dla nas najważniejsze. To, co teraz widzimy, przeżywamy i, być może, zapisujemy, jest ciekawe też dla innych, także dla

nas” – tak Muzeum Etnograficzne w Krakowie uzasadnia podjęcie badań naukowych nad „życiem w czasach zarazy”.

Muzeum prosi zatem chętnych o wypełnienie specjalnego kwestionariusza, dostępnego na stronie: <https://etnomuzeum.eu/wydarzenia/nasze-zycie-w-...> „Wracamy do korzeni etnografii, by – jak ponad 100 lat temu nasz założyciel Seweryn Udziela – wysłać kwestionariusze do mieszkanki i mieszkańców Polski

z prośbą o opowiedzenie o swoim życiu” – podkreślają naukowcy.

Już w dwa tygodnie od rozpoczęcia badań spłynęło ponad 1200 ankiet. Na ich podstawie powstają wstępne opracowania niektórych tematów. Pierwsze z nich – *Co słyszał?* autorstwa Doroty Majkowskiej-Szajer i *Jak się czujesz?* Olgi Błaszczczyńskiej – są już dostępne na stronie internetowej Muzeum. (kb)

*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Teatr się wali

Niemal od zawsze zanim w naszym mieście stanęły znaczące budowle, musiały wybuchnąć istne wojny, w których zwolennicy i przeciwnicy nowych gmachów wytaczali przeciwko sobie najcięższe armaty. Podobnie rzecz miała się z budową Teatru Miejskiego, który stoi dziś przy placu Świętego Ducha. Władze miasta ogłosiły międzynarodowy konkurs na projekt budynku. W pierwszym podejściu nie przyniósł rozstrzygnięcia. Dopiero konkurs drugi, już tylko dla rodzimych architektów, wyłonił jako zwycięzcę Jana Zawiejskiego i jego wizję gmachu. Jak to u nas bywa, architekt i jego dzieło miało tyluż entuzjastów, ilu sceptyków. Ci ostatni, kiedy ruszyła już budowa, złośliwie rozpowiadali na mieście, że z powodu wadliwego projektu przy Świętego Ducha raz po raz coś się wali. Ta, rzecz jasna, nieprawdziwa informacja musiała dotrzeć do pewnego przybysza, który podążając z dworca, przystanął na chwilę przy budowie i pierwszą z brzegu osobą zapytał:

– Przepraszam pana, czy to prawda, że tu się wali?

– Owszem, tu się wali..., ale w mordę! – odpowiedział stanowczo zaczepiony. Przybysz szybko odwrócił się na pięcie, nie przypuszczając, że uraził dumę samego Jana Zawiejskiego.

Takt Arona Gajera

Któż z nas choć raz nie kupił jakiegoś ciucha z drugiej ręki? Lecz zanim pojawiły się rozmaite sklepy, dumnie zwane szmateksami, ciucholandami czy innymi second handami, handel znoszonymi, ale wciąż jako tako wyglądającymi ubraniami kwitł na placach i ulicach. Nie inaczej było przed pierwszą wojną światową. Niemalę osiągnięcia w tej dziedzinie miał wówczas niejaki Aron Gajer, który za rewir obrał sobie ulicę Szpitalną i na niej sprzedawał używaną odzież.

A że w tamtych czasach ciuchy nie szły do nas z Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych, zapobiegliwy handlarz skupował je od bogatych obywateli naszego miasta za bezcen. Aron był powszechnie lubiany, więc krakowska arystokracja chętnie otwierała przed nim drzwi, pozbywając się znoszonych smokingów i fraków. Razu pewnego, w celu uzupełnienia towaru Aron Gajer odwiedził hrabinę Wielopolską, która ponoć uchodziła za najwyższą kobie-

tę w mieście. Wśród rzeczy, które zaoferowała tego dnia handlarzowi, był też jej stary szlafrok. Aron wziął go w dłoń i skrzywiwszy się, wyraził wątpliwość:

– Ależ, pani hrabino, co ja zrobię z takim szlafrokiem?

– Jak to co? Sprzeda pan jakiejś ulicznicy – odparła spokojnie hrabina.

– Pani hrabino, ale gdzie ja znajdę tak wielką prostytutkę jak pani? – spytał z troską w głosie Aron.

Kroniki milczą, co było dalej.

Mistrz ciętej riposty

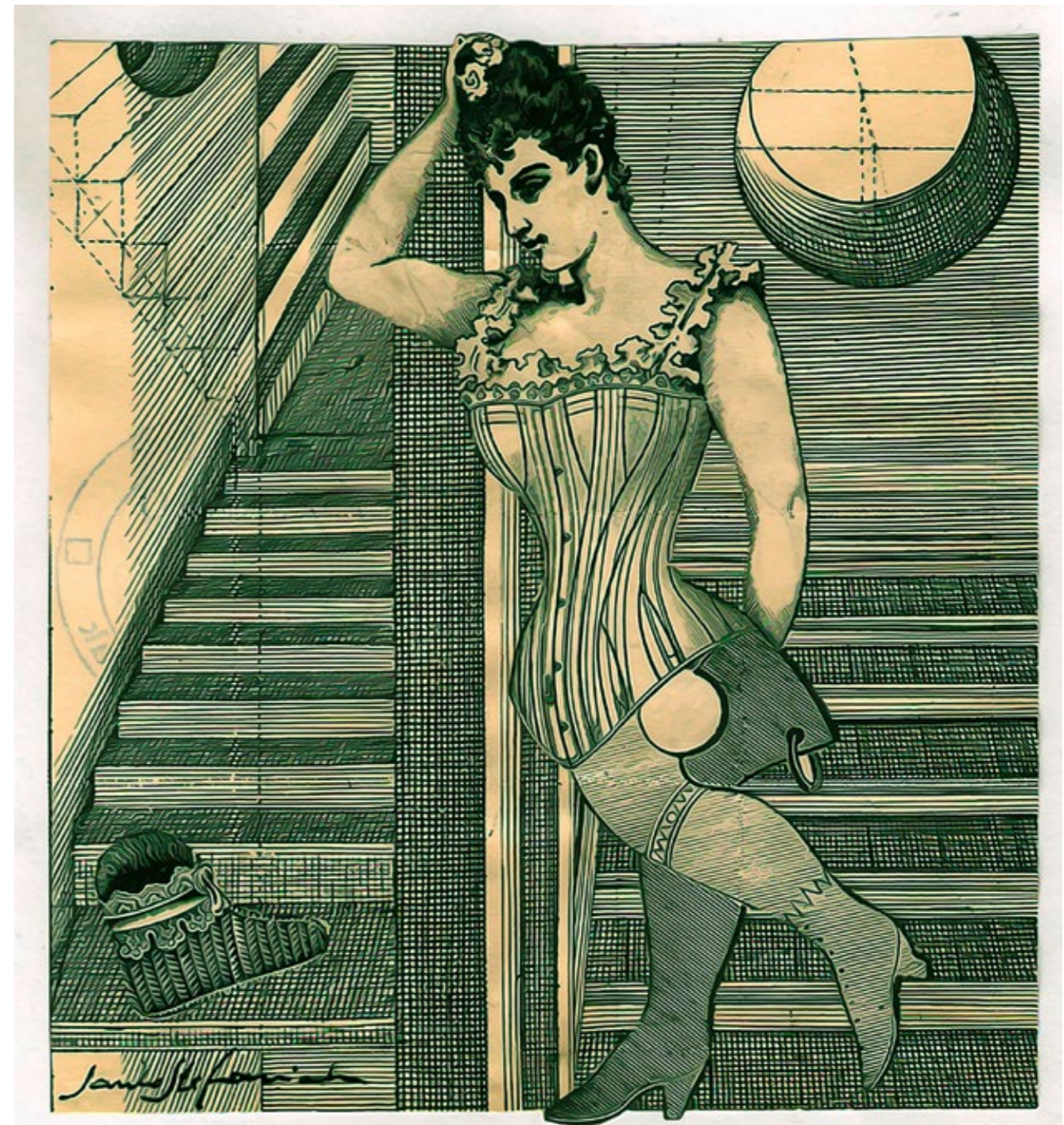
Ten sam Jan Zawiejski szczylił się w Krakowie opinią zawołanego kawalarza i nie lada dowcipnisia. Na dodatek, znając swoją wartość w tej dziedzinie, nie znosił, gdy mu się koncept podkradało i „sprzedawało” jako własny, na dodatek psując czasem puentę. A tak czynił pewien adwokat, którego w końcu dosięgła karząca ręka ciętej riposty.

Otóż wychodząc pewnego razu z cukierni Maurizia, gdzie był stałym gościem, Zawiejski dostrzegł owego adwokata i postanowił się zemścić. – A gdzież to pan mecenas tak się śpieszy? – zatrzymał go pytaniem Zawiejski. – Widzi pan, panie architekcie, tego uciekającego małego andrusa? – drżącym z oburzenia głosem wycedził złodziej dowcipów i dodał. – Przed chwilą zapytał mnie, która godzina, i gdy mu powiedziałem, że wpół do jedenastej, to ten smarkacz na to, że o dwunastej mogą pocałować go w dupę!

– No to dlaczego pan się tak śpieszy, panie kolego, przecież ma pan jeszcze półtorej godziny! – poradził mu Zawiejski, który potem nie omieszkał oczywiście nieraz opowiadać o tym zdarzeniu. Na A-B jeszcze długo śmiano się z adwokata i despektu jakiego doznał. Opracowano na podstawie książek Zbigniewa Leśnickiego *Kraków, historie, anegdoty i plotki* (WAM) oraz Mieczysława Czumy, Michała Kozioła, Leszka Mazana *To jest Kraków, mości księżu!* (Anabasis).

Gołe kolana Lustgartena

Józef Lustgarten był postacią nie tylko wielce zasłużoną dla krakowskiej piłki nożnej, ale również dla rozwoju tej dyscypliny w całej Polsce. Legendarny, pierwszy bramkarz Cracovii, strzegł bramki Pasów w latach 1906–1912. Mało kto jednak wie, że był również bohaterem pewnego skandalu obyczajowego, powodując zgorszenie niejednego spacerującego po A-B krakowianina. Nie, nie o kochankę poszło ani o jakąś wątpliwą konduktę bramkarza. Pozwolił on sobie na rzecz o wiele straszniejszą, która stała się pożywką dla wielu grymasów oburzenia i słownej dezaprobaty. Otóż śmiałek ów jako pierwszy pokazał... gołe kolana! Uznawszy zapewne, że wygodniej będzie mu bronić dostępu do bramki w spodniach nieco krótszych niż do kostek, po prostu wziął nożyczki i obciął nogawki do wysokości powyżej kolan. Ten niemoralny występki był szeroko komentowany. Jednocześnie ośmieleni tym aktem wielkiej odwagi także zostali zawodnicy zaczęli obcinać nogawki. Ba, nawet uczniowie i studenci goniący po Błoniach za szmacianką ulegli tej modzie. I tak już zostało do dzisiaj.



Rys. Janusz Stefaniak

Historyczny karambol

Lubimy się chwalić czymś, w czym jesteśmy pierwsi. Nierzadko z satysfakcją odnotowujemy przy tym, kogóż to zostawiliśmy za plecami w zawodach sportowych, dokonaniach naukowych czy innych rankingach. Jednak w tym, *nomen omen*, wypadku, trudno powiedzieć, czy to, co się zdarzyło 18 marca 1903 roku o godzinie 21, jest powodem do przeczucia czy wręcz przeciwnie.

Otóż właśnie tego dnia, tego roku i o tej godzinie doszło w Krakowie do pierwszej w Polsce udokumentowanej przez policję i sąd kolizji drogowej z udziałem samochodu. Chwilę wcześniej obywatel Wincenty Schindler, właściciel pracowni mechanicznej mieszczącej się przy ulicy Floriańskiej 55, wsiadł do swojej jednocylindrowej maszyny i z zawrotną prędkością 40 km/godz. po-

mknął w stronę Barbakanu. Tam, czy to rykiem silnika, czy niekontrolowanym poślizgiem, spłoszył konia dorożki nr 18 należącej do Franciszka Chlipalskiego. I tak doszło do tego historycznego karambolu. Dodajmy, że właściciel pojazdu konnego żądał od kierowcy pojazdu mechanicznego 40 koron odszkodowania. Szczęściem dla kierowcy o punktach karnych nikomu się wtedy nie śniło.

prenumerata



Aby zamówić prenumeratę kwartalnika „Czas Literatury” należy wypełnić formularz na stronie www.czasliteratury.pl/prenumerata/ oraz dokonać wpłaty na konto bankowe Biblioteki Kraków:

Bank PKO BP 93 1020 2892 0000 5302 0627 7638
Biblioteka Kraków, Pl. Jana Nowaka Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

W tytule przelewu prosimy dopisać informację:
„Prenumerata „Czas Literatury” 2020, nr 1-4”

koszt czterech numerów: 40 zł | kontakt: dagmara.smola@biblioteka.krakow.pl

Czytaj również online na
woblink.com

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa

Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczuk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa

Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpcy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajęc, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Waldemar Smolski, Kraków
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa

Dołącz do Klubu Przyjaciół „KRAKÓW”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „KRAKÓW” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „KRAKÓW”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „KRAKÓW”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „KRAKÓW” – zapraszamy do rozmów.

Wojny szwedzkie

Tekst: Jerzy Pilch

Ktoś się darł niepoczytalnie, ktoś żelazem o żelazo niezły raban wszczynął, ktoś wzywał domowników na pomoc – wojna ze Szwedami szła na całego. Nie pierwsza i nie ostatnia.

O co tym razem? Tym razem *casus belli* był nie do podważenia: Szwedom zdechła koza i jak głośno stugębna i fachowo szerzona plotka: nasi ztwardziali w grzechu i za nic mający przyjazne czy choćby tylko neutralne relacje sąsiedzi najwyraźniej brali pod uwagę zakopanie do cna zrakowaciałych kozich szczątków tuż pod naszym oknem. Czy koza była jakąś faworytą w domu Szwedów, czy kroila się tam jakaś rozpacz dosłowna, czy jakieś skamienie nie z bólu? Nic nie wiadomo. Raczej nie. Biegliśmy, bo wszyscy tam biegli, daleko nie było.

Szwedy mieszkali tak blisko, że zawsze było wiadomo, co się u nich dzieje – co jedzą na obiad, komu stary Magnus zwięża portki, któremu dziecku i za co Emil krwawe manto sprawi, która z trzech siostrz urzęduje bez majtek, bo wszystko w praniu, a nawet jakim cygaretem Peter ze smakiem sztachnie się w kiblu. Wiedzieliśmy – prawdę powiedziawszy, nie potrzeba było żadnych plotek, starannie wyszkolonych informatorów czy innych siewców pogłosek, i bez nich wiedzieliśmy wszystko – i nic to nas nie obchodziło. Nic nas nie obchodziło? Szwedy w nasze powiaty wbite jak żelazo i my nic? Przecież musieli mieć wgląd równie rozległy, taką samą jak my o nich, oni o nas, a może nawet znacznie większą dysponowali; w istocie wszystko to dla nas – zwłaszcza dla Frau Natchelnick – denerwujące. Nawiasem mówiąc, Frau była wówczas ściśle koło pięćdziesiątki – wtedy, szkoda gadać, dziś wysoko w każdej hierarchii. Gdyby to nie było *trivial matter* – byłoby zawile. Dopiero wiele lat później rzeczy zaczęły się objaśniać, co nie dziwota. Najprawdziwsza miłość dawała znać o sobie. Sytuacja – też sytuacja na froncie wojen szwedzkich – stawała się tak wariacka, że niemal normalna. Jeśli słowo „normalny” coś jeszcze znaczy, a przecież od dawna wiadomo, że nie znaczy nic.

Z całych sił próbowaliśmy powstrzymać ekspansję sąsiadów – przebiegłości jednak i pewnego rodzaju swobodniejszego spojrzenia na sprawy nam brakowało, wręcz z godziny na godzinę ubywało, oni działali taktycznie. Ale kozie nie umieć się postawić? Ucieleśnieniu nędzy, symbolowi pauperyzacji, metaforze spółkowania miłosnego, chyba trykania diabelskiego? Pod naszym oknem? Pod samiutkim naszym oknem? W te pędy tam lecimy, nie tyle obudziliśmy się po raz pierwszy, co po raz pierwszy rozumiemy, że się obudziliśmy. Obudziliśmy się i słyszymy głosy, pojawienie się twardego lądu jest pewne i wyraźne – pomiędzy stworzeniem świata a stworzeniem człowieka jest kilkadziesiąt linijek kreacyjnego hurtu, pomiędzy stworzeniem Adama i Ewy a uświadomieniem sobie przez nich wstydu ta sama szczodrość, i nagle wiadomo, o co chodzi: Gorzej nie ma! Gorzej nie ma? Albo nie, albo tak. Gorzej jest? W każdym razie bywało.

Pani zdaje sobie sprawę, Frau Szwed, jakie z tego koziego trupa pójda zarazy? Jakie jady morowe? I gdzie ruszą w pierwszej kolejności? Frau Szwed! Wzywam panią do odstąpienia od barbarzyńskiego rycia koziej mogiły! Pani się może roją jakieś wysokości, w istocie w piwnicznych pierwiastkach pani

**Jakie z tego koziego trupa pójda zarazy!
Jakie jady morowe? I gdzie ruszą w pierwszej kolejności? Kozie zwłoki trzeba spalić, a popioły rozproszyć z wieży kościelnej. W ostateczności zakopać pod jabłonią. Korzenie tego drzewa bezpiecznie każdą truciznę wchłoną.**

grzebie. Kozie zwłoki trzeba spalić, a popioły rozproszyć z wieży kościelnej. W ostateczności zakopać pod jabłonią. Korzenie tego drzewa bezpiecznie każdą truciznę wchłoną.

Frau Szwed nie miała żadnych, argumentów, nigdy w życiu nie słyszała o trucizno-skopijnych właściwościach jabłoni, a nawet jakby o nich słyszała, nie umiała by ich wypowiedzieć, bardzo słabo mówiła po polsku, jej mąż w ogóle, właśnie po latach wrócił z Wiednia (miał tam praktykę krawiecką, długo nie szło opędzić się od myśli, iż szył garnitury Hermanowi Brochowi) i był niemal w identycznej co żona sytuacji językowej: po polsku nie mówił w ogóle. W sumie wychodziło gorzej. Słabo obyte z polszczyzną i zwłaszcza z jej zaolziańsko-wojenną retoryką Szwedy mocniej nacierały w praktyce, miały na temat naszej dziurawej obronności dość dokładne info. Snuły tędy i owędy, były nie do zatrzymania. Dokładnie rzecz ujmując, byli nie do zatrzymania, póki nie wybiła godzina wygnania, wtedy nie zważały na nic i śmigały jeden za drugim, i lądowały też ciekawie: Peter w NY, Emil w Monachium, siostry w Edynburgu – wychodzi, że cała rodzina po polsku ledwo du-du, ale po angielsku, niemiecku całkiem, całkiem, najbardziej zaś po szwedzku – z potopem przybyli – pradziad Petera – nie od parady nosił imię Magnus – po potopie zostali.

Wytrwali, ile potrafili, potem znów się rozproszyli.

(Fragment najnowszej prozy)



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

mnk

zbiory.mnk.pl



cyfrowa
kolekcja



Muzeum
Narodowego
w Krakowie



Magdalena Nałęcz, *Otchłań I*, olej, płótno, 160 x 80 cm, 2018